

*Cast Kristin*

**Pocałunki z piekła 1**

*Powyżej*

**1**

Ziemia.

Ona siedzi w jej brzuchu, połknięta przez glebę, opuszczona obolała złamana.

W części świata, której nikt nie chce; w grobie pełnym stworzeń, które żywią się odpadami. Jest

korzeniem drzewa, tkwiącym Poniżej: dusi się,

aż ją skręca, by się wyrwać

na wolność. Szepty tych, którzy są wokół, mówią: „jesteś bezpieczna w ciepłych objęciach Poniżej”.

A ona jest kozłem ofiarnym tego bezpieczeństwa. Wciąż zastraszana, atakowana, dręczona.

**2**

Bez powietrza. Bez światła. Bez zachwytu, radości, miłości, ochrony. Znikąd. Domu jeszcze cię nie znalazła. Ale Powyżej...

Ta myśl łaskocze serce i sprawia, że jej ciemna skóra topnieje, lepka i ciepła. Jej marzenia na jawie pełne są obrazów szczęścia Powyżej.

Powyżej mogłaby żyć.

Powyżej byłaby bezpieczna.

Wszędzie jest lepiej niż Poniżej.

Ze swojego miejsca Poniżej patrzy w górę. Jej włosy koloru opadłych liści w porze suchej spływają na jej plecy okryte futrem. Mięśnie jej szyi sztywnieją od marzeń. Szczelina w pustej ziemi bucha żarem zachodzącego słońca. Jest na tyle długa i szeroka, że doskonale widać przez nią błękit Powyżej i można przez nią patrzeć na Innych.

Czeka, czy któryś się nie ukáže.

Drży z niecierpliwości, podniecenia, jej ciało chłepcze płytkie, bezgłośnie oddechy. Gdyby wyciągnęła rękę, jej palce mogłyby zrobić akuku na podłożu Powyżej.

Tam! Inny! Idzie do swojego schronienia, do domu w koronach drzew, w gasnącym słońcu Powyżej. Słodki zapach wcieka przez pęknięcia jej kokonu. Rozbija strach.

3

Oni, Inni, są wysocy i wiotcy. Ich ciała, ledwie przysłonięte skórą ich zdobyczy, są ciemne jak mokra ziemia. Ona pasuje do nich. Do Innych. Ona też ma ciemną skórę. Nie jasną i świecąca gwiazdnym blaskiem, jak skóra tych Poniżej; tych, których wielkie źrenice wysysają światło z niczego.

Ona jest wyjątkowa, piękna, dzielna.

A jej inność jest nasieniem wrogości.

Dotyka, widzi, słyszy, czuje, smakuje, pragnie... inaczej.

Samotna w ciemnicy przodków, którzy od zawsze wzrastali Poniżej. Od zawsze wzrastali w strachu przed światłem i przed Innymi z Powyżej, którzy są silni i śmiertelnie groźni, i żyją dzięki tej sile.

Przez szesnaście lat wchłaniała w siebie strach i nienawiść, ostrzeżenia przed zabójczymi Innymi, którzy grasują Powyżej, chwytają tych z Poniżej i wysysają ich kości. Ich puste skóry, gnijące i drgające, zostawiają na stertach, z otwartymi oczami, by mogły patrzeć na muchy, które żywią nimi własne rodziny.

A mimo to wciąż zachwyca ją przestrzeń, która jest Powyżej.

Siedzi, patrzy, czeka i marzy o ucieczce z Poniżej, o ucieczce od oprawców, którzy pożerają jej duszę jak pędraki. O nowym życiu, imieniu, rodzinie, domu. Marzy, by dotknąć ciepła słońca i pić kojące promienie księżyca.

By kochać i być wolną.

Kochać i być kochaną. Kochać i być pomszczoną.

Hej, dziewczyno. - Obrzydły głos ciśnięty w nią. Dziesięć pajęczych palców mokrych od żrącej śliny sięgnęło w górę, zaczęło szarpać jej luźną sukienkę, przemykać w górę i w dół po jej gołych nogach. - Złaż tu na dół, do nas. Mamy dla ciebie fajne zabawki. - Ten, który przemówił, oblizał ostrze noża, a inni zaczęli strzelać pasami i wygrażać jej pięściami.

Męski śmiech przedarł się do jej uszu, wyrócił żołądek. Żółć wzburzyła się; zaraz chluśnie przez zęby i pokryje jej ciało wymiocinami. Zaczęła się kiwać w przód i w tył, w milczeniu powtarzając zaklęcie ochronne, coraz mniej skuteczne. Dziesięć palców wciąż dotyka.

Nic mi nie będzie. Żołądek wciąż się wywraca.

Nic mi nie będzie. Ciała wciąż jej zagrażają... Nic mi nie będzie... szydzą z niej... Nic mi nie będzie... czekają.

**12**

Chcieli ją ukarać za inność. Dla zabawy. Nic mianie będzie.

Powyżej.

Powyżej.

Powyżej.

- Nie chcesz zobaczyć, co tu na ciebie czeka? Liz. Trzask. Łup.

Nie, idźcie sobie, idźcie sobie.

- Dobrze mi tu na górze.

- Oj, no chodź. Będzie wesoło. Liz. Trzask. Łup.

Pomocy! Idźcie sobie! Niech mi ktoś pomoże!

- Nie, dziękuję. Nie mam ochoty.

- Uuuu, chłopaki! Czy nie jest urocza? Taka dobrze wychowana.

Więcej pajaków wgryzło się w jej nogi, przepelniając ją jadem. Ciężka próba dla żołądka.

- Rheena! - Jej rodzona matka przerwała tę udrękę. - O, witajcie, chłopcy. Nie powinniście się szykować? - Rheena otworzyła zaciśnięte powieki, jej żołądek się rozluźnił. - No już, pozamykać gęby i sio mi stąd. - Cisnęli w stronę dziewczyny parę przekleństw, parę śmiechów, i zniknęli.

Na razie.

- Uch. Musisz przestać odciągać ich od obowiązków. Dziwka.

**6**

Jedną ręką ściągnęła Rheenę z jej grzędy marzeń; dziewczyna spadła w błoto pod szczeliną.

- Już prawie pora na polowanie. Musimy ich przygotować do wyjścia. Powyżej. - Matka wyciągnęła pałającą blaskiem rękę w kierunku nieba, krzywiąc się ze strachu i obrzydzenia; ostatnie słowo wypowiedziała szeptem. Jej błękitne oczy strzelały na boki, świadome zamieszania panującego wokół. Myśliwi zbierali narzędzia do zadawania śmierci. Rhee-na nie mogła przebić wzrokiem ciemności, która ich pochłaniała. - Chodź, dziewczyno. Obetrzyj się, wiecznie jesteś uświniona. Nie mam pojęcia, dlaczego ciągle siedzisz tam, blisko słońca, i ryzykujesz, że zobaczą cię Inni. -1 znów szept. Jakby wypowiedanie ich imienia mogło naznaczyć tych Poniżej, wystawić ich na śmierć. Rheena uśmiechnęła się w duchu, mając nadzieję, że tak będzie. - To ohydne, Rheeno. Odrażające. - Ruszyła za pomstującą matką, przemykając między bladymi ciałami, które człapały obok, ciężkie i milczące od niepokoju, aż do wyjścia z jaskini.

- Ehm, przepraszam?

Syczące westchnienie wyszło z ust matki, gdy odwróciła się w stronę Rheeny.

- Co znowu?

- Mogę iść Powyżej z mężczyznami? Ten jeden raz?

- Co za głupia dziewczucha.

Rheena musiała stanąć przed wejściem do ich schronienia; zapraszano ją do środka tylko wtedy, kiedy ojciec mógł znieść jej widok. Patrzyła niespokojnie, jak pałające postacie uwijają się, wchodząc i wychodząc z dziur ich osady przypominającej ul. Nie zostawiajcie mnie samej. Tutaj. Z nimi.

- Naprawdę musimy to przerabiać każdego cholernego miesiąca? - huknął jej rodzony ojciec w ich norze. Jego znajome słowa było słyszeć przez wejście nory, za którym czekała Rheena.

Wiecznie czekała.

- Kobiety nie chodzą Powyżej, a już na pewno nie na polowanie. To męska robota. Część bycia mężczyzną. Dlaczego ta dziewczucha ciągle musi o to pytać? Powinna wiedzieć, że moja odpowiedź będzie zawsze ta sama. Nie! - Umilkł, ale jak wszyscy mężczyźni z Poniżej, nie spodziewał się i nie chciał odpowiedzi swojej żony. - Przyrowadź ją tutaj, to jej to powiem. Znowu. - Skrzypnięcie jego wielkiego, drewnianego krzesła powiedziało jej, że usiadł, zmęczony i zniesmaczony dziewczyną czekającą na zewnątrz. Jak przez wszystkie miesiące i lata do tej pory, zeszywniała, czekając, aż matka wepchnie ją do środka, gdzie przywita ją maska nienawiści i obrzydzenia: twarz ojca. Ale tym razem coś się zmieniło. Rodzona matka Rheeny odchrząknęła; jej głos drżał, było w nim wahanie.

**15**



- Czy naprawdę powinniśmy ją powstrzymać tym razem? - Żadnej odpowiedzi. - Bo skoro tak bardzo pragnie tego Powyżej, pewnie w końcu się zabije, próbując się tam dostać. Nie mógłbyś po prostu pozwolić jej iść? - Matka mówiła dalej, nie pozwalając sobie przerwać. Mając nadzieję, że on jej nie przerwie. - Nikt jej nigdy nie wybierze, żeby się rozmnażać, a ona nie widzi dość dobrze, żeby wykonywać najprostsze obowiązki w domu. Nie nadaje się dla mężczyzny. Będziemy na nią skazani i wszyscy wiecznie będą patrzeć na mnie i na ciebie, jakbyśmy byli nie lepsi od tych, co nigdy nie rosną. Doprawdy, zrobiłeś już wszystko, co mogłeś dla tej dziewczyny. Więc zapytam jeszcze raz: czy powinienes ją zatrzymać?

- Nie.

To jedno słowo zdecydowało o jej losie. To jedno słowo było aktem miłości. To jedno słowo: wolna. Jej rodzona matka, wynalazczym nowego losu Rheeny, wypadła z nory, wykręciła jej rękę, powlokła ją zapleśniałym korytarzem i wepchnęła w dużą dziurę, prowadzącą nad ziemię. Z pełną nienawiści satysfakcją zostawiła mieszkańcom wielkiej jaskini stanowczą instrukcję:

- Ma iść Powyżej z mężczyznami, kiedy pójda polować. I ma nie wracać. - Sama Rheena nie usłyszała na odchodne ani słowa pożegnania.

**16**

Otoczyli ją myśliwi. Otoczył ją strach.

Czekali, aż ostatni skrawek słońca zajdzie. Kiedy wstawiała noc, Inni nie byli groźni. Te wysokie istoty nie potrafiły przetrwać bez swojego słońca. Bo wyjście w czas księżyca, w ciemność, budziło Żniwiarza.

Mężczyźni z Poniżej zaczęli się wspinać, skupieni razem. W ich stadzie robiło się coraz goręcej od testosteronu i fantazji o zabijaniu. Obmacywali Rheenę, popychali ją, podstawiali jej nogi, maszerując w górę  
w górę  
w górę z jamy. Jak mrówki.

### 3

Rzeńskie powietrze oproszone słońcem zawiroowało wokół dziewczyny zrodzonej z ziemi. Myśliwi rozproszyli się, a ona stała, nieruchoma i wdzięczna. Nareszcie. Niedoświadczona i młoda, nie miała absolutnie żadnego planu.

Tylko nadzieję. Wieczną nadzieję.

- Rheena. - Jej podziemne imię uleciało w górę, całując niebo, szepcząc pożegnania. Domu. Czy cię znalazłam?

Światło wschodzącego księżyca pogładziło czerń jej włosów. Zalśniły jak onyks. Bezimienna rozejrzała się dookoła. Jej dawne plemię posyłało strzały irytacji i nienawiści w jej obcą postać. Wiedzieli, że nie przyłączyła się do nich, żeby polować. Ostrożność, z jaką poruszała się wśród gęstej trawy, obudziła ich gniew. Jak ona śmie szanować Powyżej? Trawa chwyciła jej nowe członki, grożąc, że wciągnie ją z powrotem tam, gdzie była tylko brudną, głupią zabawką. Patrzyła w górę, gdy oni patrzyli na boki. Stała z wyciągniętymi ramionami, gdy oni kulili się w ukryciu, czekali.

Wiecznie czekali.

Zapadli się głębiej w trawę, dla kamuflażu. Odrzucali ją Powyżej, tak jak czynili to Poniżej.

Z wyjątkiem jednego. Dziesięć palców mężczyzny, mokrych od jadu, wsączało milczące obietnice w jej duszę.

Wytropię cię.

Znajdę.

Zabiję. Wyliżę do sucha, Odmieńcze.

**18**

## 12

Oddzieliła się od nich, bezimienna. Jej pępowina została przecięta. Żyła.

Jak wystraszony duch, ostrożnie szła po omszałym dnie lasu, zdumiona, szczęśliwa. Witała drzewa dłońmi i przytulała bosc stopy do ich korzeni. Czuła resztki upału, pozostawione przez letnie słońce i dziękowała niebu za wiatr.

Myśliwi wciąż byli blisko. Jeszcze nie uciekła przed dumnymi, prymitywnymi wybuchami chęci mordu. Krzyk rannego zwierzęcia przedarł się między pniami jej nowych przyjaciół. Przeraził jej posiniaczone ciało i przewrócił ją w szelest liści.

Upadek

miękki. Zwodniczy.

To, co czaiło się na ziemi,

było zdradliwe. Wiecznie czekało.

Wystrzeliła pułapka Innych, wnyk zrobiony z liny. Bezimienna dziewczyna poleciała do tyłu.

Szorstkie, twarde ciało jej przyjaciela było bezlitosne. Plamy czerni rozlały się przed jej oczami jak milczące żuki.

## 19

### 13

Słońce obudziło się i zapukało w otwarte okno Sola. Pod nieobecność słońca jego sen był jak letarg. Połaskotało go w szyję i zatańczyło na jego nagiej hebanowej piersi w takt piosenki: *Obudź się, śpiochu, pobudka,*

*I nie waż się wracać do tóżka! Pora wstawać, leniuchu!*

*Zdobycz w pułapce, jedzenie  
w brzuchu!*

Muzyka, namiętność. Rymy z niczego. *Zdobycz w pułapce, jedzenie w brzuchu?* - Zgadza się. Pewnie jakiś z Poniżej już czeka. Czeka?

Złapany, złowiony, spętany. Jeniec.

Morderca,

Inny przeciągnął swoje palce modliszki, chrupnął kręgami swojej żyrafiej szyi, przygotowując się. Rytuał.

Jego śmiertelny cios. Jego uczucia. Jego ruchy. Wszystko zaplanowane. Zawsze takie samo.

Morderca. Sol otworzył drzwi, spokojny.

Morderca.

### 20

Z zamkniętymi oczami rozłożył ramiona, by objąć ten krzyk, który go pochłonie. Część jego terazniejszości.

Morderca.

Ale nie usłyszał nic. Jego prezent nie wydał żadnego dźwięku.

- Nic? - Sol oklapł. Uchylił powieki. - Zaraz. Coś jednak było.

Zbliżył się sztywno.

- Czym ty jesteś?

Lina i liście puściły, wypływając bezimienną. Młodą kobietę. Nieodpowiedni kolor skóry. A tak pragnął bieli chmur.

Źle. Wszystko źle.

Jak ptak aż drżał z fascynacji, z ciekawości. Ale nie z emocji; nigdy z emocji.

Jeszcze takiej nie widział. Unikat, nowość.

Wniósł ją do środka. Położył na łóżku.

Moc bez wysiłku. Siła bogów. Szybkość skradziona wiatrowi.

Czy to był akt współczucia?

Nie. Nigdy. Żadnego współczucia.

Tylko zdziwienie. Wyprane z emocji.

**21**

## 6

Choć słońce się obudziło, patrzyło, on pozostał ukryty pod martwymi liśćmi, martwą korą, martwą ziemią.

Oddzielił się od innych myśliwych. Nie mogło być świadków.

Tchórz.

- Dziwka myśli, że może uciec i tak po prostu o niej zapomnimy. Pieprzony odmieniec. - Obląkańczy śmiech wypadł spomiędzy mokrych jak robaki warg i owinął się wokół noża. Jego noża. - Nie, nie, nie. Jeszcze nie skończyliśmy zabawy. Ja mówię, kiedy mam dość, a jeszcze nie mam. - Zasnął w smrodzie, czekając na księżyc. Zabójca. Tchórz.

Narzędzie tortur szeptało sadystycznie. Spragnione. Szczęśliwe.

Zabij ją.

Zabijemy.

Skrwawimy ją.

Skrwawimy, posmakujemy, wylizemy do sucha. Sama się prosiła. Żebyśmy ją zabili. Urodziła się odmieńcem.

Zabić zabić zabić zabić zabićzabićzabićzabićzabić zabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabićzabić.

Mniammmm.

**16**

Dziewczynę obudziły namacalne dźwięki. I słońce.

Gęste wibracje wiły się w jego żarze, kojące fale odsłaniały świadomość, obmywały jej ciało, leczyły, dodawały mocy.

Czerń odsunęła się z jej oczu, ukazując obce otoczenie. Usiadła. Usta nie były w stanie wypluć słów. Umysł ciążył, ołowiany i pusty. Muzyka, która przywróciła ją do życia, ucichła. Wpuszczając ból, który wiercił dziury, przenikał z czaszki do kręgosłupa. Skrzywiła się, zagryzając zęby; rzeczywistość blakła, sen pędził za nią, doganiał. Ale utknął w głębokiej melasie.

- Jesteś tu bezpieczna.

Zdziwienie wyprane z emocji.

Bezpieczna. Ty, dziewczyna bezimienna, niechciana, dręczona, odrzucona. Jesteś bezpieczna.

Odwróciła się do niego, odcinając ból. Każde uderzenie jej serca odpowiadało mrugnieniu jego oczu - jajek zanurzonych w szmaragdowej tajemnicy, zawieszonych na gładkiej, spokojnej twarzy. Całe

Poniżej mogło sczeznąć, uschnąć w tych oczach.

Sol kiwnął głową i grał dalej.

Muzylca. Ale ta muzyka była inna niż surowe rytmy z Poniżej.

**23**



To była namiętność.

Gładka, czarna postać Innego stapiała się ze strunowym instrumentem w kształcie kobiety, stawała się płynna. Jak tusz, który oderwał się od stron, z których grał, ulepiony w kształt mężczyzny.

Jego muzyka dławiała jej wnętrze.

Rzeźbiła na nowo.

Odradzała.

Łzy zapiekły ją w oczach, zeskokczyły z podbródka, popłynęły po szyi. Widziało ją słońce. Naga.

Nową. Odsłoniętą.

Jego piosenka skończyła się, jego oczy zaczęły torturować moką twarz. Niewinna, piękna.

Piękna. Ty, dziewczyna bezimienna, niechciana, dręczona, odrzucona. Jesteś piękna.

- Przestraszyłem cię? Cisza

tylko liście zaszeleściły w odpowiedzi.

- Nie musisz się bać. Nie zrobię ci krzywdy. Jesteś zbyt... odmieniona.

Zdziwienie wyprane z emocji.

Dziewczyna zamrugała powoli, usuwając zwątpienie ze swoich oczu. Był obok niej. Inny.

Półtora metra to niedaleko.

Bił od niego chłód. Dziergał dreszcze na jej ramionach.

- Hm, powinnam się bać, ale...

**24**

Jestem zbyt odmieniona? - Ale się nie boję.

Ból tej podróży w górę, w to bezpieczne miejsce, rozkręcił się jak sprężyna. Jej głowa zapłonęła, wściekła.

Zamykając oczy,  
podciągnęła nogi pod brodę.

I znów zapadła się w czarny sen.

Sol chwycił tę nową, bezimienną dziewczynę, powstrzymał ją przed zaśnięciem.

Błąd?

Ich gatunek nie czuł, jeśli nie mordował. Nie był zaprojektowany do odczuwania naturalnych emocji.

Ale dotykając jej, czuł wszystko. Ból i żar wysrane z jej ciała

sączyły się przez niego,

pozostawiając cienie uczuć. Zielone, krystaliczne oczy zadrżały od jej bólu jej pragnień

jej potrzeb.

Puść!

Jest wyjątkowa. Inny spojrzał na nią

samotną

niepewną

**25**

piękną. Nie wiedząc, co się stało. Pragnąc więcej.  
Zdziwienie uleciało.  
Spaliło go pożądanie.

## 8

Poczuła tę więź. Jej życie - układanka.  
Poukrywane elementy. Znalazła jeden.  
Inny zamrugał, wstał. Znów bez emocji. Racjonalny.  
- Jestem Sol.  
Chciał jej dotyku. Nie jej słów.  
- Och, ehm...  
Odrywając oczy od jego oczu,  
zaczęła szukać nowej tożsamości, bo nie chciała być związana z szorstkim imieniem, które jej nadano.  
- Aurora. Jestem Aurora.  
Wycelowała palec w swoją pierś, jakby chciała wepchnąć imię do serca. Chłodny, pachnący słońcem

wietrzyk bawił się dojrzałym brązem jej splątanych włosów, kjedy rozglądała się po małej izbie. Uniosła wzrok i zobaczyła, że nie jest już w pobliżu ziemi. Aurora wyciągnęła szyję i przebiegła obok Sola do rzędu okien naprzeciw. Jej ciało zeszywniało z podniecenia i zachwytu.

- Jak się tu dostałam?

Niebezpieczna podróż do jego domu w koronach drzew wypaczyła wspomnienia.

- Złowiłem cię. Byłaś nieprzytomna, więc przyniosłem cię tutaj i czekałem przy tobie.

Racjonalny. Emocje?

Nie. Nigdy. Żadnych emocji. Tylko od jej dotyku.

- Złowiłeś mnie?

Odwróciła się do niego. Jej radość zmieniła się w irytację i strach. Obrazy z przeszłości stawały się wyraźniejsze.

Czy to może być koniec?

Nie. Poczula coś. Oboje coś poczuli.

Początek.

Wierzyła w to, co powiedział. Była bezpieczna. Tu. Z nim. A poza tym była zbyt odmieniona.

**27**

Aurora pozwoliła, by jej pytanie, jej wątpliwość wyslizgnęła się z głowy przez uszy w dół, po rękach za okno.

Nie chciała, żeby cokolwiek przeszkadzało jej czuć. Nareszcie czuć. Nareszcie ufać. Nareszcie szczęście. Ale ciekawość pozostała. Przeszła przez pokój. Z powrotem do niego. - Powiedz mi, dlaczego zabijasz. Chcę zrozumieć.

**9**

Słuchał jej słów, ale mógł się skupić tylko na jej ustach.

Ledwie się poruszały

a jednak mówiły tak wiele.

Sol chciał przycisnąć do nich swoje i poczuć. Zamknąć te słowa i pozwolić, żeby ciała popłynęły razem.

Pozwolił tym fantazjom dojrzeć, zanim przemówił. - Chodź ze mną.

**28**

Poprowadził ją w głąb swojego domu i wskazał jej krzesło przy stole zasłanym kartkami. Muzyczne kropki i ogonki przemykały po stronach.

Usiadł naprzeciw niej.

- Lud, z którego pochodzisz, ma świecące ciała, ich źrenice pożerają światło, wchłaniają je. To światło, które krąży w nich, daje nam coś tutaj, Powyżej.

Coś, co musimy wysysać. Coś, co musimy pić.

Jego usta rozchyliły się. Pokazał się rząd zębów. Jednakowych. Zacisnął powieki. Zaraz.

Dwa były inne.

Wysunął kły. Zaostrzone w szpic. Ostre. Śmiercionośne.

Zniknęły.

- Robię to dla tego. Dla mojej muzyki. Dla tego, co słyszałaś, co cię obudziło. Nie umiem tego tworzyć sam z siebie.

Bez twojego ludu, bez ich światła nie umiem sobie wyobrazić. Ja, my, jesteśmy pozbawieni uczucia, dotyku. Prawdziwych emocji.

**29**

Sol wyciągnął drżące palce w jej stronę, ośmielając się dotknąć.

- Nie potrzebuję tego, żeby utrzymać się przy życiu; potrzebuję tego, żeby żyć. Ale ty, Auroro, jesteś wyjątkowa. Jej serce zakradło się do gardła. Chciała przyciągnąć go do siebie i szlochać podziękowania w jego pierś.

Czy jestem w domu?

- Twój dotyk napędza mnie tym samym życiem, dla którego musiałbym zabić.

Aurora wiedziała, że powinna, ale nie potrafiła się go brzydzić, nie potrafiła się go bać. Takie same zduszone emocje czuła w swoim więzieniu Ponizej.

To już nie jest mój lud. Nigdy nie był.

Bez zastanowienia wsunęła dłoń w jego dłoń. Była jak chłodny kamień pod jej palcami.

Jego oczy uciekły w głąb czaszki, więc zamknął je, oddychając głęboko.

- Co czujesz? - szepnęła Aurora.

Sol uśmiechnął się i otworzył oczy. Aurora siedziała przed nim, czekając na aprobatę.

- Wszystko. Ona jest pięknem.

Sięgnął przez wąski stół i przyciągnął jej twarz do swojej.

Ciepłe usta dotykały, napierały. Wymieniając z nim nowe uczucia.

**30**

Ciepłe wargi napierały, rozchyliły się. Dając mu dostęp do tajemnic.  
Okrażył stół, nie rozdzielając się z nią, i przycisnął jej ciało do swojego. Pocałował ją głębiej i poczuł,  
że wysuwają mu się kły.  
Odsunął usta.  
Po raz pierwszy czuł zażenowanie,  
Aurora uśmiechnęła się i przeciągnęła palcem po jego ostrych zębach.  
- Nie szkodzi.  
Akceptowała go, pragnęła go całego. Dość czekania.  
Przyciągnęła go z powrotem do siebie.  
Muzyka, jego muzyka, popłynęła przez jej ciało.  
Pożądanie wyzwoliło jej ręce, zaczęła się szamotać z guzikami, suwakami, sznurkami. Nigdy nie  
pragnęła, nigdy nie chciała, nigdy nie czuła tak bardzo.  
Miłości, domu, znalazła was.

**10**

Wstała noc i zbudziła uśpione obietnice. Księżyc zakradł się do ukrytej dwójki.

**31**



Zabójca. Tchórz. Obudź się. Musisz wstawać. Musimy polować.

Mężczyzna zerwał się. Napędzany zgnilizną swojego legowiska i chorymi, słodkimi wizjami zakrwawionej dziewczyny.

Zabójca. Tchórz.

Zdrapał nożem z policzka swoją ślinę, uzbrajając go przed czekającym go zadaniem.

Znajdź ją.

Zabij ją. Odmieńca. Dziwkę. Musimy zabić.

Teraz teraz teraz teraz terazterazterazterazterazterazterazterazterazterazterazterazterazteraz. Naprzód!!!

Pomknął po podłożu Powyżej. Wiedział, że łatwo będzie ją znaleźć. Znał jej głos. Znał jej zapach.

Wiedział, że jest blisko.

**11**

Sol leżał obok piękna, miłości. Wpatrywał się w nią, kiedy mówiła o przeszłości, o swoich marzeniach, nadziejach, chceniach, pragnieniach, miłości.

**32**

Nie dotykał.  
Wciąż czuł. Odmieniła go.  
Miał emocje bez jej dotyku. W niej odnalazł siebie.

## 12

Oczywiście pierwsze, co zrobi, to spiknie się z którymś z tych Innych i zostanie suką jakiegoś mordercy. Ale on cię teraz nie obroni, o nie. Nie może cię teraz obronić.  
Jego oszalałe wymyślenia zostały wysłuchane i doczekały się odpowiedzi: Musisz jej dać nauczkę. Musi się nauczyć.

Skrwaw ją, posmakuj, wyliż do sucha.

Prosiła się o to. Żebyśmy ją zabili.

Przemykał się w górę w górę w górę. Drąc ubranie, drapiąc ciało. Nie czując bólu. Jego nóż był spokojny, czekał między mokrymi zębami. Zabójca. Tchórz.

Dotarł do niej. Szorstka kora kleiła się do jego dłoni, mokrych z pożądania, niecierpliwości. Okrywała

## 33

go noc, ale i tak stał w cieniu, pijąc chwilę, zanim ofiara go dostrzeże.

Prosiła się o to.

Zabij ją.

Uwolnił nóż spomiędzy zębów i pomalował wargi nadmiarem śliny. Zabij ją.

Jego oddech przyspieszył, zdradzając jego obecność. Odwróciła się szybko i jego ciało zaczęło mrowić.

- Pokaż, co masz pod tym kocem, dziewczyno. Nim zdążyła krzyknąć, uciec, uderzyć, poczuć, zrozumieć, był na niej. Wylądowała z łoskotem na drewnianym ganku. Koc rozdarł się, a on siedział na jej wijącym się, gołym brzuchu. Cztery pajęczne palce przedarły się przez jej zęby i przycisnęły język.

- Ćśś, ćśś, ćśś, nie krzycz. Zabawimy się.

### **13**

Sol się obudził. Miejsce obok niego było puste, a słońce milczało. Każdy pokój. Pusty, sam.

### **34**

Ale drzwi

otwarte.

- Aurora? Jesteś tam? Zalało go nowe uczucie.

Panika, żal, wyparcie, rozpacz wyrwały się z jego żołądka, rozprysnęły u jego stóp, kazały paść na dłoń i kolana.

- Nienienienienienie. - Szepty. Podpełzł do niej.

Niewinnej, pięknej. Jej usta, oczy otwarte. Jej ciało zbyt białe.

Zbyt odmienione. Tylko dwie barwy:

Ziemia.

Krew.

Brazowe i czerwone odciski palców malowały koszmarnie kwiaty na jej pociętym ciele. Tyle krwi.

Zbyt wiele krwi. I słowo.

Zobaczył je, kiedy zawijał ją w koc.

Była taka zmarznięta, samotna. Była taka zmarznięta, samotna...

martwa.

Wyrżnięte słowo. Wyrżnięte na policzkach.

„Odmie - niec”.

**35**

Dotknął skórzastego napisu. Zostawiła mu jeden, ostatni dar. Obrazy zamigotały w jego głowie.

Mężczyzny. Noża. Poniżej.

Nowe uczucie zaczęło się rodzić pod jego skórą.

Wściekłość?

Tak.

Zawsze.

Ułożył ją w swoim łóżku. Żeby była bezpieczna.

A potem jak robot wyszedł z domu i zrobił krok z krawędzi ganku.

Suche liście zachrzęściły pod bosymi stopami, kiedy wylądował.

Krew, jej krew, rysowała triumfalną ścieżkę prowadzącą do Poniżej.

Sol ruszył nią. Jego stopy tak szybkie, że frunął.

Tego człowieka już nie było. Ten kochanek, przyjaciel, towarzysz, schronienie, dom już nie istniał.

Umarł z nią.

Zabiję was wszystkich.

**36**

**30**

Skąd wychodzili myśliwi, tam wszedł Sol. Tylko jeden człowiek na straży. Oczy zamknięte, stopy rozparte, pilnował. Wysoka, czarna postać wykręciła głowę strażnika.

Won z nią. Zaskoczenie. Żadnego dźwięku.

Tylko wściekłość. Zawsze wściekłość.

Inny ruszył do wejścia, macając po drodze ściany.

Ślepy. Tak ona się czuła.

Gardło zaczęło opadać mu do żołądka, ale zmusił je do powrotu na miejsce.

Tylko wściekłość. Zawsze wściekłość.

Dotarł do korytarza. Nikogo. To była ich noc. Ich czas spoczynku. Miał w sobie zbyt wiele mocy, zbyt wiele furii, by ich senna odrętwiałość mogła pokrzyżować jego plany.

Pomogę wam odpocząć. Zabiję was wszystkich.

Koszmar wędrował od nory do nory. Pokręcony cień odbierający życie.

Ciągnięty na obroży rozpaczy, wiedziony przez gniew.

Kiedy tak wędrował przez Poniżej, szukając kolejnych do zabicia, poczuł to.

**37**

Poczuł jej zapach.

Stworzenie pomknęło w stronę zapachu; przywitał je obłąkańczy chichot.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Czuję to. Tak jak czuję ją.

Świecąca postać zakręciła nożem w dłoni i przycisnęła go płazem do

nosa

warg

języka.

Oczy wywracały się z każdym liźnięciem.

- Tego odmieńca.

Ledwie dokończyło słowo, stworzenie skoczyło i przygwoździło ofiarę. Ściana ziemi, twarda pod rami-  
onami mężczyzny.

Śmiech wciąż rozbrzmiewał.

-Była

niezła

zabawa.

Dłonie Innego na świecących barkach zacisnęły się mocniej. Kciuki wbiły się w skórę, mięśnie, do-  
tarły do kości.

- Teraz ja się zabawię. - Inny wysunął kły i rozdarł twarz mężczyzny. Rozerwał szyję.

Zdzierając skórę. Nie było już śmiechu. Tylko poczucie straty.

**38**

**32**

Krew, śmierć, strata, rozpacz, wściekłość gotowały się jak kwas w jego żołądku. Zwymiotował, chcąc go opróżnić, i na ślepo dowlókł się z powrotem do dziury, którą się tu dostał.

Dotarł do wyjścia.

Uwolniło ją, a teraz więziło jego.

Słońce zachodziło, ale dla tego stworzenia światło zgasło już wcześniej.

Nie miał nic

a rozpaczliwie pragnął wszystkiego.

Szept. Imię. Sfrunęło z księżycą i ucałowało jego serce.

Rheena.

Sol wyszedł w noc.



*Noel Alyson*

**Pocałunki z piekła 2**

*Przywróć mnie do życia*

*Do zmarłego podróżuj pospiesznie.*

**Bram Stoker *Dracula***

**1**

Zatrzymuję się.

Mimo tłumów ludzi przepychających się wokół mnie, wbijających mi torby w plecy i mamroczących pod nosem przekleństwa, stoję jak przymurowana. Daję sobie chwilę na rozejrzenie się po terminalu lotniska - od brudnej podłogi wykładanej kafelkami, które tak bardzo oddaliły się od swojego pierwotnego białego koloru, że już nigdy do niego nie powrócą, po dołujące beżowe ściany, na których widnieją okropne czarne znaki z żółtymi strzałkami, wskazującymi takie miejsca, jak toalety czy kolejki do taksówek i autobusów. Poprawiam niewielką torbę z przyborami malarskimi i zastanawiam się, gdzie podziała się reszta mojej grupy - czy jakimś cudem się zgubili, zawrócili, zdezorientowani przez te strzałki, i poszli w innym kierunku. Przecież niemożliwe, żebym tylko ja dotarła aż tutaj, prawda?

**2**

Tłum wreszcie rzędzie i jesteśmy tylko ja i on -Monsieur Koszmarny, w kraciastych spodniach, dziwacznych butach i rozciągniętym niebieskim swetrze. Czy raczej, jako że jestem w Anglii, nazwijmy go Sir Koszmarny. A że trzyma tabliczkę z napisem „Akademia Sztuk Pięknych Sunderland Manor”, jestem właściwie pewna, że to mój kierowca.

Idę w jego stronę, starając się w miarę możliwości ignorować migdalącą się przede mną parę - obściskują się, patrzą sobie w oczy i całują się, jakby to był ich pierwszy raz, mimo że równie dobrze może być ostatni, o czym jedno z nich nie ma pojęcia. Daje o sobie znać ten znajomy supeł cynizmu, który siedzi we mnie i który nazwałam Jake. Tak miał na imię chłopak, który go we mnie umieścił. Dopadają mnie wspomnienia chwil, kiedy i my się tak obściskiwaliśmy, tak całowaliśmy, dopóki Jake nie obudził się któregoś dnia i nie stwierdził, że woli obściskować i całować moją najlepszą przyjaciółkę Tiffany.

- Sunderland Manor? - pyta Koszmarny z wiejskim akcentem. Dopiero po chwili orientuję się, że to było po angielsku.

- Tak, ehm, to znaczy tak, to ja. - Kręcę głową, bo w tej chwili nie radzę sobie wiele lepiej niż on z ojczystym językiem. - Jestem... uczennicą Sunderland Manor. - Kiwam głową.

- Znaczy tyle was?

Rozglądam się i wzruszam ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie rozumiem, dlaczego szanujący się początkujący artyści starannie kompletowali portfolio, by dostać się do nowej, najbardziej ekskluzywnej akademii sztuk pięknych dla młodzieży (jak twierdziła broszura), po czym albo spóźnili się na samolot, albo zwiali gdzieś po drodze. Ale może oni nie potrzebowali tej szkoły tak bardzo jak ja. Może w ich życiu nie było Jake'a i Tiffany.

Odgarniam na bok swoje długie, ciemne włosy i przewieszam torbę w kolorze zieleni na drugie ramię. Wciąż pamiętam minę Niny, kiedy wybrałam tę, zamiast torby, którą kupiła mi na podróż. Bo chociaż obiecałam tacie, że zrobię, co w mojej mocy, żeby Ninę zaakceptować, to fakt, że kupiła mi turkusową torbę w różowe kwiaty hibiskusa dowodzi, że ona sama nie bardzo się stara zaakceptować mnie.

- Nazwisko proszę - mówi, czy raczej strzela. Zabrzmiało to jak wystrzał, jakby strasznie mu się spieszyło czy co.

- Ehm, Danika Kavanaugh? - Mówię to z pytającą intonacją, jakbym oczekiwała od niego, że potwierdziło je nazwisko. Przewracam oczami i kręcę głową. Miło wiedzieć, że w Wielkiej Brytanii jestem taką samą idiotką jak w USA.

**45**

Koszmarny kiwa głową, stawia ptaszka przy moim nazwisku i przepycha się przez szklane drzwi, zakładając, że pójdę za nim - co też robię.

- Ehm, a co z moimi bagażami? - pytam piskliwym głosem, tonem proszącym żałośnie „polub mnie”. -Powiedzieli mi, że nie dojechały...

Myśli pan, że je dowiozą czy będziemy musieli tutaj wrócić?

Mamrocze przez ramię coś, co brzmi jak „dowiozą”, ale idzie tak szybko, że nie jestem pewna.

- Wie pan może, co się stało z innymi uczniami? -pytam ze wzrokiem wbitym w tył jego głowy. Łysy placek błyszczący jak środek tarczy pośród wianka włosów tak rudych, że to aż podejrzane, jakby je farbował czy coś. Robię, co w mojej mocy, żeby nadażyć za tym starym chudzielcem, który porusza się niesamowicie szybko jak na swój wiek. Sapiąc i rzeżąc z wysiłku, mówię: - Nie powinno nas być więcej?

Ledwie kończę to zdanie, gość zatrzymuje się tak gwałtownie, że wpadam w niego. Serio, prościutko w niego. Żenada.

- Obawiam się, że już dla nich za późno, panienko -mówi, kompletnie niezrażony faktem, że moja torba właśnie dziabnęła go w plecy. Bez zmrużenia oka zdejmuje ją z mojego ramienia i dodaje: - Za gęsta mgła. Mrużę oczy. Z kurzymi łapkami i zmarszczonym nosem rozglądam się dookoła, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli. Owszem, jest trochę wilgotno,

pochmurno i szaro, ale w końcu to Anglia, nie? To chyba jesiw pakiecie. Problem w tym, że nie widzę żadnej mgły. Ani śladu. Więc odwracam się do niego i mówię, co widzę, pewna, że źle go zrozumiałam przez ten akcent i w ogóle.

Ale on tylko spogląda surowo, pstrykając na mnie palcami, żebym się pospieszyła i wsiadała.

- Jeszcze panna zobaczy - mówi. - Niech panna wsiada, musimy ruszać, zanim będzie gorzej.

Kulę się na tylnym siedzeniu vana, otulając się szczelniej granatową marynarską kurtką, kiedy on zatrzaskuje drzwi i siada za kierownicą. Wsuwam palce głęboko do prawej kieszeni i dotykam małej monety, którą moja babcia wszyła pod materiał wiele lat temu, kiedy kurtka należała jeszcze do mojej mamy. Po jej śmierci dostałam ją ja. Wyglądam przez okno, z czołem przyciśniętym do zaparowanej szyby, myśląc, że jeśli będę się wpatrywać dość uważnie, zobaczę tę mgłę, która go tak niepokoi. Ale nie widzę. Więc próbuję ostatni raz:

- Widoczność jest całkiem dobra...

Ale on chrząka tylko, ściskając kierownicę dłońmi ustawionymi na dziesiątej i czternastej, i wlepia oczy w drogę. W końcu mówi:

- Tak Jo już jest z tą mgłą... to nigdy nie jest to, na co wygląda.

Zasypiam.

To znaczy nie pamiętam jazdy, więc domyślam się, że właśnie to się stało. Wiem tylko, że w jednej chwili wyjeżdżaliśmy z lotniska, a w następnej znalazłam się w zupełnie innym świecie, gwałtownie wyrwana ze snu przez wyboje na drodze - fatalną kombinację fatalnych dziur i fatalnych amortyzatorów.

- To szkoła? Tam, przed nami? - Mrużąc oczy, patrzę w dal i wciąż nie widzę ani śladu mgły, o której bredził. Widzę za to dużą kamienną budowlę na szczycie wzgórza, która wygląda jak któryś z tych nawiedzonych dworów, o których czyta się w gockich romansach - to mój ulubiony gatunek literacki. To jeden z tych niegościnnych domów, w których hulają przeciągi, pełnych bezcennych antyków, skrywanych tajemnic, dziwnych służących, obrażonych duchów, i koniecznie z guwernantką, która oczywiście zakochuje się w wysokim, ciemnowłosym i fascynująco ponurym właścicielu, choć broni się przed tym z całych sił. Sięgam po moją torbę i wydaję szkicownik, chcę narysować pierwsze wrażenia, udokumentować wszystko, co widzę. Ale droga jest zbyt wyboista i ołówek co chwilę zsuwa mi się po kartce, więc daję sobie spokój, zanim w ogóle zaczęłam, i zadowolam się gapieniem z otwartą buzią.

Podjeżdżamy do wielkiej, wspaniałej bramy. Szofer wychyla się przez okienko, wciska guzik i mówi:

**48**

- Już jest.

Co, szczerze mówiąc, wydaje mi się trochę dziwne. „Już jest?” Czy nie powinien powiedzieć: Już jesteśmy?

Czy oni nie spodziewają się kilku uczniów?

Pięciorga utalentowanych, szczęśliwych młodych artystów wybranych spośród tysięcy kandydatów.

Pięciorga szczęściarzy, którzy nie tylko przeszli rygorystyczny, wieloetapowy proces naboru, ale musieli też skompletować portfolio z obrazów namalowanych specjalnie na tę okazję - portfolio z obrazów przedstawiających nasze sny.

I nie chodzi mi o sny w znaczeniu marzenia, cele. Chodzi mi o nocne wizje. A jako że zawsze miałam dość bogate „życie senne”, zawsze miewałam su-perrealistyczne, klarowne sny w technikolorze, już w chwili, kiedy przeczytałam folder, wiedziałam, że to szkoła dla mnie. Pomyślałam, że mam spore szanse na dostanie się i wygląda na to, że miałam rację.

Ale choćby moje sny były nie wiadomo jak realistyczne, nigdy nie śnił mi się taki dom jak ten. Dom z podjazdem tak długim, krętym i stromym, obsadzonym tak intensywnie czerwonymi różami na długich łodygach, które dosłownie sięgały ku nam i zdrapywały lakier z boków vana. Kiedy dojeżdżamy na górę, wyskakuję z samochodu i rozglądam się dookoła, chcąc wchłonąć wszystkie widoki.

**49**



Kamienna fasada, gargulce, łuki przyporowe, dziwaczne, małe płaskorzeźby skrzydlatych stworów i gremlinów - to jest po prostu... widowiskowe. Totalnie i kompletnie perfekcyjne. To jest wszystko, na co miałam nadzieję, i więcej.

- Będzie na to mnóstwo czasu później - mówi szofer, zakładając sobie moją torbę na ramię i ruszając do drzwi, które otworzyła kobieta o surowej twarzy, z siwym warkoczem zwiniętym w ciasną spiralę z tyłu głowy, ubrana w prostą czarną suknię z białym koronkowym kołnierzykiem i fartuszkim. Jej skóra jest tak blada i przejrzysta, jakby nie oglądała ani jednego słonecznego dnia.

- No proszę. Panienska to pewnie Dani? Kiwam głową, zastanawiając się, skąd wiedziała, że ma użyć zdrobnienia, skoro we wszystkich formularzach wpisałam „Danika”.

- Ja jestem Violet - dodaje, niemal jakby sobie przypomniła w ostatniej chwili; jakby była zbyt zajęta ocenianiem mnie, żeby pamiętać o grzeczności. - Wesoła z panienska dziewczyna, co? I ładna. - Ogląda mnie; jej wąskie, suche wargi wyginają się w uśmiechu, a pergaminowa skóra wokół oczu marszczy się w kurze łapki. - Młoda i silna. Ile panienska ma lat?

- Siedemnaście. - Obejmuję się ciasno ramionami, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zaprosi mnie do środka.

- No, świetnie się panienka tutaj nada. - Kiwa głową, Wpuszczając mnie do środka; na odchodne wymienia z szoferem spojrzenie, którego nie potrafię zinterpretować. - Szybciutko, bo nam się panienka zaziębi - mówi i wprowadza mnie do holu tak ciepłego i przytulnego, że czuję się jak w domu.

Chociaż niekoniecznie w moim domu. Nie jest to zagracone mieszkanie, które było fajne kiedyś, kiedy mieszkałam tylko z tatą, zanim wprowadziła się Nina i jej graty, ale dom, jaki chciałabym mieć. Dom z tajemnicą i z historią - pełen ciemnego, polerowanego drewna, z zabytkowymi dywanami na podłogach, wielkimi żyrandolami, bukietami tych niesamowitych czerwonych róż na długich, kolczastych łodygach, wykończony ciemnym polerowanym drewnem. Mniej więcej przeciwieństwo tego, do czego jestem przyzwyczajona.

- Rany - szepczę, rozglądając się i ciesząc na myśl o zbadaniu każdego zakamarka tego domu w ciągu najbliższych kilku tygodni. - Tu jest tak... dostojnie - dodaję, zaskoczona słowem, jakiego właśnie użyłam.

Dostojnie? A co się stało z niesamowicie, obłudnie, czy...

- Tak,,prace postępują. - Violet kiwa głową, dość brutalnie ściągając mi kurtkę z ramion; jej zimny dotyk zostaje na mojej skórze jeszcze długo po tym,

jak szofer znika z moją kurtką na piętrze. - Wszystko już prawie gotowe. Patrzę na nią, dziwiąc się, czego może jeszcze brakować w tym domu, który wydaje się tak idealnie urządzony, do najdrobniejszego zabytkowego detalu. Violet niespokojnie szarpie dziwny, błyszczący, czarny wisiorek na szyi, lustrując mnie wzrokiem. Wskazuje mi salę balową i mówi:

- Tam się zaczęło. Pożar. - Nie przestaje mi się przyglądać. - Jak panienka widzi, renowacja nie jest jeszcze... kompletna.

Zaglądam do wielkiej sali, w której rzeczywiście widać ślady zniszczeń. Kiedy przyglądam się domowi, widzę, że wszędzie można dostrzec sporo zrujnowanych miejsc i przedmiotów, które musiałam przegapić w swoim podnieceniu w pierwszej chwili.

- Tędy - mówi Violet, kładąc małą, zimną dłoń na moich plecach. - Przygotowałam panience kolację i filiżankę herbaty przed snem. Przed snem?

Zatrzymuję się, szukając wzrokiem okien, ale wszystkie zasłonięte są grubymi, ciężkimi storami. Nie mam pojęcia, dlaczego ona mówi o spaniu, kiedy wiem na pewno, że na dworze ciągle jest dzień -i to przedpołudnie.

- Przejechała panienka kawał drogi. - Kiwa głową, jakby odbyła tę transatlantycką podróż, siedząc

obok mnie. - Pewnie różnica czasu daje się panience we znaki, co? I kiedy już mam powiedzieć, że nie, wcale mi się nie daje we znaki, że jestem całkowicie przytomna i chcę pozwiedzać, dopóki nie przyjadą pozostali uczniowie, odwraca się i wpatruje we mnie wodnistymi, niebieskimi oczami. Słyszę własne słowa:

- Chętnie coś przekąszę. I rzeczywiście jestem dość zmęczona, jak się tak zastanowić.

*Wszystko, co widzimy lub co nam się zdaje, jest tylko snem we śnie.*

**Edgar Allan Poe**

Jest zimno. Lodowato, zimno i wilgotno. Ale ja tego nie czuję, więc właściwie to nie ma znaczenia. Czuję tylko przyspieszone bicie serca, kiedy idę po podłodze z polerowanego kamienia. Przedzieram się przez mgłę tak gęstą, że niemal pulsuje życiem, jakby była rzeczywistą, żyjącą istotą.

**53**

Ale to mnie nie powstrzyma. Nieważne, jak słaba jest widoczność, będę szła przed siebie w stronę tego pałającego, czerwonego światełka. On jest tutaj... gdzieś... i chce, żebym się pospieszyła..."

Pstrykam włącznikiem i mrużę oczy, kiedy pokój wypełnia się cieniem i światłem. Zauważam cienką warstewkę mgły unoszącą się wokół i zastanawiam się, jakim cudem przedostała się do środka, skoro drzwi są zamknięte, a okna zasłonięte ciężkimi storami z frędzlami.

Odrzucam kołdrę na bok i wkładam szlafrok, który zostawiono dla mnie w nogach łóżka. Zatrzymuję się na chwilę, by przeciągnąć palcami po miękkim, jedwabistym materiale, tak innym niż flanela, którą zwykle noszę. Wiążę ciasno pasek i ogarniam wzrokiem wielką przestrzeń przed sobą - toaletkę z delikatnymi, koronkowymi serwetkami, ze szczotką i grzebieniem o rączkach ze srebra, kryształowy żyrandol wiszący pod sufitem, kamienny kominek, na którym wciąż żarzą się polana po wygasłym ogniu rozpalonym przez Violet i małą, aksamitną sofę z boku kominka. I sztalugi, które na mnie czekają - gotowe do pracy, ze świeżym płótnem, które wręcz błaga, żebym je ożywiła.

„Maluj swoje sny", powiedziano mi, więc to robię. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie powin-

nam zadzwonić do domu, zawiadomić, że dojechałam, ale .szybko porzucam ten pomysł. Teraz, kiedy wprowadziła się Nina, ojciec nie ma dla mnie czasu i pewnie już całkiem o mnie zapomniał. Teraz muszę malować - dopóki obrazy są żywe w moich myślach.

Wyciągam torbę ze skrzyni u stóp łóżka, bardzo zadowolona z siebie, że nie odprawiłam najlepszych pędzli i farb razem z resztą bagażu.

Wyciskam farby z tubek z czernią, bielą i czerwienią, wiedząc, że do namalowania tego snu - snu, który miałam już wcześniej, choć zawsze we fragmentach, kawałkach, i nigdy tak wyrazistego - to jedyna odpowiednia paleta. I jestem tak pochłonięta pracą, że ledwie zauważam, kiedy do pokoju zagląda Violet.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale usłyszałam, że panienka już wstała i pomyślałam, że może zechce panienka coś zjeść?

Idzie w moją stronę i stawia tacę na małym stoliku obok sofy. Ja tylko marszczę brwi i nie przestaję malować. Walczę z tą mgłą już ponad godzinę i ciągle nie jest taka jak trzeba. We śnie była tak żywa, a na płótnie jest tylko białą, statyczną plamą.

- Hm, nie jestem ekspertem, ale chyba idzie panience całkiem dobrze. Naprawdę nieźle. - Staje obok mnie i mruży oczy.

Wzruszam ramionami i krzywię się, żałując, że nie mogę się z nią zgodzić. Owszem, sama zawsze

byłam swoim najsurowszym krytykiem, ale fakty są takie, że do ideału jeszcze trochę brakuje. Nawet się do niego nie zbliżyłam.

- Może odrobinę więcej... czerwonego. O tutaj. - Wskazuje środek, jedyne miejsce, gdzie widać jakiś kolor. - Jeśli wolno mi się wtrącić.

Patrzę na nią, i znów na płótno i zauważam, że wygląda o wiele młodziej niż przedtem - jej twarz jest bardziej okrągła, pełniejsza, na policzkach ma rumieńce. Tłumacząc moje wcześniejsze wrażenie zmęczeniem podróżą, skupiam się z powrotem na płótnie i robię to, co mi poradziła, po czym odsuwamy się obie, żeby ocenić efekt.

- Jak mówię, nie jestem ekspertem, ale teraz wygląda lepiej, prawda? Dodaje trochę więcej... życia, nie sądzi panienka? - Jej niebieskie oczy błyszczą, policzki rumienią się mocniej i przez chwilę jest tak odmieniona, że nie mogę się na nią nie gapić.

- Jest lepiej. - Kiwam głową, spoglądając to na nią, to na obraz. - Pomyślałam, że się ubiorę i pojedę do miasta. Rozejrzę się i kupię kilka rzeczy, żeby jakoś przetrwać, dopóki mój bagaż nie przyjedzie. Możesz mi pożyczyć jakiś plan? A przynajmniej powiedzieć, gdzie są sklepy? Violet przygryza wargę i mruży oczy. Przez chwilę mam wrażenie, że moje pytanie jakoś ją zdenerwowało, ale mówi spokojnie:

- Oczywiście, panienko. Z chęcią. Ale to chyba nie jest najlepsza pora. Lepiej jeszcze trochę poczekać z wyprawą do miasta, dobrze? Przekrzywiam głowę i opuszczam pędzel, zastanawiając się, o co jej chodzi.

- Może panienka nie zauważyła, ale na dworze jeszcze ciemno i do rana daleko. - Podchodzi do okna, rozsuwa zasłony jednym szybkim ruchem, pokazuje mi krajobraz czarny jak smoła i z powrotem zasłania okno. - Och, i bardzo proszę, żeby panienka uważała na farby. - Wskazuje podłogę. - Włożyliśmy mnóstwo pracy w renowację i byłoby przykro, gdyby wszystko zabrudziło się tak szybko.

Patrzę na podłogę i zachłystuję się ze zdumienia, kiedy widzę kałużę gęstej, czerwonej lepkiej cieczy opływającą moje stopy. Ale wystarczy mrugnięcie i kałuża znika; widzę tylko kilka czerwonych kropel, które Violet natychmiast ściera.

- Bardzo przepraszam... ja... - Kręcę głowę, wciąż oszołomiona tym, co widziałam przed sekundą. Wiem, że to widziałam.

- Nieważne. - Idzie do drzwi. - Tylko... - Milknie i przygląda mi się uważnie, znów chwyta błyszczący wisiołek na szyi. - Tylko proszę uważać i tyle.

Kiedy znika, odkładam przybory i postanawiam się ubrać. Bo choć jest środek nocy, mnie zupełnie



nie chce się spać, więc równie dobrze mogę zwiedzić dom. Dygoczę z zimna pod słabym strumieniem letniej wody, której nawet nie śniła się wyższa temperatura. Myję się jakimś śmiesznym, dziwnie pachnącym mydłem domowej roboty, które każe mi zatęsknić za moim pianistym płynem pod prysznic. Potem siadam przy toalecie, rozczesuję mokre włosy jednym z tych srebrnych grzebieni i perfumuję się odrobiną pachnącego olejku ze staroświeckiej szklanej buteleczki, mając nadzieję choć trochę zabić smród tego mydła. Wreszcie idę szukać ciuchów, w których przyjechałam, jako że, dzięki uprzejmości linii lotniczych, innych nie mam.

Ale po przeszukaniu szafy, komody i wszystkich innych miejsc, w których można by upchnąć czarny sweter, sprane dżinsy i granatową kurtkę po mamie, wciąż nie mam się w co ubrać, więc dzwonię po Violet, by dowiedzieć się, że ubrania zostały wysłane do pralni.

- Ale teraz nie mam się w co ubrać - jęczę, zdając sobie sprawę, że mój głos jest o parę oktaw wyższy, niżbym chciała. Ale, halo, jestem tylko dzieckiem, i nie przywykłam do tego, żeby inni rządzą się moimi rzeczami.

- Przykro mi, panienko. - Odwraca oczy w taki sposób, że czuję się mała jak robaczek. - Staramy się tylko, żeby wszystko dobrze funkcjonowało.

Wzdycham, bo wiem, że jeśli jeszcze coś powiem, zasłużę sobie na etykietkę rozpieszczonego amerykańskiego bachora. Poza tym czy nie przyjechałam tutaj po to, żeby doskonalić umiejętności malarskie i doświadczyć czegoś innego niż życie na przedmieściach Los Angeles? Nie wspominając już o oderwaniu się na chwilę od Jake'a, Tiffany i Niny? Więc skoro już tu jestem, może pora zacząć się tym cieszyć.

- Przepraszam. - Wzruszam ramionami. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało... ja po prostu...

- Sprawdzę rano, czy są już gotowe. - Kiwa głową. - Na pewno wrócą do panienki w odpowiednim czasie. Ale na razie może wybierze panienka coś z tej szafy? - Uśmiecha się zachęcająco. - Jest tam kilka pięknych sukien. To prawdziwe antyki. To wszystko w ramach renowacji. Zadbaliśmy o każdy szczegół.

Przekrzywiam głowę i marszczę nos, nie do końca przekonana. Nie jestem fanką ciuchów typu vintage. Wojskowe kurtki i bojówki są bardziej w moim stylu.

I już mam to powiedzieć, i pytać ją, czy nie znalazłaby czegoś mniej strojnego, ale ona mówi:

- Tak naprawdę nie wiadomo, co jest w panienki stylu, dopóki nie przymierzy się różnych rzeczy, prawda?

Mrużę oczy, zastanawiając się, czy wypowiedziałam swoją myśl na głos, choć jestem właściwie pewna, że tak nie było.

- A poza tym - dodaje Violet - przecież panienka nigdzie nie wychodzi ani nikt tu nie przyjeżdża, a przynajmniej nie w najbliższym czasie. Więc jeśli panienka się boi, że ją ktoś zobaczy, to nie ma się czym martwić. Jest tak gęsta mgła, że nie wyściubimy nosa z domu przez parę dni, może nawet i tydzień. Wszystko się przez nią opóźni, więc może się panienka cieszyć wolnym czasem.

- Ale co z resztą uczniów? - pytam i sama nie wiem, kogo mi bardziej żal: ich czy mnie? Owszem, to nawet fajne zacząć przed wszystkimi i trochę tu pomyszkować w samotności, ale towarzystwo kilku osób z artystycznymi inklinacjami też by mi nie zaszkodziło.

- Oj, obawiam się, że nie wiem, panienko. Ale na pewno nie przyjadą dzisiaj.

Idzie do szafy i wyciąga z niej czerwoną jedwabną suknię z głębokim dekoltem, ciasnym stanikiem i obfitą spódnicą do samej ziemi. Patrzy na nią z takim zachwytem, tak pożądliwie, że mam już zaproponować, by sama ją włożyła, ale ona odwraca się do mnie i mówi:

- Nigdy się panienka nie bawiła w przebieranki? Nie stroiła się panienka w sukienki mamy?

Krzywię się, myśląc o mojej mamie - rzeczowej, bezpretensjonalnej, ciężko pracującej nauczycielce, która nie miała wielu okazji, żeby się stroić, ani

właściwie niczego, w co mogłaby się wystroić, chyba że liczyć bawełniane kardigany i spodnie z kantem.

- Nie - odpowiadam. - Raczej nie.

Patrzy na mnie, a jej oczy błyszczą radośnie.

- W takim razie najwyższa pora.

*Głupiec biegnie tam, gdzie anioły boją się stapać.*

**Alexander Pope**

**3**

Kiedyś ubrałabym panienkę w gorset i zaciągnęła sznurki tak mocno, że błagałaby panienka o litość, ale w dzisiejszych czasach wszystkie jesteście takie chude i umięśnione od uprawiania sportu, że gorset nie jest już potrzebny. A przynajmniej nie w panienki przypadku.

- W dzisiejszych czasach? - Odwracam się i patrzę na nią, zastanawiając się, czy nie powinnam sobie zbadać wzroku, bo wydaje mi się młodsza niż jeszcze parę minuj temu. Kręcę głową i patrzę w lustro; wiem, że jestem raczej szczupła, ale nie chuda. Z pewnością nie chuda. Ani szczególnie wysportowana.

**61**

Violet przygryza wargę i zapina długi rząd maleńkich, obciąganych materiałem guziczków biegnących przez całą długość pleców. Jej palce poruszają się tak zręcznie i szybko, jakby pomaganie w ubieraniu było jej głównym zajęciem.

- I co panienka myśli? - Popycha mnie przed wysokie lustro i staje z boku, tak żeby się w nim nie odbijać.

Wciągam gwałtownie powietrze, zdumiona tym, jakiej przemianie uległa moja ziemista cera; teraz tworzy uroczy kontrast z głęboką, boską czerwienią sukni, a mój biust dosłownie wypływa i wydaje się o wiele obfitszy dzięki głębokiemu dekolтови. Kiedy przeciągam dłońmi po mocno wciętej talii i po miękkich fałdach rozłożystej spódnicy, nie mogę nie pomyśleć, że mi w tym do twarzy.

Chociaż nie myślałam o sobie jako o takiej dziewczynie - olśniewającej, wystrojonej, rozmigotanej - chociaż zawsze wołałam neutralne kolory i czyste, proste linie, może byłam w błędzie. Może właśnie to jest mój prawdziwy styl. I potrzeba było tylko jednego dnia w angielskiej szkole sztuk pięknych, żebym to odkryła.

Obracam się w kółko, nie mogąc przestać się gapić w lustro. I zastanawiam się, czy naprawdę da się zacząć wszystko od początku, od zera, i wymyślić siebie na nowo.

Zastanawiam się też, czy da się wymazać wspomnienia Tiffany, Jake'a i Niny przez sam fakt porzucenia starego wizerunku na rzecz tego nowego, olśniewającego.

Patrzę na swoje włosy i podziwiam, jak układają się w miękkie, faliste pasma, które wiją się wokół mojej twarzy, i na swoje brązowe oczy, zwykle tak nijakie, które teraz zdają się lśnić życiem.

- Ja chyba... Ja chyba patrzę na kogoś innego! -mówię. Moje palce giną w głębokich, jedwabnych fałdach sukni, a uśmiech rozjaśnia mi twarz.

- Może i tak? - szepcze Violet. Jej spojrzenie jest poważne, nieobecne, jakby zatopione w innym czasie i miejscu. Ale nagle kręci głową, wraca do mnie i dodaje: - Ale jeszcze nie do końca.

Przekrzywiam głowę, patrząc na swoje odbicie i te wszystkie świecidełka, wstążki i ozdóbki i zastanawiam się, co jeszcze mogłybyśmy takiego dodać, żeby ta suknia nabrała więcej blasku. Kiedy się odwracam, widzę, że Violet idzie do toaletki i podnosi wieko srebrnej szkatułki na biżuterię. Wyciąga przepiękną aksamitną obrozę z fantastycznym, błyszczącym, czarnym wisiorkiem, bardzo podobnym do tego, który sama ma na szyi.

- To gagat - mówi, odpowiadając na moje pytające spojrzenie, kiedy zapina mi naszyjnik. - Skamieniałe szczątki gnijących drzew, często znajdowane

tutaj, na tych klifach. - Kiwa głową, bierze jeszcze kilka klejnotów, które upina mi we włosach, i wreszcie odsuwa się, żeby podziwiać swoje dzieło. - Królowa często je nosiła jako żałobną biżuterię.

- Żałobną biżuterię? - Unoszę brew. - To chyba trochę... ponure.

Ale Violet albo nie słyszy mojej uwagi, albo postanawia ją ignorować, bo po chwili klaszcze w dłonie i mówi:

- Jest idealnie, panienko. Po prostu idealnie. Suknia jest boska. Totalnie i absolutnie boska.

I chociaż postanawiam ją nosić, razem z całą biżuterią, którą obwiesiła mnie Violet, to kiedy przychodzi do butów, stanowczo się sprzeciwiam. Nieważne, że - tak jak sukienka - pasują tak doskonale, że obie nie możemy wyjść z podziwu. Nieważne, że czuję się trochę jak Kopciuszek, kiedy siadam na aksamitnej sofie i wsuwam na stopę fikuśny pantofel z czerwonego aksamitu. Bo fakty są takie, że w bajce o Kopciuszku pominięto jeden istotny szczegół: pantofelki nie są wygodnym obuwem i to samo tyczy się tych butów.

- Ale panienka musi je włożyć - mówi Violet podniesionym, upartym głosem, wbijając we mnie szeroko otwarte oczy.

Jej spojrzenie jest tak przekonujące, tak władcze, że już prawie się poddam, ale zmuszam się, żeby od-

wrócić od niej wzrok. Kiedy wreszcie odnajduję własny głos, mówię:

- Skoro tak ci się podobają, to sama je włóż. - Zdejmuję je i wkładam swoje wierne martensy, które wpadły pod łóżko. - Naprawdę, proszę, nie krępuj się. Ja wolę te. - Strzelam obcasami i uśmiecham się, kiedy gumowe podeszwy z głuchym stuknięciem odskakują od siebie.

Violet kręci głową z ustami zaciśniętymi tak mocno, że są obrzeżone cienką, białą linią, a ja nie bardzo wiem, jak mam to rozumieć. Przecież to tylko zabawa w przebieranki. O co tyle krzyku? Dlaczego tak się tym przejęła?

- A co ze śniadaniem, panienko? - Violet odzyskuje panowanie nad sobą, pociera dłońmi fartuszek i wskazuje ledwie tknięte jedzenie, które zostawiła wcześniej. - Mam zabrać?

Patrzę na talerze i już chcę powiedzieć, żeby zabrała tacę, ale zauważam dwie przepyszne kielbaski, które pamiętam z kolacji, i nagle nabieram na nie strasznej ochoty.

- Nie, zostaw - mówię. Spódnica szeleści, kiedy idę w stronę tacy.

Przecież mogę usiąść na chwilę i coś przekąsić, zanim wyruszę na wyprawę badawczą. - W sumie jestem dość głodna - dodaję, dzia-biąc kielbaskę widelcem. Rozkoszuję się ciepłym,



cudownym smakiem, który rozpływa mi się w ustach. Violet po cichu wychodzi z pokoju.

*Każda pamiątka po zmarłych jest drogocenna, jeśli byli cenieni za życia.*

**Emily Bronte**

**4**

Otacza mnie mgła - gęsta, biała, lepka mgła. Trzymam ręce przed sobą, jakbym mogła ją rozgarniać. Ale nie mogę. Przepływa mi między palcami i gęstnieje na nowo. Ale choćby była nie wiadomo jak uporczywa, nie zatrzyma mnie, nie zamknie mi drogi do tego czerwonego światełka, które prowadzi mnie do niego.

On mnie potrzebuje, i co dziwne, im bliżej jestem, tym wyraźniej czuję, że i ja potrzebuję jego.

Jeszcze tylko kilka kroków i będę na miejscu -będę mogła chwycić dłoń, która zdołała przebić się przez mgłę... która rozcapierza palce, przyzywa mnie, żebym podeszła bliżej... jeszcze bliżej... aż...

**66**

Z początku wydaje się pozbawiona ciała, ciało zasłania mgła, ale im jestem bliżej, tym więcej widzę. Niewyraźny, drgający zarys wysokiego, silnego, przystojnego na gocki, mroczny sposób mężczyzny. Ma gładkie czarne włosy, prosty nos, wystający podbródek, wysokie kości policzkowe, szerokie czoło, ale oczy... oczy mi umykają, wciąż nie mogę im się przyjrzeć..."

Kiedy się budzę, potrzebuję chwili, żeby umiejscowić w rzeczywistości tę suknię, pokój, tacę z zimną herbatą, nietkniętym tostem, jajkami i niedojedzoną kiełbaską. Nie od razu pojmuję to, co widzę, aż wreszcie wszystko zaczyna mi się powoli przypominać - kim jestem, gdzie jestem i dlaczego jestem tak ubrana.

Unoszę ręce nad głową i się przeciągam. Zdumiewa mnie, jak mogłam tak zasnąć w trakcie jedzenia, ale przecież tak działa różnica czasu - rozwala zegar biologiczny i kompletnie wytrąca człowieka z normalnego rytmu. Ale to nie jest ważne; ważny jest tylko sen. Kiedy staję przed płótnem, jestem zdumiona, jak łatwo mi się maluje, jak te nowe obrazy doskonale pasują do sceny, którą namalowałam wcześniej. Właśnie kończę ostatnim pociągnięciem pędzla przyglądzone do tyłu, czarne włosy mojego bohatera, kiedy słyszę pukanie do drzwi.

- Cześć, Violet - mówię, wciąż skupiona na obrazie. - Możesz zabrać tacę, jeśli chcesz. Zdaje się, że bardziej chciało mi się spać, niż jeść. Padłam, nawet nie wiem kiedy.

- Świetnie! Jest tylko jeden mały problem, ja nie jestem Violet. Odwracam się i widzę chłopaka, mniej więcej w moim wieku, opartego o futrynę. W jego słowach słyszę leciutki ślad brytyjskiego, mocno zamerykanizowanego akcentu.

- Jestem Bram - mówi.

Unoszę brew. Nie jest to imię, które często się słyszy w naszych czasach.

- Moja mama jest fanką gotyku, co ja na to poradzę? - Wzrusza ramionami.

- A tata? On też jest fanem gotyku? - pytam, przyglądając się ciemnym obcisłym džinsom, szarej bluzie z kapturem i czarnej marynarce, którą ma na bluzie. Wygląda tak normalnie, że myślę sobie, że raczej nie wdał się w matkę.

- Mój tata nie żyje. - Mówi to w sposób, na jaki ja nie potrafię się jeszcze zdobyć, kiedy mówię o mamie; absolutnie neutralnie, bez śladu drżenia czy płaczu w głosie. Zwykle stwierdzenie faktu, w którym nie ma miejsca na emocje.

- Przykro mi. - Odkładam pędzel i natychmiast tego żałuję, bo nie mam pojęcia, co zrobić z rękami.

- Niepotrzebnie. Jestem raczej pewien, że to nie twoja wina. - Wzrusza ramionami, a kiedy się uśmiecha, jego twarz rozjaśnia się i nagle sprawia wrażenie dziwnie znajomej i swojskiej, a przynajmniej te fragmenty, które widzę: dołeczki w policzkach, proste zęby, czysta skóra. Reszty nie widzę, bo zasłaniają ją ciemne okulary. - To gdzie ja właściwie jestem? To jest Sunderland Manor, zgadza się? Nie mów mi, że się włamałem do niewłaściwego domu.

Kiwam głową, wciąż przyglądając mu się uważnie. Ciekawe, czy to któryś z brakujących uczniów? Mam nadzieję, że tak.

- Pierwsza dobra wiadomość od rana. - Wzdycha, rzuca plecak na podłogę i idzie w moją stronę. - Najpierw linie lotnicze zgubiły moją walizkę, potem mój pociąg się spóźnił, a potem nie mogłem znaleźć taksówki, która by mnie tu przywiozła. Nie wspominając już o mgle. O co chodzi z tą mgłą?

- To nie jest zwykła mgła - mówię idiotycznie, jakby to coś wyjaśniało, i zastanawiam się, dlaczego to właściwie powiedziałam.

- Zwykła czy niezwykła, wszystko mi jedno. - Siada ze znużeniem na sofie i zerka na tacę z jedzeniem.

- Będziesz to jadła?

- Jest zimne - ostrzegam, podchodząc i siadając w fotelu po jego prawej.

- Nieważne - mamrocze, w gryzając się już w to, co zostało z kielbaski. - Nie jadłem od... - Mruży oczy, jakby chciał obliczyć, kiedy jadł ostatni posiłek, ale szybko się poddaje i bierze kolejny kęs.

- Violet nie zaproponowała ci niczego do jedzenia? - pytam, przypominając sobie, jak serdecznie ja sama zostałam ugoszczona. Ale on tylko patrzy na mnie i, nie przestając żuć, pyta:

- Kto?

- No wiesz, służąca czy pokojówka, czy jak się to tam nazywa. - Wzruszam ramionami. Nie przywykłam do życia w miejscu, gdzie ktoś komuś usługuje i nie znam właściwej terminologii. - Pracuje tutaj.

- Ja wiem tylko, że nikt mnie nie odebrał ze stacji i nikt nie otworzył mi drzwi. Całe wieki szukałem tego miejsca i nie miałem zamiaru spać na ganku, więc sam wszedłem i łąziłem po pokojach, aż wreszcie znalazłem ciebie. Co, muszę powiedzieć, jest trochę bardziej niż dziwne. Gdzie są wszyscy, do licha? Nie powinno być nas tu więcej? Nauczyciele, uczniowie... I co z tymi wszystkimi szumnie ponazywanymi zajęciami, o których tak się rozwodzili w folderze? Z tego, co widziałem, tu nie ma klas, pracowni, niczego, co by ją chociaż przypominało. Trochę to dziwne, nie sądzisz?

Patrzę, jak dojada kielbasę; nie mogę oderwać oczu od długiej, ciemnej grzywki, która opada mu

na skos przez czoło i dosięga policzka. Jakoś dziwnie nie jestem przejęta tym wszystkim, co powiedział, ale wiem, że powinnam mu jakoś odpowiedzieć. Wzruszam ramionami.

- Podobno wszystko się opóźniło przez mgłę - odpowiedziałam, bezwiednie skubiąc fałdy sukni i nie przestając mu się przyglądać. - I jaki jest? Dom, znaczy. Ja padłam spać zaraz po przyjeździe i nawet nie wyszłam jeszcze z pokoju. - Krzywię się, kiedy dociera do mnie, co musiał sobie o mnie pomyśleć: że jestem nudna i leniwa, zupełnie inna niż prawdziwa ja. Prawdziwa ja zbadałaby to miejsce natychmiast. Ale z jakiegoś powodu nie mogę odnaleźć w sobie tamtej dziewczyny. Może to przez tę sukienkę, przez różnicę czasu albo przez te kielbaski, którymi mnie karmią, ale prawda jest taka, że w tym pokoju jest mi tak swojsko i wygodnie, że nie mam ochoty wychodzić.

- No cóż, jest cichy - mówi Bram, wycierając usta białą lnianą serwetką. - I odpowiednio niesamowity. Moja mama i jej zespół byliby nim zachwyceni. - Rzuca serwetkę, wstaje z kanapy i pyta: - Chcesz iść pozwiedzać?

- To jakieś twoje hobby? - Wskazuje moją sukienkę, palcem rysując w powietrzu linię od głowy do stóp i z powrotem, jakby kalkulował i oceniał, chociaż niekoniecznie w nieprzyjemnym sensie.

Krzywię się; dopiero kiedy o tym wspomniał, przypominam sobie, jak dziwnie muszę wyglądać. Przyciskam dłonie do fałd materiału, nagle strasznie zawstydzona. Mam nadzieję, że on nie gapi się w mój idiotycznie głęboki dekolt; nie widzę jego oczu za ciemnymi okularami.

- Och, nie... ja... ja też straciłam bagaż... a moje ciuchy pojechały gdzieś do pralni... więc mogłam cały dzień chodzić w szlafroku, biegać nago albo splądrować szafę. Zdecydowałam się na to trzecie i... i wybrałam tę suknię. - Wzruszam ramionami; szybko odwracam wzrok, czując, że policzki mi płoną.

Nie mam odwagi na niego spojrzeć, dopóki nie mówi:

- Jest bardzo ładna. Nago też byłoby fajnie. - Śmieje się i ten jego śmiech jest tak dziwnie znajomy, choć jestem pewna, że nie spotkałam Brama nigdy wcześniej. - Ale uwierz mi, nie miałem nic złego na myśli.

Wyglądasz naprawdę ładnie. Jak dla mnie, więcej dziewczyn mogłoby się tak ubierać. Chociaż domyślałam się, że to nie jest zbyt wygodne.

- Zdziwiłbyś się - mówię, przypominając sobie, że bez problemu zasnęłam w tej sukni. - Nie jest tak źle.

- A zresztą, mnie dosyć trudno zaszokować. Właśnie przyjechałem z gockiego zlotu w Rumunii. Dokładnie w Transylwanii. Zespół mojej mamy grał

koncert i nawet sobie nie wyobrażasz, co tam widziałem.

- Twoja mama gra w zespole?

- Tak. - Wzdycha i pociera podbródek. - Staram się ją wspierać i w ogóle, ale... - Kręci głową i postanawia nie kończyć zdania. - No więc pomyślałem, że ta suknia to twój konik. No wiesz, akademia sztuki, ciało jako płótno i tak dalej. I tworzy fajny dysonans z butami.

Patrzę na niego, kiedy idzie kilka kroków przede mną; na nogach ma czarne conversy. I nie mogę nic poradzić na to, że porównuję go z Jakiem, który nigdy nie użyłby takiego słowa jak „dysonans”. Nawet nie wiedziałby, co to znaczy.

- A te okulary... to twój konik? - pytam. We własnym głosie słyszę mieszankę nerwowej zalotności i najczystszej sztywności, niestety ze wskazaniem na to drugie.

- Nie, nie konik. Raczej konieczność. Mam problem ze światłem.

Jestem... nadwrażliwy. - Spogląda na mnie przez ramię.

- Och, nie chciałam... - zaczynam; głupio mi, że poruszyłam ten temat.

Ale on macha lekceważąco ręką i czeka, aż go dogonię.

- Widziałaś już bibliotekę? Kręcę głową.



- Jeszcze niczego nie widziałam, oczywiście nie licząc jadalni i mojego pokoju, ale to w zasadzie wszystko - mówię, wchodząc do mrocznego, wyłożonego drewnianymi panelami pokoju z dużym kominkiem, w którym stoją wygodne fotele, lampy do czytania i oczywiście regały z książkami.

- Lubisz czytać? - pyta, sięgając po stary tom w skórzanej oprawie i przerzucając kartki.

- Bardzo. - Czytam tytuły. - Zwłaszcza gotyckie powieści grozy. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale po prostu je uwielbiam.

- W takim razie ta ci się spodoba. - Uśmiecha się, podając mi książkę ze złożonym tytułem na okładce: *Dracula*. - Napisał ją mój imiennik.

- Czytałam - mówię, a on unosi brew i odbiera ode mnie książkę. Wstawia ją z powrotem na półkę.

Zwiedzamy dalej, oglądając pokój dzienny, salon, a nawet kryty basen; nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła tu wrócić, gdy już przyjedzie mój bagaż. Oboje od czasu do czasu zerkamy na siebie, unosząc brwi, wzruszając ramionami - zadając to samo, niewypowiedziane pytanie: gdzie są klasy, nauczyciele, nie wspominając już o pozostałych uczniach? Po krótkiej wizycie w kuchni, gdzie Bram rusza prosto do kuchenki, unosi pokrywkę żeliwnej patelni i bierze dla nas po kielbasce, ruszamy dalej. W końcu trafiamy do sali balowej, którą widziałam wcześniej.

Ale podobnie jak Violet, i ten pokój nie wygląda na tak stary i zniszczony jak za pierwszym razem, gdy go widziałam. Szczerze mówiąc, wygląda całkiem nieźle, chociaż ciągle tu i ówdzie widać ślady ognia.

- Tu się wszystko zaczęło. - Bram rozgląda się dookoła. - W folderze napisali, że wybuchł tu pożar, w którym o mało nie spłonął cały dom do fundamentów. Popatrz... - Wskazuje ściany, wysoki sufit, osmalone kamienne podłogi. - Dziwne. - Kręci głową. - Można by sądzić, że do tej pory powinni to już naprawić.

- Może chcą pamiętać. A może skończyły im się pieniądze, i dlatego my tu jesteśmy. Kiedy tylko mgła zrzednie, przyjedzie reszta uczniów, dadzą nam narzędzia i każą się brać do remontu. - Odwracam się w stronę Brama, w nadziei, że się roześmieje, a przynajmniej uśmiechnie.

Ale on stoi przede mną z głową przekrzywioną na bok i przygląda mi się.

- Szkoda, że zostawiłem torbę w pokoju. Narysowałbym cię.

Patrzę na niego, żałując, że nie widzę jego oczu; wtedy wiedziałabym, czy nie żartuje. Jest w nim coś tak... znajomego... Szybko odwracam oczy, kiedy przyłapuje mnie na gapieniu się.

- Naprawdę - mówi cichym, kojącym głosem. - Ta sala, twoja sukienka, twoje buty. - Uśmiecha się. -

Wszystko jest idealne. I naprawdę ci w niej do twarzy. Może jednak powinienem pójść na górę po szkicownik?

Odwraca się, żeby wyjść, ale w tej chwili zjawia się Violet, obrzuca nas wzrokiem i robi się biała na twarzy. Dosłownie biała. Jakby zobaczyła ducha. Tyle że tu nie ma ducha, jesteśmy tylko my. I choć Violet szybko odzyskuje panowanie nad sobą, nie mogę zapomnieć wyrazu jej oczu. Idzie w naszą stronę, nerwowo skubiąc brzeg fartuszka. Z pewnością nie zwraca się do mnie, kiedy mówi:

- W czym mogę pomóc?

- Jestem Bram. - Bram wyciąga rękę. - Jeden z uczniów.

- Ale to niemożliwe - odpowiada Violet tak cicho, że oboje pochylamy się bliżej, by ją usłyszeć.

- Słucham? - Bram marszczy czoło i cofa rękę, przyglądając się Violet.

- Mgła... jesteśmy teraz niewidzialni... jak pan nas znalazł?

- Ciężka praca, trochę szczęścia i mnóstwo determinacji. - Wzrusza ramionami. - Ale... pani powiedziała, że jesteśmy niewidzialni?

Ja sama bym o to spytała, gdyby mnie nie wyprzedził.

Ale ona tylko coraz bardziej mruży oczy, tak bardzo, że blade, rzadkie rzęsy i jeszcze bledsze powieki niemal całkiem zasłaniają niebieskie tęczęwki.

- No dobrze. - Prostuje się i widzę, że stara się wziąć w garść. - W takim razie trzeba pana zakwaterować.

*Rozpacz ma swoje własne chwile spokoju.*

**Bram Stoker *Dracula***

**5**

Resztę dnia spędzam w swoim pokoju, głównie pracując nad obrazem i starając się nie myśleć o Bramie, przez co oczywiście tym bardziej myślę o Bramie. To prawda, jest naprawdę przystojny. To prawda, mamy wspólne zainteresowania. To prawda, umie poprawnie użyć w zdaniu trudnych słów. To prawda, chciał mnie narysować, co jak dla mnie jest chyba najbardziej romantyczną rzeczą, jaką może powiedzieć czy zrobić facet. Ale mimo to, chociaż jest taki fajny, chociaż wydaje mi się jak stary znajomy, to doskonale, wręcz boleśnie zdaję sobie sprawę, że mam wszystkie objawy klasycznego pocieszania się.

Nie żebym do tej pory miała okazję się pocieszać - Jake był moim pierwszym chłopakiem. Ale

**36**

napatrzyłam się, jak mój tato przechodził przez to po śmierci mamy; po prostu odwrócił się plecami do przeszłości i rzucił się na główkę w związek z Niną, więc w zasadzie jestem ekspertem od tych spraw.

I właśnie dlatego nie mogę sobie teraz na to pozwolić.

Właśnie dlatego muszę patrzeć na Brama wyłącznie jako na kolegę malarza i nic poza tym.

I dlatego siedzę w pokoju. Postanowiłam robić to, po co tu przyjechałam, czyli malować, a nie flirtować, nie zakochiwać się, nie wiązać się emocjonalnie z kimś, kto pewnie i tak przy najbliższej okazji złamałby mi serce. A kiedy przychodzi Violet z kolejną tacą z jedzeniem, na której są moje ulubione kielbaski, nawet nie pytam, czy go widziała, czy wie, co on robi. Po prostu maluję dalej, jakby Bram nie istniał, aż znowu dopada mnie niespodziewana senność, znów zasypiam i sen zaczyna się w tym samym miejscu, gdzie się skończył: walczę z mgłą, wyciągam do niego rękę, ale tym razem jego lodowate palce splatają się z moimi, przyciągają mnie bliżej, błagają, żebym go zobaczyła, tak naprawdę zobaczyła, a pulsujący, czerwony blask bije z jego piersi...

Po przebudzeniu idę prosto do płótna i uwieczniam tę scenę: długie, zimne palce, czerwony blask i niemal już dostrzegam zarys jego czoła, kiedy do pokoju wchodzi jasnowłosa dziewczyna, żeby

sprzątnąć tacę, patrzy na mnie i sugeruje, żebym się przebrała do kolacji. Mrużę oczy, zastanawiając się, skąd się wzięła, bo widzę ją pierwszy raz. Nie wiedziałam nawet, że tu pracuje jakaś druga zmiana służby. Śledząc jej spojrzenie, patrzę na swoją suknię i stwierdzam z przerażeniem, że ją zniszczyłam, usmarowałam farbą, i trochę się dziwię, że nikt nie zaproponował mi fartucha, który mogłabym na nią włożyć. Serio. Żadnych nauczycieli, żadnych fartuchów, żadnej pracowni z prawdziwego zdarzenia - co to za szkoła sztuk pięknych?

Biorę głęboki wdech i znów spoglądam na dziewczynę, bo w głowie mam nagle całą listę pytań. Pytań, które znikają w chwili, kiedy ona spogląda mi w oczy i mówi:

- Proszę się nie martwić. - Jej głos jest cichy, kojący, ma mnie uspokoić. - Jestem pewna, że suknię da się wyczyścić, a jeśli nie, jest całe mnóstwo innych. - Odwraca się w stronę obrazu i otwiera szeroko oczy, widząc moje dzieło. - Rety, zrobiła panienka wielkie postępy, i to tylko w jeden dzień. - Kręci głową z podziwem, mnąc fartuszek w dłoniach. - Naprawdę wielkie postępy - dodaje. Podnosi głos. - Ach, a jeśli panienka się zastanawia, to nauczyciele też się spóźnią. Ale dobra wiadomość jest taka, że mgła się podniesie najdalej za dzień czy dwa i wtedy wszystko powinno wrócić do normy.

- Naprawdę? - Spoglądam na nią. - Violet mówiła, że to potrwa przynajmniej tydzień.

Patrzy na mnie, zamyślona.

- Tak mówiła? No cóż, powiedzmy, że wszystko idzie ku lepszemu, panienko. - Przygląda mi się; w jej spojrzeniu, w jej ruchach, w tym, jak ściska fartuch jest coś dziwnie znajomego. Nagle dociera do mnie, co to jest: ona wygląda i zachowuje się jak

o wiele młodsza wersja Violet; przychodzi mi do głowy, że może są jakoś spokrewnione. - Jestem Camellia. - Kiwa głową, idąc w stronę szafy. - Violet to moja mama. - Przegląda suknie, wybiera dwie i odwraca się do mnie. - To jak, panienko? Zielona czy liliowa? - Unosi brew tak jasną, że prawie zlewa się ze skórą. - Obie są piękne i obie doskonale pasują do panienki cery. Którąkolwiek panienka wybierze, będzie dobrze. - Unosi przepiękne jedwabne suknie.

Spoglądam na jedną i drugą. Obie są jednakowo olśniewające, jednakowo staroświeckie i jednakowo kuszące. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie też może być moja walizka, pełna bojówek, dzinsów i czarnych swetrów, ale kiedy spoglądam w oczy Camellii, ta myśl natychmiast ulatuje.

Postanawiam się cieszyć tą nową wersją mnie, dopóki mogę.

- A co mi tam, tym razem niech będzie liliowa.

**80**

Kiedy wchodzę do jadalni, prawie go nie poznaję.

Nie, wróć. Prawda jest taka, że go rozpoznaję, ale nie jako Brama.

Przez ułamek sekundy, kiedy widzę go przy stole z zaczesanymi do tyłu włosami i w XIX-wiecznym stroju, który zastąpił jego współczesne ciuchy, mam wrażenie, że patrzę na faceta z moich snów - tego, który mnie woła.

Zamieram. Oddech zamiera mi w płucach, serce zamiera w piersi, całe moje ciało zamiera, ale kiedy on odwraca się do mnie i posyła mi ten swój znajomy, niewymuszony uśmiech, wszystko znów zaczyna działać.

To nie jest facet z moich snów. Nie może nim być. Po pierwsze, siedzi tu, przede mną. A po drugie, to po prostu nie ma sensu.

- Niech zgadnę. Tobie też schowali ciuchy? - Zajmuję miejsce naprzeciw niego, przy nakryciu z pięknej porcelany. Są też kryształowe kieliszki i tyle sztuców, że nie mam pojęcia, co się z nimi robi. Nie mogę się na Brama napatrzeć; chłonę wzrokiem białą koszulę z żabotem, błękitną kamizelkę i oczywiście okulary, które jakimś cudem doskonale pasują do jego stroju.

- Nie. - Uśmiecha się, nakładając sobie tyle kiełbasek, że boję się, że nie zostawi nic dla mnie. - Znalazłem to w szafie i pomyślałem, że się wystroję,

**81**



żeby się do ciebie dopasować. No wiesz, żebyś nie czuła się taka osamotniona. I co o tym myślisz?

Pozwalam sobie jeszcze raz zerknąć na niego, i to krótkie spojrzenie wystarcza, żeby żołądek zaczął mi tańczyć w brzuchu. Nakładam sobie resztę kiełbasek, biorę nóż i widelec, i zabieram się do jedzenia.

- Wyglądasz... bardzo ładnie - mamroczę między kęsami. - Odpowiednio, elegancko... I seksownie, obłądnie i absolutnie nie sposób ci się oprzeć, a z tymi okularami nawet trochę odłotowo - dukam.

Śmieje się, ociera usta rogiem serwetki i mówi:

- A ty, miła pani, wyglądasz olśniewająco. Naprawdę pani do twarzy w tym kolorze.

Zaciskam usta i patrzę w talerz, przypominając sobie o swoim postanowieniu, żeby nie ekscytować się za bardzo jego komplementami.

- Widzę, że jesteś fanką kiełbasek. - Patrzy na mnie i otwiera usta z przerażenia, kiedy dociera do niego, co właśnie powiedział. - O-keej, nie całkiem tak to miało zabrzmieć, ale trudno, już to powiedziałem. - Kręci głową i śmieje się, nakładając sobie na talerz sporą porcję piure ziemniaczanego i czegoś niezidentyfikowanego, gotowanego i zielonego.

- I wcale ci się nie dziwię, są pyszne. Ciekawe, z czego je robią.

Wzruszam ramionami i zakrywam usta, mówiąc:

- To jak z hot dogami. Lepiej nie pytać.

- Próbowałaś kiedyś kaszanki? To taka kielbasa z krwi. - Patrzy na mnie z uśmiechem.

Blednę i, robiąc wszystkie możliwe pełne obrzydzenia miny, mówię:

- Bosz, nie, niby gdzie miałabym próbować? Naprawdę robią ją z krwi?

- Naprawdę. Z wieprzowej. Zwykle. Ale to bardzo smaczne. Nie krytykuj, póki nie spróbujesz.

Nabijam na widelec zieloną fasolkę i unoszę do ust, przyglądając jej się uważnie.

- Uch, nie, dziękuję bardzo, dlaczego miałabym to robić?

- No cóż, równie dobrze można by zapytać: a dlaczego nie? Przecież jesteś artystką, prawda?

Nie odpowiadam, dziobię jedzenie.

- Okej, może nie jesteś Picassem... jeszcze, ale masz artystyczne spojrzenie na rzeczy, które mają się nijak do zwyczajnego patrzenia na świat. Malarze, jak ty i ja, nie postrzegają życia tak samo jak wszyscy inni. Zauważamy szczegóły, wszystko to, co inni przegapiają. Potem łączymy je, rozdzielamy, interpretujemy na własny sposób. Więc skoro tak jest, dlaczego mielibyśmy czegośkolwiek nie spróbować? Pozostawać tylko przy znanym i wypróbowanym? Dlaczego w ogóle mielibyśmy się godzić na doświadczanie tego, co zwykłe i codzienne? - Pochyla się w moją stronę z wysoko uniesioną brwią. - Jako

artyści mamy wręcz obowiązek postrzegać nasze życie jako długi artystyczny eksperyment. Im więcej pozwolisz sobie doświadczyć, tym lepsza może się stać twoja sztuka. A próbowanie nowych rzeczy to bardzo istotna część tego eksperymentu. Byłabyś zdumiona, jak to karmi wyobraźnię i wyzwala... duszę.

Wzruszam ramionami, patrząc, jak nalewa mi z karafki do kieliszka jakiś czerwony płyn. Myślę sobie: świetnie. Teraz uważa mnie za jakąś pruderyjną sztywniaczkę. Ale tę myśl natychmiast goni następna: Kogo obchodzi, co on myśli? To tylko kolega ze szkoły, nie zastępstwo za Jake'a. Stukam kieliszkiem o jego kieliszek, unoszę go do ust i omal się nie krztuszę, kiedy odkrywam, że to nie tylko wygląda jak wino, ale naprawdę jest winem.

Bram patrzy na mnie i śmieje się, widząc moją reakcję, po czym spokojnie je i pije dalej, jakby był przyzwyczajony do takich kolacji.

- Tobie to naprawdę smakuje? - pytam, widząc, że dość szybko rozprawia się ze swoim kieliszkiem.

Kiwa głową i mówi:

- Sporo podróżowałem po Europie z mamą i jej zespołem. Tutaj nie jest tak jak w Stanach, nie ma tak ścisłych ograniczeń. Można pić, chodzić do klubów, żyć jak dorosły i to wszystko jest fajne. - Uśmiecha się. -

Oczywiście wszystko w umiarkowanych ilościach. A przynajmniej prawie wszystko.

Kiwam głową. Dociera do mnie, że on jest grubo poza moją ligą. Bo przecież taki gość, światowy i doświadczony, nie mógłby być zainteresowany taką dziewczyną z małego miasteczka jak ja. Nie żeby mnie to ruszało, tak tylko mówię.

- Twoje życie jest takie... egzotyczne - mamroczę. Wreszcie jestem w stanie na niego patrzeć.

- Dla mnie to po prostu moje życie. Znajome i zwyczajne, do jakiego przywykłem. - Dźga widelcem kielbasę i gryzie, zamyślony. -

Chodzenie do amerykańskiej szkoły to dopiero jest egzotyczne.

- Nie chodzisz do szkoły? - Patrzę na niego, zastanawiając się, jakim cudem zakwalifikował się tutaj, przecież zgłaszać się mogli tylko uczniowie ostatnich klas liceum.

- Nie, mam prywatnego nauczyciela. Można to nazwać taką trochę domową szkołą na kółkach. - Wzrusza ramionami i przeciąga językiem po zębach. - Mama ciągała mnie w tę i z powrotem między Londynem i Nowym Jorkiem od wczesnego dzieciństwa. Zabrała mnie z publicznej szkoły jeszcze w zerówce, nie pozwoliła mi nawet chodzić do końca roku.

- Śmieje się. - Więc jak jest w liceum? Tak, jak pokazują w telewizji?

Gapię się w talerz, rozmyślając o piekle, jakie przeżyłam w ciągu ostatniego semestru, po historii z Tiffany i Jakiem. Jak wszyscy gapili się na mnie, plotkowali

o mnie i jak rzeczona para miała ewidentną radochę z obnoszenia się ze swoim szczęściem; zawsze zaczynali się całować akurat koło jej szafki, która była ledwie dwa rzędy od mojej. Nie miałam się do kogo zwrócić. Byłam całkiem sama. Tata był zbyt zajęty, Nina zbyt... sukowata, a ja, niestety, przez ostatnie jedenaście lat, tak polegałam na Tiffany, że zapomniałam się zaprzyjaźnić z innymi osobami. I chociaż mój przyjazd do Anglii załatwił część pod tytułem „co z oczu”, ciągle jeszcze czekam na tę drugą część, „to z serca”.

i chciałam, żeby się pospieszyła.

- To zupełnie nie przypomina telewizji - mówię, próbując przebić wzrokiem jego okulary, zobaczyć, co się czai za tymi ciemnymi szklami, ale widzę tylko odbicie moich własnych oczu, patrzących prosto na mnie.

- Zupełnie. - Wzdycham. - Uwierz mi, jest

o wiele gorzej.

Kiedy kończymy jeść, Camellia zbiera nasze talerze i próbuje nas zapędzić z powrotem do pokoiów do malowania. Ale my nie chcemy jeszcze wracać

i mówimy jej coś, co wytrąca ją z równowagi.

- Nie trzeba nas niańczyć - mówi Bram, posyłając jej ten swój uroczy uśmiech. - Jeśli chcesz iść do domu, proszę bardzo. Umiemy się sami sobą zająć.

Camilla patrzy to na jedno, to na drugie, tak nieszczęśliwa z powodu naszego buntu, że mam ochotę

tę się zgodzić, żeby tylko sprawić jej przyjemność. Przecież moglibyśmy się wymknąć później. Ale kiedy znika ze stołem talerzy, Bram pochyla się do mnie i mówi:

- A tę co ugryzło?

Wzruszam ramionami. Nie wiem, co kogo ugryzło. Nie jestem taka jak on. Nie wychowałam się w drodze, nie piłam wina w egzotycznych lokalach z mamą grającą w gockim zespole. Jestem jedynaczką półsie-rotą z przedmieścia Los Angeles, przyzwyczajoną do zwyczajnej, nudnej egzystencji, która, tak się przypadkiem złożyło, ma artystyczne zapędy. A mimo to, mimo całej dziwaczności tego miejsca, mimo tych ciuchów, mgły, Violet i Camellii, ani odrobinę nie tęsknię za domem. No zgoda, tęsknię za tatą, a przynajmniej za jego starą wersją. Ale nie tęsknię za Niną, za liceum ani za dwójką moich byłych przyjaciół.

I zanim się orientuję, Bram jest obok mnie, wyciąga do mnie rękę i mówi:

- Chodź, spadamy stąd, zanim ona wróci. Wymykamy się przez frontowe drzwi prosto w mgłę

i pędzimy przed siebie ze śmiechem, trzymając się za ręce, żeby się nie zgubić. I chociaż jego dotyk jest tak przyjemny, jego miękka, chłodna dłoń tak mocno ściska moją, a palce tak zgrabnie splatają się z moimi, natychmiast mówię sobie, że trzymamy się za ręce tylko ze względów praktycznych. Żeby się

nie rozdzielić i nie zgubić we mgle. Nieważne, jakie to miłe, jakie słuszne się wydaje, dla niego to nic nie znaczy, więc nie powinno nic znaczyć i dla mnie.

Posuwamy się naprzód, powoli, ostrożnie, kierując się w stronę miejsca, gdzie mgła jest najgęstsza, i nie zdajemy sobie sprawy, że doszliśmy na cmentarz, dopóki nie potykam się o kamień nagrobny i nie padam jak długa.

- To pewnie rodzinny cmentarz - dobiega mnie głos Brama. Pomaga mi wstać. - I uważaj na róże. Są takie wielkie i drapieżne, że niemal wyskakują na człowieka.

Ale jego ostrzeżenie jest spóźnione. Sekundę później jeden z długich kolców wbija się w moją szyję, w połowie drogi między uchem i zagłębieniem między obojczykami.

Puszczam rękę Brama, by móc ocenić szkody, i moje palce prześlizgują się po czymś ciepłym i mokrym, co może być tylko krwią - moją krwią.

- Za późno - mówię, krzywiąc się, gdy znów dotykam rany. - Może powinniśmy wrócić do domu, żebym mogła to umyć i może przykleić jakiś plaster czy coś. Okej? Bram?

Sięgam ręką w bok, przed siebie, za siebie, moje dłonie gorączkowo chwytają powietrze w miejscu, w którym przed chwilą stał, ale jego nie ma. Nie ma go tam. Nie ma go nigdzie.

Kręcę się dookoła, wołając go, machając rękami we mgle. Ale go nie widzę. Niczego nie widzę. I choć wołam bardzo głośno, nie wiadomo ile razy, nie ma żadnej odpowiedzi.

Jestem sama.

A jednak nie jestem.

Jest tu jeszcze ktoś. Coś. A kiedy dostrzegam w oddali ten miękki, czerwony blask, odwracam się i biegnę w przeciwnym kierunku.

Potykam się o pagórek świeżo wykopanej ziemi, padam, i dopiero kiedy czyjaś dłoń zatyka mi usta, dociera do mnie, że ten głośny, przesywający wrzask wydobywa się z mojego gardła.

*Ranny jeleń skacze najwyżej.*

**Emily Dickinson**

Kiedy on przyciąga mnie, przyciska do swojej pier-*l*si, mgła rzednie. I nareszcie go widzę, patrzę prosto w jego ciemne oczy, okolone rzęsami tak gęstymi, że wydają się nieprawdziwe. Jego spojrzenie jest badawcze, przesywające, wabi mnie do siebie.

**89**



- Przyszłaś - szepcze, a słowa brzmią w jego ustach jak piosenka. -  
Przyszłaś mnie ocalić, prawda? Odbyłaś tak daleką podróż, przez oceany,  
przez czas, żebyśmy znów mogli być razem. - Jego ciemne oczy badają  
moją twarz. - Przez tyle lat, tyle żywotów próbowałem cię odnaleźć i  
nareszcie mi się udało. Jesteś tak piękna jak zawsze. Popatrz na mnie,  
proszę, popatrz na mnie tak, jak kiedyś patrzyłaś.

Więc patrzę. Patrzę w jego oczy i widzę wszystko -wszystko. Naszą  
miłość, naszą wspaniałą, porywającą miłość i pożar, który ją zniszczył...  
Przyciskam dłoń do jego zimnego policzka i drzę od chłodu jego dotyku,  
kiedy nakrywa moją dłoń swoją.

- Sprawię, że znów staniesz się całością - obiecuję. - Będziemy żyć  
razem, już zawsze. Nigdy się nie rozstaniemy...

Kiedy spoglądam mu w oczy, już wiem, co muszę zrobić. I chociaż nie  
chcę stąd odchodzić, chociaż zrobiłabym wszystko, żeby pozostać w tej  
pięknej sali balowej, w jego ramionach, czując jego chłodne usta na uchu,  
policzku, szyi... muszę odejść. By móc mieć to wszystko na zawsze,  
muszę się obudzić i malować. To jedyny sposób..."

Otwieram oczy w pokoju pełnym mgły. Choć drzwi i okna są zamknięte,  
mgła jest wszędzie - wije się wokół moich nóg, tułowia, głowy, dotyka  
pie-

kącej ranki na szyi. Wstaję z łóżka i idę do płótna, wiedząc,,, -że muszę dokończyć portret, namalować ostatnią scenę, a potem pójść na dół i czekać.

Słyszę muzykę. Miękką, melodyjną muzykę, która sączy się z dołu. Ta muzyka mnie wzywa, daje znak, że nadszedł już czas.

Obraz jest gotowy.

Odkładam pędzel na parapet i odsuwam się, żeby ocenić swoje dzieło. Jest idealne. On jest idealny. Tak jak mój sen. A teraz pozostało mi już tylko jedno do zrobienia, żeby mój ukochany wrócił do mnie.

Jedno drobne zadanie, by ostatecznie przywrócić świetność temu domowi.

Patrzę w lustro i przeciągam dłońmi po sukni z czarnej jedwabnej mory, z głębokim dekoltem. Nie pamiętam, kiedy przebrałam się z tej liliowej, ale jestem bardzo zadowolona z odbicia, które patrzy na mnie z lustra. A kiedy widzę, że mgła zaczyna się wic i prześlizgiwać wokół mnie, wiem, że on też jest zadowolony. Rozumiem teraz to, czego nie dostrzegałam wcześniej.

To on wywołuje tę mgłę.

On jest tą mgłą.

Są jednością.

Wiedzie mnie korytarzem; mgła snuje się za mną, przede mną, wokół mnie, prowadząc mnie do

samego końca, gdzie zatrzymuję się przed wielkim portretem Lily Earnshaw, sportretowanej w 1896 roku i ubranej w tę samą suknię i biżuterię, które teraz mam na sobie.

Wyciągam rękę przed siebie, głaszczę palcami gładki jedwab sukni, bladą skórę i czuję na sobie własne palce, jakbym dotykała samej siebie. Teraz już wiem, że jesteśmy połączone.

Sztuka jest życiem. Życie jest sztuką. To powiedzenie nigdy nie było bardziej prawdziwe niż w tej chwili.

Przechodzę do portretu obok, jego portretu. Rama jest przypalona ogniem, brakuje emalii, ale zupełnie nie jestem zdziwiona, że sam portret jest jak nowy, jak żywy - tak jak i on będzie, kiedy tylko do niego dotrę. Idę na dół, do sali balowej, która jest teraz całkowicie odrestaurowana - wygląda dokładnie tak, jak na moim obrazie. Ściany są kremowe i błyszczące, usiane plamkami pozłotki, podłoga jest wywoskowana i wypolerowana jak w czasach świetności, a Camellia i jakiś rudowłosy młodzieniec, zapewne jej chłopak, śmieją się radośnie i z rozpromienionymi twarzami, z odrzuconymi do tyłu głowami tańczą walca.

On czeka w rogu, taki mroczny i przystojny, że nie mogę się powstrzymać i biegnę do niego. Krzywię się lekko, kiedy przyciska mnie do siebie i jego dotyk przeszywa moje ciało chłodem aż do kości. Czerwony

blask, który bije z jego piersi, przyciąga mnie jeszcze bliżej, wabi mnie, błaga mnie, bym go dopełniła.

Moje palce prześlizgują się przez jego ciemne, błyszczące włosy, kiedy przyciągam jego usta do swojej szyi i zamykam oczy, czując jego język obmywający moją ranę; Camellia i jej przyjaciel wzrokiem ponaglają mnie, żebym się pospieszyła, żeby wreszcie było po wszystkim.

- Tak długo czekaliśmy na tę chwilę - mruczy Camellia do swojego towarzysza. -1 warto było czekać,

o tak. Panienska jest wprost idealna, taka samiutka jak wtedy.

Wiedzieliśmy to od samego początku, kiedy tylko zwabiliśmy tu panienskę tym naborem do szkoły. Och, niechże się panienska pospieszy i już go pocałuje! Panienska jest kluczem! Wszystkie te sny i obrazy... już sama obecność panienski wystarczyła, by wszystko zaczęło się odnawiać, tak jak marzyliśmy. A teraz pora dokończyć dzieło, paniensko, pora przywrócić do życia pana Luciana, byśmy mogli służyć w tym domu jak kiedyś. Tylko jeden pocałunek, paniensko... więcej nie potrzeba...

Odwracam się. Czy ona powiedziała, że jestem kluczem?

- Teraz pewnie już panienska rozumie, że nosi własne syknie i własną biżuterię i że mieszka w posiadłości, która zawsze miała należeć do panienski? -Camellia kręci głową. - Było trochę zamieszania...

różne nieporozumienia... a potem ten pożar... -Kręci wisiorkiem na swojej szyi. - Ale niech- się panienska tym nie kłopotcze, możemy wszystko odzyskać, zacząć od nowa, tak jak dawniej... Wystarczy tylko, żeby panienska pocałowała pana Luciana, i przeszłość pójdzie w zapomnienie. - Byle szybciej! - mówi jej chłopak, wbijając we mnie swoje guzikowate oczy. - Wszyscy czekaliśmy tak długo...

Odwracam się do niego, do Luciana, który stoi milczący i nieruchomy, i nie może zrobić nic; musi cierpliwie czekać, aż zacznę. Moja krew kapie z jego warg, kusząc mnie, żebym przycisnęła do nich usta. Wiem, że to wystarczy, że nie potrzeba nic więcej -jeden głęboki pocałunek i przywrócę go do życia.

Jęczy i ściska mnie mocniej, tak mocno, że nie mogę oddychać. Jego usta muskają moje, z początku lekko, potem z coraz większą natarczywością, próbują rozdzielić moje choć odrobinę...

A ja już mam to zrobić, już mam się poddać, kiedy nagle słyszę jakiś stłumiony krzyk, jakieś zamieszanie. Odwracam się i widzę Brama stojącego tuż za mną.

- Hej, Dani. - Przesuwa brudne okulary na czoło, i wyżej, na zabłocone włosy. - Bardzo mi przykro, że wam przerywam tę wzniosłą chwilę, ale uwierz mi, może jednak zechcesz to przemyśleć.

Spoglądam na niego i znów na Luciana, zdumiona ich podobieństwem. Ubranie, włosy, nawet te oczy z ciemnymi, gęstymi rzęsami - wszystko jest identyczne, tyle że z ust Luciana wypływa mgła, a z ust Brama słowa.

- Uwierz mi - powtarza, podchodząc bliżej. - To jest akurat jedyny facet, z którym wolałabyś nie wymieniać płynów ustrojowych. Pamiętasz, jak zgubiliśmy się na dworze? To nie był przypadek, to była ich sprawka.

- Wskazuje kciukiem przez ramię na Camellię i jej przyjaciela, którzy kula się za nim. - Och, a ta ranka na twojej szyi? To nie była róża, jak pewnie sądzisz. Jeszcze nie widziałem kolca, który potrafiłby zostawić taki znaczek: dwie dziurki, strategicznie umieszczone na tętnicy. - Kręci głową, czyszcząc koszulę z błota, liści i śmieci. A co do tego cmentarza przed domem, to ostatni adres zameldowania naszego kochasia. Serio, spędził ostatnie stulecie dwa metry pod ziemią, czekając, aż się pojawisz i go uratujesz. A kiedy już się wyprowadził, próbował mnie zmusić, żebym ja tam zamieszkała. - Spogląda na swoje ubranie. - Przepraszam za ten pieprznik, ale musiałem się wykopać.

- Ależ to śmieszne - mówię, czując dłonie Luciana na moich plecach, na szyi, próbujące odwrócić mnie od Brama z powrotem do niego.

- Wiem, że to brzmi jak jakieś brednie. - Bram wzrusza ramionami. -1  
uwierz mi, takich bredni jest

na pęczki. Ale widzisz, brałem udział w tylu gockich festiwalach, że umiem odróżnić prawdę od podróbki. I niestety, Dani, to jest prawda. Dłonie Luciana ściskają mnie w talii, jego usta pieszczą moje ucho i wiem, że chce, żebym znów go pocałowała, tym razem tak naprawdę, dopóki jeszcze możemy. I chociaż bardzo chcę, chociaż wiem, że on słabnie, ledwie się trzyma - nie mogę. Nie teraz, kiedy Bram patrzy na mnie w ten sposób. Nie kiedy Camellia panikuje. Za wielu rzeczy mi nie powiedziano.

- Oglądałaś swój portret w korytarzu? - Bram kręci głową. - To jest dopiero niesamowite, co? Ale problem w tym, że on nie został namalowany w 1896, oni tylko chcą, żebyś tak myślała. Pewnie namalowano go jakoś w zeszłym tygodniu.

- Skąd możesz to wiedzieć? - pytam, myśląc, jakie to śmieszne, że ze wszystkich rzeczy, które mi powiedział, postanowiłam zakwestionować akurat tę. Ale kiedy przypominam sobie, że dotykając obrazu czułam się, jakbym dotykała siebie, mrużę oczy jeszcze bardziej podejrzliwie.

On wzrusza ramionami, postanawiając nie ciągnąć tematu.

- Tak czy inaczej, to dygresja, nie o to chodzi.

- Więc o co chodzi? - Unoszę ramię do ucha, żeby Lucian przestał chłeptać krew z mojej szyi.

- Chodzi o to, że nic z tego nie wygląda tak, jak sądzisz. Oni cię wykorzystują. Jesteś ich brakującym ogniwem. Cel całego twojego pobytu tutaj to malowanie umarlaka, wskrzeszenie umarlaka, całowanie umarlaka i przywrócenie go do życia. Ach, a gdybyś nie zauważyła, ci dwoje - wskazuje Camellię i chłopaka -to służący na dożywotnim kontrakcie, związani z domem. Żyją i umierają razem z nim. Transakcja wiązana.

Kiedy znów na nich spoglądam, wiem, że to prawda. Camellia nie jest córką Violet - to jedna i ta sama osoba. A rudzielec to szofer, koszmarny staruch, który mnie tutaj przywiózł.

- Inny kwiatek, ta sama dziewczyna. - Bram wzrusza ramionami, widząc moją minę. - Wygląda na to, że dzięki swoim obrazom odrestaurowałaś ich wszystkich.

- Ale... jak? - Mrużę oczy, skołowana tym, co powiedział. Nie ma w tym ani krztyny sensu.

Patrzy na mnie z poważną miną i mówi:

- Zwabili cię tu, żebyś przywróciła temu domowi świetność. Uwierz mi, Dani, to nie jest szkoła sztuk pięknych, a przynajmniej nie taka, jakiej się spodziewałaś. Nigdy nie było żadnego wyścigu o miejsca, żadni uczniowie nie spóźnili się z powodu mgły - w ogóle nie było żadnych innych uczniów! To jeden wielki, starannie dopracowany podstęp, żeby cię dorwać. Cały czas chodziło o ciebie, Dani.



Potrzebowali twoich snów, twojej wizji, twojego talentu - to twój artystyczny dar dokończył renowację, przywrócił wszystkiemu dawny blask. Ale twój rzekomy związek z tym miejscem, to, że wydaje ci się takie znajome, takie swojskie, a może nawet lepsze niż dom? - Patrzy na mnie z uniesioną brwią. - To wszystko ich wpływ. To nie jest rzeczywiste. - Milknie na chwilę, by jego słowa dotarły do mnie w całej pełni. - Nie musisz tego robić, nie musisz spełniać ich życzeń. To ty tu rządysz. To wszystko, wszystko co widzisz, łącznie z nimi - znów wskazuje służących za swoimi plecami - zależy wyłącznie od ciebie i twojej zgody na ich plan.

Ledwie kończy, Camellia-Violet podbiega do niego i patrząc mi głęboko w oczy, mówi:

- Nie psuj nam tego... błagam! Chcemy tylko tego, co najlepsze dla domu, tylko na tym nam zawsze zależało. I popatrz! Popatrz, jaki znów jest piękny! Tu jest twoje miejsce, Lily, to jest twój dom, a my żyjemy po to, by służyć tobie i panu Lucianowi!

Spoglądam to na nią, to na Luciana, faceta z moich snów. Potrzebuje mnie.

Jest drżący, blady, nie może mówić. Ani żywy, ani martwy, uwięziony w jakimś pośrednim stanie.

Jestem pewna tylko jednego: to jest mój obowiązek, sens mojego istnienia. Mój związek z tym domem jest prawdziwy, co do tego nie mam wątpliwości. Ni-

gdy nie czułam się tak u siebie, tak zadowolona, tak szczęśliwy przez sam fakt, że przebywam w tych starych murach. A poza tym, tak jak powiedział Bram, oni są zależni ode mnie.

Słyszę tuż przy uchu głos Brama, szepczący natarczywie:

- Posłuchaj, Dani, domyślam się, że w domu masz jakieś problemy; naprawdę to rozumiem. Mimo to nie wyglądasz mi na samobójczynię. Ale jeśli się mylę, proszę bardzo, nie przejmuj się mną i pocałuj go wreszcie, to załatwi sprawę.

Oglądam się przez ramię, zirytowana, że ciągle mi przeszkadza. Chcę wypełnić swoje przeznaczenie.

- Chociaż on wygląda na ożywionego, a w każdym razie stoi w pionie i jest widzialny, to żeby naprawdę odżyć, potrzebuje twojej duszy. A by ją zdobyć, pocałuje cię, wysysie ją z ciebie, wydrze ci całą siłę życiową i wypluje resztki, żeby się nią obciążać tym, co wysysie razem z nią.

Pozostawi z ciebie tylko pustą skorupę, którą może nawet odeśle do domu, żeby twój biedny ojciec mógł cię pochować. Serio Dani, to nie są tylko fabuły horrorów; w tym przypadku to prawda. Widzisz to czerwone światło bijące z jego piersi? To jest pustka, którą on potrzebuje wypełnić. Tego chcesz? Być dla niego dawcą duszy?

Przełykam z trudem ślinę i patrzę na faceta z moich snów, na faceta, któremu przyjechałam tu pomóc,

któremu to obiecałam. Ale kiedy oglądam się przez ramię na Brama, prawdziwego, żywego człowieka z krwi i kości, który chce mi pomóc, powstrzymać mnie przed zrobieniem czegoś ryzykownego, co może nie skończyć się dobrze, wybieram.

Słyszę pełen bólu krzyk Camelli, kiedy odpycham Luciana i biegnę do Brama.

Obejmuje mnie, całuje w usta, a dotyk jego warg jest tak znajomy, że mój mózg zalewają wspomnienia sięgające daleko wstecz, poza moje czasy.

Przesuwa wargi po mojej twarzy, na policzek, w miejsce poniżej ucha, odgarnia mi włosy na bok i szepcze:

- To jest wieczność. - I zatapia kły w mojej szyi.

*Kochaliśmy się miłością, która była więcej niż miłością.*

**Edgar Allan Poe**

**7**

Kiedy się budzę, Bram pochyla się nade mną, czyściutki, z umyтыми włosami, w świeżym ubraniu i, patrząc na mnie z miłością i troską, mówi:

**59**

- Wybacz, Lily, nie chciałem ci robić takiej niespodzianki.
- Nie mam na imię Lily - mamroczę, próbując usiąść, chociaż jestem stanowczo zbyt słaba, żeby choć podnieść głowę.
- Ale kiedyś miałaś. - Uśmiecha się, przeciągając palcem po moim policzku. - Ale jeśli wolisz, będę cię nazywał Dani albo jeszcze całkiem inaczej. Mamy całą wieczność, żeby to wszystko ustalić, nie musimy się spieszyć.

Patrzę w jego oczy, które wyglądają zupełnie jak oczy Luciana, i zastanawiam się, jak mogłam się tak pomylić.

Dociera do mnie, że moje myśli nie są już tajemnicą i nie były nią przez cały czas, kiedy on mówi:

- To nieprawda, nie pomyliłaś się, nie popełniłaś błędu, dokonując wyboru. Prawda jest taka, Lily-Da-ni, że wybrałaś dokładnie tak samo jak przedtem, ponad sto lat temu. A Lucian najwyraźniej nie zdążył się z tym pogodzić. - Kręci głową. - Chociaż gwarantuję ci, że teraz się już pogodził. Obawiam się, że mój brat nie odwiedzi nas w najbliższym czasie.

- Twój brat? - szepczę, unosząc rękę do szyi. Sama już nie wiem, co jest bardziej przerażające: dwie pary nakłuć na szyi, czy fakt, że nie oddycham.

- Posłuchaj. - Siada na sofie i chwyta moją dłoń. -Jedyne, w czym cię okłamałem, to twój związek

z tym miejscem. - Milknie i po chwili dodaje, patrząc mi w oczy. - No i w sprawie portretu. Ja go namalowałem, ponad sto lat temu, a ty namalowałaś mój portret wiszący obok niego. Ale cała reszta była prawdą.

- Jak mogłam to namalować, skoro mam siedemnaście lat?! - krzyczę. Jego słowa są zupełnie bez sensu, chociaż w głębi duszy wiem, że to prawda

- Długo czekałem, długo cię szukałem - mówi. -Już wiele lat temu dałem sobie spokój z tymi bzdurami o reinkarnacji. Ale kiedy usłyszałem o renowacji domu, wpadłem tutaj, żeby zobaczyć to na własne oczy, i zobaczyłem ciebie. I już wiedziałem. A kiedy zobaczyłem twoje martensy, miałem już pewność. Zawsze miałaś naturę buntownika. A resztę już wiesz.

- Właśnie że nie wiem - mówię. Mój głos jest ochrypły, zdarty, jakbym nie używała go cały dzień. -Niczego nie wiem. Wiem tylko, że nie oddycham, wydaje mi się, że zabiłam kogoś, kto był już martwy, i... - Zamykam oczy, nie chcąc wypowiadać reszty na głos, więc tylko myślę: I chyba jestem wampirem.

- Jesteś wampirem. - Kiwa głową, a błysk w jego głębokich, ciemnych oczach mówi mi, że jest bardzo zadowolony z tego faktu.

I byłam wampirem już wcześniej, sto lat temu? Bram przeczy ruchem głowy.

- Nie. Chociaż Lucian próbował skłonić cię podstępem, żebyś mu pozwoliła cię przeobrazić, a kiedy odkryłaś, że to on próbuje cię przemienić, a nie ja, uciekłaś. W pośpiechu przewróciłaś kandelabr, od którego spalił się cały dom i Lucian razem z nim. Kiedy wróciłem, nie było już czego ratować. Ty zniknęłaś, Lucian leżał w grobie i choć służący żyli nadzieją, że któregoś dnia on skłoni cię do powrotu, ja w to nie wierzyłem. Ale nie martw się o nich, nie są już wierni Lucianowi. Teraz, kiedy wiedzą, że nie zamierzamy się stąd wynosić, z radością będą nam służyć przez resztę wieczności.

Gapię się na ścianę, na meble, na ciężkie stale zaciągnięte zasłony.

Próbuję to wszystko zrozumieć, ale jest tego sporo.

- Wszystko, co tu widzisz, jest nasze, tak jak zawsze miało być. Jesteś integralną częścią tego domu, bez ciebie, bez naszej wiecznej miłości dom się rozpada. Było tak od pierwszej chwili, kiedy postawiłaś nogę w jego progach, ponad sto lat temu. Dom był w opłakanym stanie, ale sama twoja obecność wystarczyła, żeby zaczął się odradzać, a twój artystyczny talent przywrócił go do życia. Wtedy zrozumiałem, że to na ciebie czekałem. Twój związek z tym miejscem jest bardzo rzeczywisty, to jest twoje miejsce na ziemi. - Patrzy na mnie z nabożnym szacunkiem i dodaje cichym, czułym głosem: - Tyle

**103**

lat czekałem na twój powrót, Dani, i chociaż to Lucian przesyłał ci sny, to kochankami byliśmy ty i ja. On poznał cię pierwszy i przysięgał, że mu cię ukradłem, ale nie mogłem ukraść czegoś, co zawsze było mi przeznaczone, prawda? - Uśmiecha się i przeciąga pasmo moich włosów między kciukiem i palcem wskazującym. - Wiem, że to pamiętasz. Czuję to w twoim pocałunku.

- Więc co to oznacza? - pytam, wbijając spojrzenie w te słodkie chłodne wargi, marząc, by znów ich posmakować.

Uśmiecha się, odsłaniając wszystkie zęby, łącznie z - tak - kłami, i całuje mnie w czubek nosa.

- To oznacza, że będziesz żyła wiecznie. Będziesz wiecznie młoda i piękna. I nigdy więcej nie będziesz musiała się przejmować Niną, liceum i takimi osobami jak Tiffany i Jake.

- A mój tata? Co z nim? - pytam, nagle przytłoczona bolesną tęsknotą. Ale ten ból znika, kiedy dociera do mnie prawda: człowiek, za którym tęsknię, dawno zniknął. Mój dawny tata, ten człowiek, którym kiedyś był, zniknął, kiedy związał się z Niną. A na jego miejscu pojawił się nowy i wcale nie lepszy ojciec. Ojciec, który już mnie nie zauważa. Który bardzo chce zapomnieć o przeszłości i przyjąć przyszłość, której ja wolałabym unikać.

Bram wzrusza ramionami.

- To jedyny minus. Nie możesz się z nim już nigdy zobaczyć. Ale przecież zawsze są jakieś minusy, prawda? Wszystko ma swoją cenę. - Obejmuje mnie i pomaga mi usiąść. - Ale teraz potrzebujesz odzyskać siły. Musisz coś zjeść.

Dzwoni i wpada Violet, wciąż jako swoje młodsze wcielenie, Camellia.

- Panienko. - Kłania mi się i nie ma już nade mną żadnej niesamowitej mocy. Już nie śmie patrzeć mi w oczy, skoro nasze pozycje, pani i służącej, zostały ustalone na nowo. Stawiając talerz z wysoką piramidką kiełbasek, mówi: - Świeżutkie. Dzięki temu nowemu, miłemu stajennemu z sąsiedniego dworu.

Bram spogląda na nas obie i odprawia Camellię machnięciem ręki.

- Proszę. - Pochyliła się nade mną. - Poczęstujesz się kaszanką, którą tak bardzo lubisz? - Pochyliła się nade mną. - Czy może... poczęstujesz się mną? - Rozluźnia kołnierzyk, odsłaniając miejsce na szyi, z którego, jak sobie mętnie przypominam, piłam już wcześniej, tuż po tym, jak on ugryzł mnie.

I kiedy tak na niego patrzę, wiem, że to tylko jeszcze jedno nowe doświadczenie, które muszę przyjąć z otwartymi ramionami, które nie tylko ulepszy moją sztukę, ale i wyzwoli moją duszę, jak to kiedyś powiedział.



Spoglądam w lustro stojące przed nami i widzę go, z jego przyglądzonymi do tyłu włosami, w czarnej kamizelce, w czarnych spodniach i białej koszuli z żabotem, i siebie w sukni z czarnej mory, z tiarą z gagatów na głowie.

I sięgam po niego, przyciągam go do siebie, a moje wargi drżą z niecierpliwości, by dotknąć jego warg. Przypominam sobie, jakie to było uczucie, być kochaną, naprawdę kochaną tyle lat temu, kiedy się poznaliśmy, i wiem, że znalazłam tę miłość na nowo. Więc pochylam głowę, przyciskam usta do jego szyi i piję.

Czuję jego ramiona, które otaczają mnie miłośnie, opiekuńczo i czuję się jak w domu. W moim prawdziwym domu. Tym, który był mi zawsze przeznaczony.

*Mead Richelle*

**Pocałunki z piekła 3**

*Blask słońca*

1

Emma nie była pierwszą dziewczyną Erica Dragomira. I pewnie nie ostatnią. Oczywiście to ostatnie stwierdzenie było prawdziwe, pod warunkiem że nie wmiesza się ojciec Erica. Zdaniem Fredericka Dragomira Erie i Emma powinni już być małżeństwem. Cud, myślał z goryczą Erie, że ojciec po prostu nie zaplanował ich ślubu tego samego dnia, kiedy skończyli liceum.

- W czym problem? Ile jeszcze dziewczyn zamierzasz zaliczyć? - spytał gniewnie Frederick ostatnim razem, kiedy się widzieli. - Ona jest z dobrej rodziny. Ładna. Inteligentna. Dość miła. Czego więcej chcesz? Wiem, uważasz, że jesteś za młody, ale czas ucieka! Zostało nas już tak niewiele.

Teraz, gtojąc na chilijskiej plaży, która zdawała się o lata świetlne od Montany, i patrząc, jak gwiazdy migoczą na ciemnofioletowym niebie, Erie zastanawiał się,

2

czy właśnie to pchnęło jego rodziców do małżeństwa. Strach, że ich gatunek wymiera. Kiedy dorastał, nigdy nie zastanawiał się nad ich związkami. Byli po prostu rodzicami. Istnieli. Mieli zawsze być razem. Mieli zawsze być blisko. Brał to za pewnik, i nigdy nie rozmyślał nad intymnymi aspektami ich małżeństwa. Zdał sobie sprawę - teraz, kiedy matki już nie było - że tak właściwie nigdy nawet nie zadał sobie trudu, żeby ich poznać. Teraz było już za późno, żeby poznać ją, a co do ojca... ostatnio przez to naciskanie na ślub Erie szczególnie miał ochotę bliżej go poznawać.

Emma pojawiła się nagle, jak duch, i wzięła go pod rękę.

- Nie cieszysz się, że słońce zaszło? To światło dosłownie mnie zabija.

Ericowi nie chciało się zwracać jej uwagi, że mocno przesadza z tym „dosłownie”, nawet jeśli rzeczywiście nadmiar słońca szkodził jego gatunkowi. Szczerze mówiąc, zawsze trochę żałował, że żyjące wampiry nie mogą się wystawiać na światło słoneczne. Lubił czasem fantazjować, że leży przy basenie w złocistych objęciach słońca.

Uśmiechnął się do Emmy. Miała ciemnoniebieskie oczy, długie rzęsy i ciemnobrązowe włosy zaplecione w misterny warkocz, które kontrastowały z bladą, porcelanową cerą, jaką mieli wszyscy Moroi. Kiedy dodać do tego twarz w kształcie serca z wysokimi

kośćmi policzkowymi, jest oczywiste, że na widok Emmy Drozdov mnóstwo facetów zatrzymywało się i gapiło, łącznie z Erikiem.

Znów się myliłeś, tato, pomyślał. Ona nie jest ładna. Jest olśniewająca.

Może ustatkowanie się nie byłoby takie złe. Z Emmą zawsze dobrze się bawili i ojciec miał rację co do tego, że jest inteligentna i miła. Pokazała mu też niejednokrotnie swój zapał i kreatywność w sferze erotyki. Życie z nią nigdy nie byłoby nudne i Erie podejrzewał, że Emmie spiesz się do zaręczynowego pierścionka tak samo jak jego ojcu.

- Hej - powiedziała, trąc go łokciem. - Co się dzieje? Dlaczego jesteś taki poważny?

Zaczął gorączkowo szukać odpowiedzi, która nie zdradziłaby, w jakim naprawdę był nastroju - ani że stale rozmyśla o ich związku. Co to jeszcze powiedział ojciec ostatnim razem? „Nie możesz czekać wiecznie. A jeśli coś ci się stanie? Co wtedy z nami będzie?”

- Po prostu jestem wkurzony, że łódź się tak spóźniła - odparł, uciszając głos ojca. - Mieliśmy odpłynąć przed zachodem słońca.

- Wiem. - Emma się rozejrzała. Wokół nich przechadzali się inni z ich maturalnej klasy, powiedzmy sobie szczerze, szkolna elita. Niecierpliwie czekali, by wejść na pokład jachtu, którym mieli popłynąć

na najlepszą imprezę roku. - A teraz ci się znowu grzebią.

- Marynarze muszą załadować zaopatrzenie -zwrócił jej uwagę Erie. Jacht już od jakiegoś czasu był zacumowany na przystani i trwał załadunek żywności i bagaży. Znużonych karmicieli - ludzi, którzy z własnej woli oddawali krew wampirom Mo-roi - prowadzono wzdłuż pirsu i na łódź. Tak naprawdę wykorzystywanie jachtu tylko do transportu wydawało się marnotrawstwem. Był nowiutki i, jak głosiły plotki, luksusowy. Nawet w gasnącym świetle lśnił bielą. Można by uznać, że jest trochę mały jak na jacht, ale z łatwością pomieściłby całą jego klasę podczas przyjęcia.

- Mimo wszystko powinniśmy byli wypłynąć godzinę temu. - Spojrzenie Emmy padło na Jareda Zeklosa, z rodziny królewskiej, którego ojciec organizował tę trwającą cały weekend imprezę.

Uśmiechnęła się złośliwie, wysuwając koniuszki kłów z błyszczących, czerwonych ust. - Jared był taki zadowolony z siebie, kiedy ogłoszono termin przyjęcia. Teraz wszyscy będą na niego wściekli. To prawda. Takie było towarzystwo, w którym się obracali. Ericowi było niemal żal Jareda, który czuł się coraz bardziej nieswojo pod spojrzeniami kolegów z klasy. Plaża i pirs, jak wiele terytoriów Moroi, były dosyć odludnym miejscem, do którego można

było dojechać tylko gruntową drogą wyciętą w dziewiczej dżungli.

I właśnie tam, tuż przy linii drzew, Erie dostrzegł twarz z koszmarów. Ten ktoś rzucił się na rudowłosą dziewczynę. Twarz istoty była blada, ale nie tak jak twarze Moroi. Była chorobliwie, kredowo biała. Erie ledwie wierzył własnym oczom, ale wiedział, co widzi: to jeden ze Strigoi, nieumarłych wampirów, które zabijały tych, których krew piły. Nie żyły i nie żywiły się tak jak Moroi. Były to stwory istniejące wbrew naturze, które przemieniły się z żywych i egzystowały w tym nienormalnym, nieumarłym stanie. Czasami Moroi robił coś takiego z własnej woli, jeśli wypił całą krew ofiary. Czasami transformacja dokonywała się pod przymusem, kiedy Strigoi ugryzł ofiarę i zmusił ją do wypicia swojej krwi. Ale sposób ich tworzenia był nieistotny. Strigoi byli zabójczymi istotami, które nie pamiętały swojego poprzedniego życia. Bładość ich twarzy była bladością śmierci i rozkładu; Erie wiedział, że ich źrenice widziane z bliska są obrzeżone czerwienią.

Strigoi poruszający się z nadludzką prędkością wysunął z charkotem kły, mierząc w szyję dziewczyny. Erie przez całe życie uczył się o tych istotach, ale nic nie mogło go przygotować na ich widok. Emma widocznie też nie była przygotowana, sądząc po tym, jak przywarła do niego i wbiła palce w jego ramię.

Powietrze wypełniły krzyki i Erie dostrzegł kolejnego Strigoi, który wyskoczył z cienia i pędził w stronę świeżo upieczonych absolwentów. Wybuchła panika, a wraz z nią zapanował chaos, jak zawsze, ilekroć ludzie schwytani w pułapkę wpadali w przerażenie. Zaraz zaczęła się tratować, pomyślał.

I nagle, równie błyskawicznie jak Strigoi, z tłumu wyłoniły się inne postacie. Ubrani byli podobnie jak szkolni koledzy Erica, ale nikt nie pomyliłby ich z Moroi. Były to dhampiry - czyli strażnicy - pół ludzie, pół wampiry, wojownicy, którzy strzegli Moroi. Byli niżsi i bardziej muskularni niż wampiry, które ochraniali; trenowali, by reagować błyskawicznie na atak Strigoi. Na plaży był niemal tuzin strażników i tylko dwóch Strigoi, z którymi łatwo sobie poradzili.

Cała scena trwała ledwie kilka sekund, ale Erie miał wrażenie, że rozgrywa się w zwolnionym tempie. Strażnicy, którzy wmieszali się w czekających Moroi, rzucili się na napastników. Ten, który zaatakował rudowłosą dziewczynę, został przebity kołkiem, zanim zdążył jej zrobić krzywdę. Drugi został powalony, nim w ogóle zaatakował.

Po kilku minutach grupa się uspokoiła. Niebezpieczeństwo minęło i kiedy zrozumieli, co zaszło, zaczęli wiwatować. Nagle było tak, jakby ten incydent nigdy się nie wydarzył. Kilku strażników odciągnęło ciała przebitych kołkami Strigoi, by je spalić, a resz-



ta zaczęła krzyczeć, że Moroi należy zapakować na pokład natychmiast. Erie, poganiany razem z resztą, siedł oszołomiony w stronę pirsu, wciąż usiłując zrozumieć to, co się stało.

Kilku jego kolegów mimo wiwatów miało miny wyrażające dokładnie to samo, co czuł on. Byli to Moroi, którzy albo już wcześniej spotkali Strigoi, albo zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Reszta, która większość życia spędziła w bezpiecznej, dobrze strzeżonej szkole, nigdy nie widziała Strigoi. Oczywiście słyszeli opowieści o nich, ale błyskawiczne unieszkodliwienie tych dwóch na nie-szczęście zupełnie rozwiało lęk niektórych. Był to niebezpieczny błąd.

- Widziałeś to?! - wykrzyknęła Emma. Mimo początkowego przerażenia i ona chyba uznała, że nie ma się czego bać. - Ci Strigoi byli tutaj, i nagle pa! strażnicy ich pokonali. Co oni sobie wyobrażali? Strigoi znaczy. Mieliśmy taką przewagę liczebną.

Erie nie zwrócił jej uwagi na oczywisty fakt. Strigoi nie obchodziły szanse powodzenia - głównie dlatego, że to nie miało znaczenia. Wystarczyło dwóch Strigoi, żeby zamordować jego matkę i grupę, w której była, w tym sześciu strażników. W wielu sytuacjach sześciu strażników wystarczyłoby w zupełności. W jej przypadku nie wystarczyło i Erie był trochę zaskoczony, że Emma była tak pochłonięta

sensacyjnym aspektem tego, co się stało, że zapomniała o historii jego rodziny.

Od śmierci matki Erie miewał koszmary senne, których bohaterami byli Strigoi. Nikt nie chciał słu-  
chać o jego snach. Przez chwilę ledwie mógł iść, tak był porażony widokiem tej strasznej twarzy. Czy  
tak zginęła jego matka? Czy została zaatakowana nagle i brutalnie? Bez ostrzeżenia... po prostu kły  
rozerwały jej szyję... Tym razem Strigoi został zabity, zanim wbił kły w szyję dziewczyny. Jego matka  
nie miała tyle szczęścia.

- Wszyscy rozmawiają z Ashley - burknęła Emma, wskazując miejsce, gdzie spora grupka osób  
skupiła się wokół niedoszłej ofiary wchodzącej na pokład. - Ja też chcę wiedzieć, co czuła, gdy Strigoi  
ją zaatakował.

Straszne, pomyślał Erie. Przerazające. Mimo to Ashley najwyraźniej była zachwycona zaintereso-  
waniem jej osobą. A reszta kolegów była nakręcona i podekscytowana - jakby atak Strigoi był  
wyreżyserowanym wstępem do imprezy. Rozglądał się wokół, osłupiały. Jakim cudem nikt nie brał  
tego poważnie? Strigoi porywali Moroi od stuleci. Jak to możliwe, że nikt nie pamiętał o śmierci jego  
matki. To było zaledwie sześć miesięcy wcześniej. Jak to możliwe, że Emma o tym nie pamiętała? Nie  
była okrutna z natury, ale był lekko przerażony, jak ślepa była na jego uczucia po tym  
„emocjonującym wydarzeniu”.

Może nie powinien być zaskoczony. Nawet jego ojciec sprawiał wrażenie, że nie pamięta o przeszłości. Wszyscy zdawali się myśleć, że Erie powinien już zrzucić żałobę i po prostu żyć dalej. Z całą pewnością myślał tak ojciec. Erie zastanawiał się czasami, czy ta fiksacja ojca, żeby młodo go ożenić, nie zajęła miejsca prawdziwej żałoby. Frederick Drago-mir miał obsesję na punkcie ratowania swojego królewskiego rodu, który skurczył się ostatnio do zaledwie dwóch osób: ojca i syna.

Emma wyszczerzyła się radośnie do Erica, jej oczy błyszczały w świetle księżyca. W tej chwili nie wydawały mu się już takie piękne jak do tej pory.

- To było obłędne, nie sądzisz? - spytała. - Nie mogę się doczekać, co będzie dalej!

Khea Daniels nie lubiła morza. Zawsze się zastanawiała, czy nie ma to związku z faktem, że była władczynią ognia. Wszyscy Moroi używali magii powiązanej z jednym z czterech żywiołów: ziemi, powietrza, wody i ognia. Ci, którzy władali wodą, zawsze uwielbiali pływać i żeglować. Ale nie Rhea.

Bujanie, nawet na tak dużym jachcie jak ten, wywoływało mdłości i wciąż miała napady lęku, że wypadnie za burtę i utonie w tym zimnym, ciemnym grobie.

Ale dziś stała przy burcie, z daleka od pozostałych, którzy wciąż rozmawiali o ataku na plaży. Nie miała nic przeciwko samotności; i tak nie знаła większości z nich. Poza tym przy burtach jachtu był najsilniejszy wiatr i jego chłodne podmuchy trochę łagodziły mdłości. Mimo wszystko ścisnęła reling tak mocno, że aż dostała skurczu w palcach. Krzywiąc się, spojrzała w stronę docelowego portu. Jak wszystkie wampiry doskonale widziała w nocy i potrafiła dostrzec ciemny kształt wyspy na tle rozgwieżdżonego nieba. Jak na jej gust, posuwali się w jej kierunku stanowczo zbyt wolno.

- Nie bolą cię ręce?

Ten głos ją przestraszył. Moroi mieli również doskonały słuch, ale ten ktoś podszedł ją bez ostrzeżenia. Spojrzała przez ramię i zobaczyła chłopaka z rękami w kieszeniach spodni khaki, przyglądającego jej się z ciekawością. Wiatr masakrował jego bardzo jasne włosy, ale on tego jakby nie zauważał. Ten kolor włosów był fascynujący. Jej miały odcień jasnego złota, ale jego były platynowe i w odpowiednim oświetleniu pewnie wyglądałyby na zupełnie białe. W jego postawie było też coś królewskiego - jakby od urodzenia przywykł do władzy i prestiżu i został

wychowany, by rządzić - ale ten opis pasowałby do prawie wszystkich uczestników tej wycieczki.

- Nie - skłamała. Zapadła cisza. Rhea nie cierpiała ciszy. Zawsze czuła potrzebę podtrzymywania rozmowy i teraz na siłę starała się coś wymyślić. -Co tu robisz? - Jej słowa zabrzmiały szorstko; skrzywiła się.

Uśmiechnął się do niej blado. Uznała, że ma ładne usta.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? To twoja prywatna część jachtu?

- Nie, nie, oczywiście, że nie. - Miała nadzieję, że w ciemności nie dostrzegł jej rumieńca. -

Pomyślałam tylko... to znaczy, jestem po prostu zaskoczona, że nie jesteś z całą resztą.

Sądziła, że odpowie jej jakąś żartobliwą uwagą, ale ku jej zaskoczeniu jego uśmiech zniknął. Chłopak zapatrzył się w morze. Przyjrzała się jego ubraniu. Nie był w smokingu, nic z tych rzeczy, ale jego spodnie i sweter aż krzyczały o bogactwie i statusie. Zawstydziała się swoich dzinsów. Następne słowa chłopaka oderwały jej uwagę od jego stroju.

- Chyba po prostu mam dość opowieści o Strigoi. Jakby to było jakieś show.

- Ach tak. - Rhea spojrzała w stronę, gdzie tamta dziewczyna, Ashley, opowiadała swoją przygodę po raz setny. Rhea słyszała, co mówią, i za każdym

razem opowieść wydawała się bardziej rozbudowana. Teraz Strigoi nawet rzucili ją na ziemię i potrzeba było wszystkich strażników, żeby ją uratować. Rhea znów spojrzała na swojego dziwnego towarzysza. - Taak... mnie to jakoś nieszczególnie interesuje... a przynajmniej nie w taki sposób jak ich.

- Naprawdę?

Odwrócił się do niej, szeroko otwierając oczy, jakby to było strasznie dziwne, że ktoś nie uważał ataku Strigoi za ekscytujący. Wtedy zobaczyła, że jego oczy mają kolor jadeitu i są równie fascynujące, jak jego włosy. Ten odcień zieleni był piękny i rzadki, pojawiał się tylko w niektórych rodach królewskich. Jednym z nich byli Dashkovowie, ale nie mogła sobie przypomnieć innych.

- Oczywiście, że tak - obruszyła się, mając nadzieję, że jej gapienie się nie było zbyt jawne. - Nie byłiby tacy podkręceni, gdyby komuś naprawdę stała się krzywda. Boże, czy oni nie pamiętają ataku w San Jose? Kiedy zginęło tyle osób?

Chłopak zeszywniał, oczy wciąż miał szeroko otwarte i Rhea nagle pożałowała swoich słów. Może znał którąś z ofiar? Poczula się głupio i niezręcznie i zbesztła się w duchu za własne zachowanie.

- Przepraszam... nie powinnam była...

- Ty to pamiętasz? - spytał tak samo zdumiony, jak przed chwilą.

**13**

- Tak... Jak mogłabym nie pamiętać? No bo... wiesz, nie znałam nikogo z nich osobiście, w większości to byli Lazarowie, ale zginął też hrabia Szelsky... i żona księcia Dragomira. Jak jej było na imię?

- Alma - odparł cicho, wciąż patrząc na nią w osłupieniu.

Rhea zawahała się, nie bardzo wiedząc, jak dużo powinna o tym mówić. Teraz już była pewna, że znał którąś z ofiar.

- No cóż, to było straszne. Bardziej niż straszne. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak muszą się czuć ich rodziny...

- To było sześć miesięcy temu - przerwał jej szorstko.

Rhea zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć znaczenie tych słów. Nie zbywał jej ani nie sugerował, że sześć miesięcy to dużo czasu, a jej zdaniem to nie było dużo czasu. Powiedział to tak, jakby ją sprawdzał, co było dość bezsensowne.

- Nie uważam, żeby przez sześć miesięcy można było przeboleć utratę kogoś, kogo się kocha - powiedziała w końcu. - Wiem, że ja bym nie potrafiła. Czy... ty znałeś kogoś z nich?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nagła fala zachybotła łodzią. Jacht zjechał w wodną dolinę, za Rheą i Erikiem rozległy się radosne piski. Dziewczyna krzyknęła cicho i mocniej ścisnęła reling, chociaż

**121**

nie sądziła, by to było możliwe, i lekko się zachwiała. Erie chwycił ją i pomógł odzyskać równowagę, kiedy jacht przestał się kołysać.

Oddychaj głęboko, oddychaj głęboko, powiedziała sobie. Czy nie to robili ludzie, żeby się uspokoić? Głębokie oddychanie nie było dla niej problemem. Niewiele jej brakowało do hiperwentylacji i miała wrażenie, że serce zaraz wyrwie się z jej piersi, tak gwałtownie łomotało.

- Spokojnie - powiedział Erie cichym, kojącym głosem. - Nic ci nie jest. To była tylko fala.

Rhea nie zdołała odpowiedzieć. Była jak sparaliżowana; z przerażenia nie mogła się ruszyć ani odezwać.

- Wszystko jest dobrze - spróbował jeszcze raz. - Popatrz, jesteśmy prawie na miejscu.

Z ogromnym wysiłkiem Rhea odwróciła się w kierunku, który wskazał. I rzeczywiście, wyspa była o wiele bliżej. Skupisko świateł wskazywało przystań, a postacie na brzegu zdawały się już czekać, żeby poprowadzić ich w głąb wyspy.

Wypuściła powietrze, rozluźniła chwyt, odrobinę, i przestąpiła z nogi na nogę. On ciągle ją trzymał, widocznie nie był pewien, czy wszystko już z nią w porządku.

- Dziękuję - wykrztusiła w końcu. - Już... już dobrze.

**15**



Odczekał jeszcze chwilę i wreszcie ją puścił. Kiedy ścisnął jej rękę, ze zdziwieniem zauważył pierścionek, który nosiła. Duży, szlifowany w markizę brylant błyszczał jak gwiazda na jej palcu. Patrzył na niego w szoku, jakby miała kobrę owiniętą wokół ręki.

- Jesteś... jesteś zaręczona?

- Ze Stephenem Badicą.

- Serio?

Ton jego głosu, jakby absolutnie nie wierzył własnym uszom, nagle ją rozgniewał. Oczywiście że był zaskoczony. Dlaczego miałby nie być? Wszyscy byli. Wszyscy się zastanawiali, jak to możliwe, że Rhea Daniels, zaledwie półkrwi królewskiej, mogła sobą zainteresować kogoś pochodzącego z tak wysokiego rodu. Małżeństwo jej rodziców było już wystarczająco wielkim skandalem. Wszyscy uważali, że jej matka popełniła megalomanię i Rhea wiedziała, że właśnie ta opinia spowodowała, iż matka zachęcała ją do zaręczyn ze Stephenem.

Mimo to Rhea nie cierpiała tych wszystkich insynuacji. Słyszała szept; wiedziała, że ludzie się zastanawiają, czy jej rodzice nie ubili jakiegoś interesu z rodzicami Stephena, nie przekupili ich w jakiś sposób. Inni mówili, że Stephen zainteresował się nią, bo była łatwa, i że narzeczeństwo przetrwa tylko dopóki się nią nie znudzi. Wiedziała, że wyglądają na dziwną

parę. Rhea była cicha - należała bardziej do obserwatorów świata. Stephen był towarzyski i hałaśliwy, zawsze w centrum wydarzeń - do tego stopnia, że teraz razem z innymi przeżywał to, co się stało.

Rhea odsunęła się od jasnowłosego chłopaka.

- Tak - odparła szorstko. - Serio. Jest świetny. Zaprosił mnie na tę imprezę. - Była jedną z niewielu osób na pokładzie, które nie chodziły do Akademii Świętego Vladimira.

- Tak... - Ten gość nie wydawał się do końca pewny. Przede wszystkim wyglądał na skonsternowanego. - Po prostu... po prostu jakoś nie widzę was razem.

Oczywiście, że nie widział. Było jasne, że jest z samego szczytu elity. Nawet wśród rodów królewskich byli lepsi i gorsi. Szczerze mówiąc, to był cud, że on w ogóle z nią rozmawiał.

- Nie martwisz się... nie martwisz się, że jesteś za młoda? - Znów mówił tym niedowierzającym tonem, który złościł ją coraz bardziej.

- Kiedy się znajdzie kogoś właściwego, nie trzeba skakać z kwiatka na kwiatek.

Skrzywił się, jakby nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Rhea była ciekawa, czy trafiła w jego czuły punkt.

Uratowała go ładna, ciemnowłosa dziewczyna, która zawołała, żeby dołączył do reszty towarzystwa.

Nazwała go Erie.

- Lepiej idź - powiedziała Rhea. - Miło się z tobą rozmawiało.  
Zaczął się odwracać, ale jeszcze się zawahał.  
- Jak się nazywasz?  
- Rhea Daniels.  
- Rhea... - Wypowiedział jej imię, jakby analizował każdą sylabę. - Ja jestem Erie.  
- Tak, słyszałam. - Odwróciła się w stronę morza, dając mu do zrozumienia, że rozmowa skończona.  
Miała wrażenie, że on chce powiedzieć coś jeszcze, ale po kilku sekundach usłyszała tylko odgłos jego oddalających się kroków, ginących w szumie fal bijących o burtę.

3

Wszyscy byli gotowi do imprezy, ledwie wyszli z przystani. Mimo czarnego nieba dla Moroi było południe - trochę wcześniej na zabawę, ale nikt się tym jakoś nie przejmował. A kiedy wszyscy zobaczyli z daleka dom Zeklosów, z łatwością wybaczyli Jaredowi spóźniony start. Nawet Erie był w szoku, a przecież wychowywał się w luksusie. Gigantyczna posiadłość rozłożyła się na niewielkiej skarpie. Budynek

**18**

właściwie składał się z okien, które obiecywały spektakularny widok. Egzotyczne drzewa osłaniały dom przed wzrokiem pasażerów przepływających łodzi. Moroi zadawali się z ludźmi, ale kiedy tylko było to możliwe, szukali odosobnienia. Daleko za domem, po drugiej stronie wyspy, były skalne urwiska.

Strażnicy kazali zostać wszystkim na jachcie, dopóki nie przeszukają wyspy. Większość kolegów Erica, włącznie z Emmą, narzekała na te środki ostrożności. Jakoś nikomu nie mieściło się w głowie, że Strigoi mogli się przedostać na tę wyspę, ale Erie wiedział, że Strigoi mogą wsiąść na łódź równie łatwo, jak ktokolwiek inny. Ojciec Jareda miał tu własnych strażników, ale to nie oznaczało, że Strigoi nie mogli się tu zakraść poprzedniej nocy.

Erie wciąż był zde gustowany tym nonszalanckim podejściem wszystkich do Strigoi, ale co innego zaprzątneło jego myśli. Na przykład Rhea Daniels.

Dlaczego tak się na niego rozzłościła? Analizował ich rozmowę wciąż od nowa, próbując odgadnąć, co takiego powiedział. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to to, że nie wiadomo czemu obraziła się, gdy wyraził zdziwienie na wieść, że jest ze Stephenem. Nie to było intencją Erica, chociaż naprawdę uważał, że dziwna z nich para. Stephen zawsze był głośny, zawsze ściągał na siebie uwagę i rozśmieszał ludzi. Może przeciwności naprawdę się przyciąga

ją, ale zdaniem Erica fakt, że do tej pory nie słyszał o narzeczonej Stephena, o czymś świadczył. Oczywiście, jako że wszyscy dopiero co skończyli szkołę, te zaręczyny mogły być świeżą sprawą. Ale pamiętał, że kiedy czekali na plaży, widział Stephena dowcipkującego i zabawiającego innych, Rhei nie było nigdzie w pobliżu. A może była? Może Erie po prostu jej nie zauważył, choć wydawało mu się to niemożliwe. Jak ktokolwiek mógłby jej nie zauważyć? Nawet teraz, choć miał w perspektywie niesamowitą imprezę, wciąż myślał o tej dziewczynie. Garść bladych piegów na jej bladej skórze - rzadkość wśród Moroi. A jej oczy... jej oczy miały ciepły orzechowy odcień z plamkami zieleni i złota. W tych oczach było coś nieskończenie mądrego i dobrego, zwłaszcza kiedy mówiła o masakrze. Nie znała nikogo, kto wtedy zginął, a mimo to sprawiało jej to ból.

- Nareszcie - powiedziała Emma. Strażnicy prowadzili Moroi na przystań i w głąb wyspy. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jakie mamy pokoje. Miranda była tu już kiedyś i mówiła, że są ogromne. Rzeczywiście były, ale Erie nie spędził w swoim wiele czasu. Służący Moroi wnieśli bagaże gości i wskazali wszystkim przydzielone pokoje. Może i były ogromne, ale nawet w tak wielkim domu nie było trzydziestu sypialni, więc niektórzy musieli je dzielić. Erie był jednym ze szczęściarzy, którzy mieli

pokój tylko dla siebie, co go nie zaskoczyło. Biorąc pod uwagę status i władzę jego ojca, większość rodzin chciała z nim dobrze żyć. Rodzina Jareda nie była wyjątkiem.

Po krótkiej przerwie wszyscy udali się na tyły domu, gdzie służba Zeklosów uwijała się jak w ukropie. Wokół ogromnego patio, osłoniętego drzewami i wyłożonego płytkami, wbito w ziemię wysokie pochodnie, które rozjaśniały ciemność niesamowitym, migotliwym światłem. Powietrze wypełniały zapachy pieczonych mięs i innych specjałów, a pośrodku patio znajdowała się sztuczna laguna z krystaliczną błękitną wodą podświetlana od spodu lampami. Cały basen świecił jak niezemskie zjawisko.

Ojciec Jareda, chudy mężczyzna o skośnych czarnych brwiach i z wąsem przylizanym brylantyną, wygłosił krótką mowę, gratulując im ukończenia liceum i życząc szczęścia na ścieżkach życia, które wybiorą. Kiedy skończył, natychmiast zaczęła się impreza. Muzyka buchnęła z niewidocznych głośników i wszystkie myśli o przyszłej odpowiedzialności i ważnych planach z miejsca poszły w zapomnienie.

Erie rzucił się w wir zabawy, pił i tańczył; nagle zapragnął choć na chwilę o wszystkim zapomnieć. Nie chciał myśleć o matce ani o tej strasznej, koszmarnej twarzy na przystani. Nie chciał myśleć o swoim dziedzictwie, o tym, że jest spadkobiercą wymierającego

królewskiego rodu. Nie chciał myśleć o planach ojca wobec niego. A przede wszystkim i z całą pewnością nie chciał myśleć o poważnej dziewczynie, którą spotkał na jachcie. Czasami takie przyjęcia jak to wydawały mu się banalne, ale czasami... w najtrudniejszych chwilach jego życia takie szalone hulanki były dla niego pożądanym sposobem ucieczki.

- Przyznaj, że dawno się tak nie bawiłeś! - zawołała Emma, przekrzykując muzykę.

Erie wyszczerzył zęby i przyciągnął ją w tańcu do siebie jedną ręką. W drugiej ręce trzymał drinka, usiłując go nie rozlać - i nie szło mu to najlepiej. Ale biorąc pod uwagę, że był to już jego trzeci, pewnie nie miało znaczenia, jeśli trochę wylał.

- A według ciebie zwykle nie bawię się dobrze? -zażartował.

Emma pokręciła głową.

- Nie... ostatnio byłeś taki poważny. Jakbyś trochę się bał... no nie wiem. Jakbyś się bał przyszłości. -

Upiła drinka i ślicznie zmarszczyła czoło. - Boisz się?

Była to zaskakująco głęboka uwaga jak na nią i Erie nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Emma była mistrzynią w życiu chwilą, w szukaniu rozrywki i wrażeń - bez myślenia o konsekwencjach. Była to jedna z jej cech, które najbardziej mu się podobały, kiedy dręczyły go jego demony.

- Nie wiem - przyznał, uznając, że musi dopić drinka, jeśli ta rozmowa ma się toczyć dalej. Ale i temat, i muzyka mocno utrudniały jej prowadzenie. -Po prostu czuję taką presję... muszę podjąć tyle decyzji, które mogą wpłynąć na resztę mojego życia.

Emma stanęła na palcach i cmoknęła go szybko.

- To, że musisz podjąć decyzję, nie oznacza koniecznie, że będzie miała złe konsekwencje. A niektórzy z nas nie mają nic przeciwko temu, żeby być przy tobie i cię wspierać.

Przez mgiełkę martini z wódką usłyszał w jej oświadczeniu subtelną aluzję do zaręczyn. Natychmiast pożałował, że zeszli na ten temat. Chciał zaproponować kolejnego drinka, ale na szczęście coś odwróciło ich uwagę.

- A teraz - rozległ się głos, który jakimś cudem przebijał się przez ciężkie basy - Spróbuję dokonać czegoś, czego nie próbował wcześniej nikt w historii. Nigdy.

Erie i Emma odwrócili się i ujrzeli Stephena Badi-cę stojącego na krześle nad brzegiem basenu. Wszyscy na niego patrzyli. Nawet bez takich teatralnych zagrywek Stephen przyciągał spojrzenia. Był zbudowany trochę potężniej niż typowi, smukli Moroi. To nadawało mu, jak sam żartował, „twardy i męski” wygląd. Nie miał rysów ładnego chłopca, ale mocne linie jego wyrazistej twarzy podobały się większości



dziewczyn - szczególnie że niemal bez przerwy się uśmiechał.

Stephen uniósł kieliszek z whisky.

- Wskoczę do basenu i wypiję shota, zanim wpadnę do wody.

Jego oświadczenie przywitały wiwaty i gwizdy, jak również krzyki kilku niedowiarków, którzy protestowali przeciwko rozlewaniu whisky do wody. Stephen uniósł wolną rękę, jakby prosił o ciszę, co w tej sytuacji było niemożliwe, i zeskoczył z krzesła. Wszystko działo się bardzo szybko, ale Erie był właściwie pewny, że widział, jak Stephen naprawdę wypija whisky, zanim uderzył w taflę basenu. Woda rozprysnęła się dookoła, rozległo się parę pisków zmoczonych dziewczyn. Wśród nich była Emma, której obcisła czerwona sukienka ociekała wodą.

Widzowie znów zaczęli wiwatować, a Stephen wynurzył się z triumfalnie uniesionymi rękami. Po kilku radosnych okrzykach wyzwiał innych, by spróbowali powtórzyć jego wyczyn. Oczywiście zgłosiło się kilku ochotników.

Patrząc na Stephena, Erie zdał sobie sprawę, że tej nocy będą mu się snuć po głowie niechciane myśli. W głębi duszy miał nadzieję dostrzec w tłumie jasne włosy Rhei. Odwrócił się do Emmy, która bezskutecznie próbowała wycisnąć wodę z sukienki, i spytał:

- Hej, a ty wiesz coś o tym, że Stephen się zaręczył?

**24**

- He? - Emma nie odrywała oczu od sukienki. -A, tak. Z jakąś dziewczyną z... nie pamiętam. Z jakiejś innej szkoły. Gdzieś tu jest... blondynka. Trochę cicha. A co?

Erie wzruszył ramionami.

- Po prostu usłyszałem o tym wcześniej i się zdziwiłem. Stephen nie wygląda mi na gościa, który chciałby się usatkwować. To nie w jego stylu.

Emma przestała wyżymać sukienkę i spojrzała na niego.

- Chyba raczej ona nie jest w jego stylu.

- Co? Dlaczego? Co z nią jest nie tak?

- Jest tylko półkrwi. - Emma nie ukrywała pogardy w głosie. - Jej mama jest z rodu Oзера, zdaje się, ale ojciec jest nikim.

- To dość niemiła uwaga.

- Nic do niej nie mam. I okazała się sprytna, łapiąc Stephena. Niezła robota. To z pewnością podniesie jej status. - Emma pociągnęła Erica za koszulę, z miejsca zapominając o Stephenie i Rhei. - Chodź.

Moja sukienka jest do niczego.

- Hm? Co ty...

Może winna była nagle zmiana tematu, albo po prostu nadmiar alkoholu, ale Erie nie zdołał powstrzymać Emmy, kiedy pociągnęła go w stronę basenu. Wylądowali niezgrabnie w wodzie, wychlapując ją na wzorzyste kafle podłogi. Inni goście już

wcześniej poszli za przykładem Stephena i Erie trochę się zdziwił, że nie wpadli na nikogo.

- Uch! - jęknął, patrząc na swoje przemoczone ubranie. Emma roześmiała się triumfalnie i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Mam cię - powiedziała.

Chciał narzekać, ale szybko się przekonał, że trudno mu było marudzić, kiedy Emma przytulała się do niego. Nie zwracając uwagi na innych, pocałowała go, a Erie stwierdził, że dotyk jej ciała w tej obcisłej sukience pozwala o wiele skuteczniej niż alkohol zapomnieć o troskach. Przyciągnął ją bliżej i przesunął dłonią po jej biodrze.

- Chcesz się wcześniej położyć? - spytała ochryple, kiedy wreszcie przerwała pocałunek.

Erie zawahał się, myśląc, że to może być doskonały pomysł. Ale nagle kątem oka dostrzegł upragniony widok - lśniące złociste włosy. Rhea Daniels jednak tu była. Przemknęła do domu przez wielkie szklane drzwi, ale najpierw zerknęła na niego. Na jej twarzy zobaczył... co? Dezaprobatę? Pogardę? Nie był pewien, ale nagle poczuł niewyjaśnioną potrzebę porozmawiania z nią.

Oderwał się od Emmy i dopiero teraz miał okazję przyjrzeć się, ile odsłania jej mokra sukienka.

- Wolałbym zostać - powiedział, zmuszając się do beztroskiego uśmiechu. - Ale nie w tych ciuchach.

Spróbowała przyciągnąć go z powrotem.

- Chcesz, żebym pomogła ci je zdjąć?

- Później - rzucił i cmoknął ją w czoło. Zaczął wylazić z basenu. - Idę się przebrać. Zaraz wracam. Tak jak podejrzewał, Emma nie odczuwała potrzeby przebrania się w suche ubranie, mimo chłodu. Wiedział, że chętnie popisuje się ciałem przed innymi i bez wątpienia znieśie zimno w zamian za uwagę.

- Dobrze, ale nie marudź za długo. - Pomógł jej wyjść z wody. - Idę się jeszcze napić.

Kiedy ruszyła do baru, Erie pobiegł do domu, mając nadzieję, że znajdzie Rheę w tym labiryncie pokoi. Inni plątali się po korytarzach, rozmawiając lub szukając samotności, ale nigdzie nie widział Rhei. Minał kuchnię pełną uwijającej się służby, która dbała, by nie zabrakło przekąsek i alkoholu. Sfrustrowany odciągnął jedną z kelnerek na bok i spytał, czy nie widziała dziewczyny o wyglądzie Rhei.

- Jasne - odparła kelnerka. - Szła do kwater żywicieli.

Erie podziękował i pobiegł w stronę skrzydła domu, do którego skierowała go kelnerka. Odwiedzanie żywicieli podczas takiego przyjęcia było dziwne. Czasami żywiciele byli trzymeni na samym przyjęciu, ale tutaj, żeby napić się krwi, trzeba było wyjść z imprezy. Większość gości, w tym Erie, pożywiła się wcześniej.

**134**

Idąc szybko, dotarł do kwater żywicieli w chwili, kiedy Rhea miała wejść do środka. Słyszając jego kroki, zatrzymała się w progu. Te jej złotozielone oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Nie była już w dżinsach; przebrała się w obcisłą sukienkę z zielonego kaszmiru, która wydała mu się jednocześnie skromna i seksowna. Teraz, widząc ją w pełnym świetle, zdumiał się jej urodą. I te włosy, och, te włosy.

Zatrzymał się, bo nagle dotarło do niego, że nie ma pojęcia, co chce powiedzieć.

4

Co ty tu robisz? - spytał wreszcie. Rhea zagapiła się na niego. Ten cały Erie był ostatnią osobą, jaką spodziewała się zobaczyć w kwaterach żywicieli, zwłaszcza że jeszcze kilka minut temu obcałowywał się w basenie z tą brunetką. Tylko jego nieprawdopodobnie głupie pytanie pozwoliło jej szybko wziąć się w garść. Położyła rękę na biodrze.

- A jak sądzisz? - spytała.

- Ehm, tak... to znaczy wiem, po co tu przyszłaś, ale... - Gorączkowo szukał sposobu na zachowanie

**28**

twarzy, a ona zastanawiała się, ile wypił. - No wiesz, to trochę dziwne na przyjęciu.

- Nie mogę pić krwi przed wejściem na pokład łodzi. Bo mam mdłości. - Zastanowiła się chwilę.

-Silniejsze mdłości.

- Ach. Tak. To logiczne.

Znów zawisła między nimi niezręczna cisza. Wreszcie Rhea odwróciła się w stronę pokoju.

- Skoro przesłuchanie jest już skończone, mogę iść coś zjeść?

- Jasne... jasne. Masz coś przeciwko, żebym... żebym z tobą posiedział?

Rhea nie potrafiła ukryć zaskoczenia; nie miała pojęcia, dlaczego on chce z nią zostać. Wcześniej, na jachcie, patrzył na nią z góry, tak jak inni, z powodu jej pochodzenia. Dlaczego teraz okazywał jej zainteresowanie? Nie chcąc ujawniać, że w ogóle ją to obchodzi, po prostu weszła do pokoju i zawołała przez ramię:

- Skąd!

Na miejscu dyżurował asystent Moroi, który był równie zaskoczony jej widokiem, jak Erie. Zaznaczył ją na liście, wskazującej, jak często pozywają się poszczególni Moroi, i zrobił osłupiałą minę, kiedy spytała go, jak się dzisiaj miewa. Podejrzewała, że większość obecnych tutaj arystokratów traktowała służących jak meble.

**136**

- Czy mogłabym poprosić o Dennisa? - spytała. -Nie śpi?

Asystent wyraźnie poweselał, widząc jej uprzejme zachowanie.

- Tak. Ostatni po prawej.

Rhea uśmiechnęła się i podziękowała mu, po czym ruszyła wzdłuż rzędów boksów zapewniających żywicielom prywatność. W zwykłej porze posiłku wszystkie te pokoiki byłyby pełne, ale w trakcie imprezy tylko kilku żywicieli miało gości. Niektórzy ludzie czytali, czekając na przyjście Moroi, inni po prostu gapili się w przestrzeń z błogą miną, na haju po ugryzieniu wampira. Właśnie dla tego kopa żyli. Byli to ludzie z marginesu społecznego, wyrzutki i bezdomni, którzy z radością oddawali krew w zamian za ekstazę, w jaką wpadali. Poza tym Moroi dbali o nich, zapewniając im obfitość pożywienia i wygodne kwatery.

- Kto to jest Dennis? - spytał Erie, zrównując się z Rheą. Pachniał chlorem i z każdym krokiem zostawiał kałuże. Mimo to wydawał jej się dziwnie atrakcyjny, co ją złościło.

- To żywiciel, który chodził do mojej szkoły -wyjaśniła. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu na myśl o Dennisie. - Jest bardzo miły. Zawsze prosi, żebym do niego wróciła.

**30**

Spojrzenie, które posłał jej Erie, mówiło, że jego zdaniem to śmieszne. Jej uśmiech zniknął; przyspieszyła kroku. Dennis był jednym z tych ludzi, którym wystarczało gapienie się w przestrzeń i czekanie na kolejnego kopa. Ale kiedy tylko ją zobaczył, natychmiast oprzytomniał i wyprostował się; o mało nie zerwał się z fotela.

- Rhea! - wykrzyknął. - Myślałem, że o mnie zapomniałaś. Długo cię nie było.

Rhea usiadła na krześle obok niego. Na jej usta znów zakradł się uśmiech. Dennis był trochę starszy od niej, ale było w nim coś uroczonego i dziecinnego. Zawsze miała ochotę przyglądać jego rozczochrane, brązowe włosy.

- Nie tak znowu długo - odparła. - Raptem jeden dzień.

Dennis zmarszczył brwi, jakby chciał zdecydować, czy to prawda, czy nie. Uniósł wzrok na Erica, który stał oparty o ścianę przy wejściu. Zachwycona mina żywiciela zmieniła się; zmarszczył czoło.

- A to kto? - spytał podejrzliwie.

- To Erie - odparła uspokajającym tonem. - To... mój przyjaciel. - Był jej przyjacielem? Wątpiła w to, ale wołała nie niepokoić Dennisa.

- Nie podoba mi się - oznajmił Dennis. - Ma dziwne oczy.



- Mnie się podobają - odparła Rhea, wciąż starając się go ugłaskać. - Są ładne.

Dennis odwrócił się do niej i na widok jej twarzy jego mina znów złagodniała. Westchnął radośnie.

- Mnie się podobają twoje oczy. Są piękne. Jak cała ty.

Pokręciła z żalem głową. Ona była przyzwyczajona do tego jego romantycznego zachowania, ale Erie wydawał się nim oburzony. Podobnie jak wielu, widział w żywicielach tylko źródło pożywienia.

- Chodź - powiedziała. - Załatwmy to.

Dennis ochoczo nadstawił szyję. Skóra na niej może była kiedyś gładka, ale teraz pokrywały ją niewielkie sińce od nieustannych ugryzień. Mimo to Rhea bez żadnego kłopotu zatopiła kły w jego szyi i zaczęła pić ciepłą, słodką krew, która była jej równie niezbędna do przetrwania, jak stałe pokarmy, które jadła. Dennis wydał z siebie ciche, zadowolone westchnienie, dzieląc z nią minutę czy dwie błogiej radości.

Kiedy skończyła i się odsunęła, Dennis spojrział na nią błyszczącymi, półprzytomnymi oczami.

- Nie musisz przestawać - powiedział. - Możesz wziąć więcej.

Zawsze jej to proponował, ale Moroi od dziecka wpajano konieczność przestrzegania bardzo ścisłych

limitów ilości wypijanej krwi. Dzięki temu ci ludzie byli w stanie przetrwać nieustanne karmienie. A poza tym te ograniczenia powstrzymywały Moroi przed popełnieniem najcięższego grzechu: wypicia całej krwi człowieka i przemiany w Strigoi.

Rhea otarła usta i wstała. Dennis też zaczął się podnosić, ale opadł z powrotem na fotel, był osłabiony, jak zwykle po karmieniu.

- Wrócisz do mnie? - spytał błagalnie. - Już niedługo?

- Wrócę tak szybko jak zawsze - odparła. - Jutro, obiecuję.

Dennis zrobił nieszczęśliwą minę, jak zwykle, ale kiwnął z ociąganiem głową, kiedy wychodziła. Erie wyszedł za Rhea, zamyślony i milczący, ale nagle napadł na nią, ledwie znaleźli się na korytarzu.

- Czyś ty zwariowała?

Przestraszona, zatrzymała się tak gwałtownie, że na nią wpadł. Oboje zamarli, zażenowani tym kontaktem, ale Erie pospiesznie się odsunął.

- O co ci chodzi? - spytała. Erie wskazał drzwi.

- O to. Ten gość kompletnie ześwirował.

- To żywiciel - odparła. - Oni wszyscy są trochę szurnięci.

- Nie. Z nim jest inaczej. On ma obsesję na twoim punkcie.

- Po prostu mnie zna, nic więcej. Mówiłam ci, jest z mojej szkoły. Rozmawiałam z nim i pozywiałam się od niego przez ostatnie dwa lata.
  - Właśnie w tym problem.
  - W czym, w pozywianiu się? Erie pokręcił głową.
  - Nie. W rozmawianiu z nim. Powinnaś po prostu napić się krwi i iść.
- Rhea nie mogła uwierzyć, że już prawie zmieniła zdanie o nim.
- Och, oczywiście. Dla ciebie żywicieli nie są ludźmi, co? Nie są warci zauważenia, jak każdy, kto nie jest częścią twojego arystokratycznego świata?
  - Nie! Po prostu uważam, że go zachęcasz do... nie wiem. To, jak na ciebie patrzył. Wydaje mi się, że to nie jest... bezpieczne.
  - Jest całkowicie bezpieczny - odparła. - Jest żywicielem. I nigdzie się nie wybiera. 5
  - Mimo wszystko uważam, że to nie jest dobry pomysł - burknął Erie.
  - Tak? A ja nie uważam, żebyś miał prawo mówić mi, co mi wolno! - wykrzyknęła, starając się ściszyć głos. - Nawet mnie nie znasz. A już wcześniej dałeś mi jasno do zrozumienia, co o mnie sądzisz. Przez jego twarz przemknęła panika, ale w następnej chwili przybrał wyraz udawanego spokoju.
  - O czym ty mówisz?

- Na jachcie. Twoim zdaniem oczywiście nie mam prawa być ze Stephenem, bo moja krew nie jest tak czysta jak jego.

- Na... co? - Erie wyglądał na szczerze zaskoczonego. - Nie! Nie, to zupełnie nie tak. Nawet o tym nie wiedziałem, kiedy się poznaliśmy.

- Jasne - rzuciła, zakładając ręce na piersi. - Więc dlaczego byłeś taki zdumiony, że jesteśmy zaręczeni?

- Bo... bo tak strasznie się różnicie. Widziałas go tam, przy basenie. Po prostu nie wyglądasz na kogoś takiego.

- Jakiego? Zabawnego? Chcesz powiedzieć, że jestem nudna?

- Nie! - Erie miał zdesperowaną minę. Jak ktoś, kto próbuje się wydostać z dziury, której ściany zapadają się coraz głębiej. - Jesteś taka spokojna i... poważna. On nie jest.

- Ma lepsze chwile. A ja też tam byłam i się bawiłam. Wypiłam drinka. Tańczyłam. - Jej słowa zabrzmiały bardziej agresywnie, niż zamierzała, pewnie dlatego że Stephen też ciągle powtarzał jej, że nie potrafi zaszaleć. Naprawdę tam była, wśród tych wszystkich ludzi, i próbowała dzielić z nim tę szaloną zabawę, tak jak on czasami próbował zdobyć się na bardziej stonowane zachowanie. Stephen z pewnością lubił robić z siebie błazna, ale potrafił też za-

chowować się spokojnie. - To, że nie robię z siebie idiotki, nie znaczy jeszcze, że jestem jakąś pustelnicą.

- Nie to miałem... do licha! - Erie zrobił krok w jej stronę, sfrustrowany. Przeczesał dłonią swoje platynowe włosy. - Zupełnie nie tego chciałem.

Jej furia minęła.

- A czego chciałeś? - spytała zdezorientowana.

- Ja... nic, nic. Zapomnij. Po prostu uważaj na Dennisa. Następnym razem idź do innego żywiciela.

- Dzięki za nieproszoną radę.

Westchnął. Wyglądał, jakby z trudem panował nad sobą.

- Po prostu się o ciebie troszczę.

Nagle Erie wbił wzrok w coś za jej plecami. Rhea odwróciła się i zobaczyła tę ciemnowłosą dziewczynę, z którą był wcześniej; stała w korytarzu i patrzyła na nich. Tak jak Erie ociekała wodą. Trudno było dostrzec jej minę, ale Rhea była pewną, że dziewczyna nie jest zadowolona.

- Cześć, Emma - powiedział z takim wyrazem twarzy, jakby chciał być w tej chwili wszędzie, tylko nie w tym korytarzu.

- Hej - odparła sztywno Emma. - Próbowałam cię znaleźć i ktoś mi powiedział, że cię tu widział. Nie miałeś się przebrać?

- Tak... ale wpadłem na Rheę i zaczęliśmy rozmawiać o niesamowitym skoku Stephena.

Rhea uniosła brew i zaczęła się bawić myślą, czy-by mu nie zaprzeczyć. Ale im dłużej przyglądała się Emmie, tym wyraźniej widziała, że jej mina wyraża najzwyczajszą zazdrość. Rhea pozwoliła mu na to kłamstwo.

Erie uśmiechnął się szeroko, czym totalnie zaskoczył Rheę. Podczas ich krótkiej znajomości jego uśmiechy zawsze były blade albo melancholijne. Ale to... ten uśmiech miał podbić serce Emmy, i nawet Rheę lekko zatkało.

- Na razie - rzucił do niej Erie lekkim tonem. Minał ją i objął Emmę. - Skoro tu już jesteś, może jednak pomożesz mi się przebrać.

Rhea opanowała grymas, ale jego słowa starły resztki zazdrości z twarzy Emmy. Wtuliła się w niego i rzuciła Rhei jakieś zdawkowe pożegnanie. Rhea patrzyła, jak odchodzą, szepcząc i się śmiejąc.

Zdziwiła się, gdy poczuła ukłucie smutku w sercu.

Otrząsnęła się natychmiast i postanowiła po prostu pójść do łóżka. Dlaczego miałoby ją obchodzić, co mówił czy robił Erie? Zamieniła z nim ledwie kilka słów. Zdecydowana, ruszyła na górę, do swojego pokoju. Po chwili zmieniła jednak zdanie i postanowiła powiedzieć Stephenowi dobranoc.

Nie zdziwiła się, kiedy znalazła go wciąż na patio w samym centrum zamieszania. Był kompletnie przemoczony; ciekawe, ile razy lądował w lagunie.

Wampiry lubiły Chile zimą ze względu na krótszy dzień, ale nocą robiło się coraz chłodniej. Alkohol mógł rozgrzać tylko do pewnego stopnia. Ale Stephen jakby nie zauważał temperatury i właśnie opowiadał historyjkę, jak to z kilkoma kolegami włamał się do gabinetu nauczyciela matematyki. W historii występowały także wódka i fretki.

Rhea uśmiechnęła się wbrew sobie i pomachała do niego, wychodząc z domu. Widząc ją, uśmiechnął się szeroko i przerwał opowieść.

- Hej, kocie - powiedział, podchodząc do niej. Wyciągnął ręce, żeby ją objąć.

Roześmiała się.

- Nie ma mowy.

Zrobił teatralną, smutną minę i zadowolił się krótkim buziakiem w usta, wychylając się jak najdalej do przodu, żeby jej nie zamoczyć.

- To było do przyjęcia? - spytał triumfalnie.

- Jak najbardziej. Chciałam ci tylko powiedzieć, że już idę do łóżka.

Tym razem jego smutna mina była autentyczna.

- Ale właśnie mieliśmy podpalać kieliszki z wódką. Mogłabyś pomóc.

- Niekoniecznie takie wykorzystanie mojej magii miałam rja myśli. Ale przynajmniej nie musisz się martwić, że sam się podpalisz w tych przemoczonych ciuchach.

**145**

- To prawda - przyznał takim tonem, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Jego twarz zmiękła.
- Pogadamy jutro?
- Tak, oczywiście.

Erie mógł sobie myśleć, że Stephen to tylko hałaśliwy prostak, ale Rhea już dawno się przekonała, że jej narzeczony był wrażliwy, co dostrzegało niewiele osób. O ile wiedziała, tylko jej pokazywał tę swoją stronę. Miała wrażenie, że on czerpie z niej ukojenie, jakby potrzebował kogoś, komu mógł okazywać tę miękkość, by zrównoważyć swoją łobuzerską naturę. Wychowywali się razem, niemal jak rodzeństwo, i zaręczyny wydawały się zupełnie naturalnym krokiem. Oboje przywykli, że to drugie jest blisko.

Uścisnął jej dłoń - jego była mokra, oczywiście - i dał jej jeszcze jednego szybkiego buziaka, zanim wrócił do publiczności.

5

Emmę łatwo było udobruchać, kiedy już Erie zaprowadził ją do swojej sypialni. Była o wiele bardziej zainteresowana ściąganiem z niego ciuchów

**146**



niż dyskusją na temat tego, co zaszło między nim i Rheą, zwłaszcza że żadne z nich w końcu nie włożyło suchego ubrania i nie wróciło na przyjęcie.

Alkohol w końcu zmorzył Emmę, ale Erie, leżąc obok niej i trzymając ją w ramionach, przekonał się, że on nie ma tyle szczęścia. Odgłosy imprezy na dole przycichły. Robiło się późno jak dla Moroi i wiedział, że za przyciemnianymi szybami wkrótce zacznie wstawać dzień, posyłając większość jego kolegów do łóżek. Patrzył w sufit, coraz trzeźwiejszy, i myślał o Rhei Daniels.

I to naprawdę nie miało sensu. Nie licząc tych pierwszych kilku chwil, zaraz po tym, jak się poznali, jakoś nie mogli się do tej pory zdobyć na przyjazną rozmowę. Wszystko, co mówił, zdawało się ją złościć i nie rozumiał dlaczego. Wiedział, że nie powinien się tym przejmować. Kogo to obchodziło, że była taka drażliwa? Skoro chciała bez przerwy się kłócić, to jej problem. On nie musi się z nią zadawać.

A mimo to... choć powtarzał to sobie wciąż od nowa, nie mógł wyrzucić z pamięci widoku jej jasnych włosów i mądrych oczu. Kto by potrzebował słońca, mając ją przy sobie? W tych pierwszych chwilach na jachcie, kiedy naprawdę zdawała się wiedzieć, jak się czuł po śmierci matki, przez moment widział w niej kogoś, kto go naprawdę rozumie. Nie, więcej niż to. Widział kogoś, kto się naprawdę

troszczy. I chociaż jej troska nie była skierowana pod jego adresem, widział w niej to samo, kiedy rozmawiała z asystentem w kwaterach żywicieli, i nawet z tym wariatem Dennisem. Rhea zwracała uwagę na uczucia innych.

Nareszcie zasnął, by obudzić się z pulsującym bólem głowy. Emma, jak zawsze, w ogóle nie miała kaca. Dała mu długiego, słodkiego całusa i naciągnęła na siebie wilgotną sukienkę, obiecując spotkać się z nim za godzinę, żeby napić się krwi przed zabawą. Nie wiedzieli, co ich czeka, ale Jared obiecał coś naprawdę interesującego.

Kiedy znów spotkał się z Emmą, była już przebrana i tak świeża i piękna jak zawsze, choć jeszcze godzinę temu była w kompletnym proszku. On sam przekonał się, że poranny prysznic prawie całkowicie zmył z niego ból głowy i teraz, trzymając Emmę za rękę, postanowił się wyluzować i postarać się cieszyć resztą dnia.

Rankiem w kwaterach żywicieli panował o wiele większy ruch, jako że była to ulubiona pora wszystkich na picie krwi. Erie i Emma stanęli w kolejce, gawędząc z kolegami, którzy wyglądali, jakby imprezowali odrobinę za długo. Zjawił się ktoś ze stertą paczków podprowadzonych ze śniadaniowego bufetu i rozdał je czekającej grupie jako zakąskę przed głównym płynnym posiłkiem.

Kiedy dotarli na początek kolejki, Erie zauważył, że dziś dyżur ma inna asystentka. Zaznaczyła ich na liście i poczekała, aż zwolni się boks. Po chwili zwróciła się do Emmy i powiedziała:

- Proszę iść do Dennisa, na końcu po prawej. Kiedy Emma zrobiła krok, Erie chwycił ją za ramię.

- Nie. - Spojrzał na asystentkę. - Poczekamy na następnego. Niech idzie ktoś inny z kolejki.

Asystentka zaczęła protestować, pewnie nie podobało jej się, że ktoś dyktuje, jak ma wykonywać swoją pracę, ale po chwili wzruszyła ramionami i machnęła na kolejną osobę. Emma spojrzała ze zdziwieniem na Erica, ale kolejny żywiciel był wolny, zanim zdążyła zapytać, o co chodzi.

Kiedy skończyli i szli już do głównej części domu, natychmiast zasypała go pytaniami.

- Co to miało być? Ta historia z żywicielem? Dlaczego mnie zatrzymałeś?

- Bo ten jest stuknięty - odparł Erie.

- To żywiciele - powiedziała Emma. - Wszyscy są stuknięci.

- Nie tak jak on. To do niego poszła Rhea wczoraj w nocy i na jej miejscu wolałbym się z nim nie znajdować w tym samym pomieszczeniu. Zachowywał się nienormalnie. Normalnie stalker z obsesją.

Emma zastanowiła się nad tym i pokręciła głową.

- No cóż, żywiciele raczej nie wychodzą, nie mają z nami kontaktów, więc chyba nie musi się tym martwić. - Przerwała na chwilę. - Ale jestem trochę zaskoczona, że ty się tak o nią martwisz. Erie znał ten ton i zdawał sobie sprawę, że wypłynął na niebezpieczne wody.
- Nieszczególnie. Ledwie ją znam, ale po rozmowie z tym gościem wczoraj w nocy każdego bym przed nim ostrzegał.
- Wczoraj zadawałeś mnóstwo pytań na jej temat. - Emma najwidoczniej wciąż nie była przekonana o jego braku zainteresowania. Westchnął, bo dotarło do niego, że teraz będzie miała Rheę na celowniku.
- Zapytałem tylko o zaręczyny Stephena. Daj spokój, Em. Nie szukaj w tym czegoś, czego nie ma.
- Okej. - Uśmiechnęła się do niego szeroko i ścisnęła jego rękę. Miał nadzieję, że temat naprawdę umarł. - Zobaczmy, co zaplanował Jared.

Jared zaplanował podchody. Kiedy goście (ci, którzy zwlekli się z łóżek) zebrali się przed domem, gospodarz wyjaśnił zasady. Wszyscy mieli zostać podzieleni na dwuosobowe zespoły i otrzymać wylosowaną wskazówkę. Ta wskazówka miała prowadzić do kolejnej wskazówki, i tak dalej, aż któryś zespół znajdzie skarb i zdobędzie nagrodę: pobyt w głównym apartamencie domu, z jacuzzi i balkonem.

Emma chwyciła Erica za ramię tak mocno, że wbiła mu paznokcie w skórę, co przypomniało mu ostatnią noc.

- Musimy wygrać - syknęła. - Mam tylko nadzieję, że nie poślą nas w jakieś chore miejsca. Widziałeś te klify po drugiej stronie wyspy? Molly mówi, że Jared ciągle chodzi się tam wspinać. Ja nie mam najmniejszego zamiaru.

- A żeby jeszcze bardziej utrudnić sprawę - oznajmił Jared - zespoły zostaną dobrane losowo. Każda osoba z zespołu dostanie jedną noc w apartamencie.

To oświadczenie wywołało i wiwaty, i jęki. Emma była jedną z jęczących, dopóki Jared nie wylosował jej nazwiska razem z jej przyjaciółką, niejaką Fioną. Emma rozpromieniła się i cmoknęła Erica w policzek.

- Okej. Nagroda jest nasza. Ty i ja moczymy się dzisiaj w jacuzzi. -1 pobięła do Fiony.

Jared dalej losował nazwiska z kapelusza, aż wreszcie przeczytał „Erie Dragomir”.

Mimo najszczerzych chęci, by to ignorować, Erie nie mógł nie zauważyć podekscytowanych szeptów niektórych dziewczyn. Wiedziały, że on i Emma nie są jeszcze zaręczeni, więc część z nich uważała, że jeszcze jest do wzięcia. Nawet paru chłopaków wyglądało na zainteresowanych znalezieniem się z nim w parze. Mieli nadzieję wkraść się w łaski jego rodziny.

Jared przeczytał kolejne nazwisko.

- Rhea Daniels. Erie zmarł.

Zauważył Rheę już wcześniej. Stała ze Stephenem po drugiej stronie laguny i wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju. Ona i jej narzeczony prowadzili ze sobą jakąś poważną rozmowę, nie z rodzaju tych dołujących, ale raczej ciepłych i zwyczajnych. Mówił głównie Stephen - jego miła twarz była poważna, wręcz zamyślona - a Rhea po prostu słuchała. Słońce nie zaszło jeszcze całkiem i w jego promieniach jej włosy lśniły jak złoty ogień. Erie nie mógł oderwać od nich oczu i z zazdrością zastanawiał się, o czym też rozmawiają.

Teraz, słysząc swoje nazwisko, Rhea zrobiła zdezorientowaną minę i rozejrzała się po obecnych. Stephen trącił ją łokciem i wskazał Erica. Gdy spojrzała na niego, jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Przez chwilę nie wiedział, co jest grane. Skoro już musiała być w takim szoku, to czy nie powinna tego okazać w chwili, kiedy wyczytano ich nazwiska, a nie dopiero na jego widok? Ale nagle zrozumiał. Rhea nie wiedziała, kim on jest. Podejrzewał to już wtedy, na jachcie, ale myślał, że od tamtej pory już się dowiedziała. Najwidoczniej tak nie było.

Stephen wyszczerzył zęby i machnął na nią ręką, żeby podeszła do Erica. Ruszyła z ociąganiem, przygryzając wargę, jakby każdy krok był męczarnią.

**152**

Kiedy zerknął na Emmę stojącą z Fioną, jego dziewczyna miała taką minę, jakby i jej każdy krok Rhei sprawiał ból.

Erie i Rhea nie odezwali się do siebie, słuchając reszty wyczytywanych nazwisk. Nie odezwali się nawet, kiedy dostali wskazówkę. Gdy reszta grupy rozeszła się, Erie spojrzął na ich kartkę.

***Znajdź mnie, gdzie palma płacząca Nad wodą, co płynie bez końca.***

Gapił się tępo na te słowa, nie mając pojęcia, co znaczą.

- To jest fontanna - powiedziała Rhea. - Widziałam ją wczoraj w nocy. Obok dziedzińca biegnie ścieżka.

Pomaszerowała przed siebie, więc podbiegł za nią. Bez słowa zaprowadziła go do fontanny.

Delikatna, z marmuru, była zwieńczona łabędziami, którym woda lała się z dziobów. Erie nie potrafił zdecydować, czy jest tandetna, czy elegancka. Przyglądali się jej przez chwilę, próbując odgadnąć, jaki ma być ich następny krok. Erie pierwszy zauważył wskazówkę. W niewielką szczelinę rzeźby wpasowana była gładka deseczka. Były na niej wyrzeźbione słowa:

***Tam muzyka cię otoczy, A widok porazi oczy.***

- Salon muzyczny - rzuciła natychmiast Rhea. -Jest na piętrze.

I znów ruszyła, a Erie musiał przyspieszyć kroku, żeby za nią nadążyć.

- Byłaś tu wcześniej? Skąd wiesz, gdzie wszystko jest?

- W nocy urządziłam sobie wycieczkę po domu -wyjaśniła sucho. Było jasne, że nie jest w nastroju do rozmowy. A przynajmniej nie z nim.

I rzeczywiście dotarli do salonu muzycznego, którego ścianę stanowiły okna z zapierającym dech widokiem na ocean. Inny zespół właśnie wychodził, nie wiedząc, czy właściwie odczytał wskazówkę. Pierwsze wskazówki wysłały wszystkich w przypadkowe miejsca, a zadanie polegało na połączeniu ich w całość. Wskazówka w salonie ukryta była w fortepianie. Tak jak przedtem Rhea zinterpretowała ją i już chciała wyjść, ale Erie złapał ją za ramię.

- Poczekaj, muszę z tobą porozmawiać. Uniosła brew.

- O czym? Westchnął.

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego jesteś dzisiaj na mnie taka zła. Czym sobie zasłużyłem tym razem? Już ci wczoraj powiedziałem, że nie nabijałem się z ciebie i Stephena.



Rhea przyglądała mu się kilka sekund; sądził, że po prostu odwróci się i wyjdzie. Ale ona odpowiedziała pytaniem na jego pytanie:

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że nazywasz się Dragomir?

Tego się nie spodziewał.

- Bo... to nie wydawało mi się istotne. Zresztą myślałem, że pewnie to wiesz.

- Tak. Bo jak na świecie mógłby istnieć ktoś, kto nie wie, kim jesteś? - spytała z sarkazmem.

- Ja mówię poważnie! A poza tym... no cóż, poniekąd podobało mi się, że nie wiesz. Rozmawiałaś ze mną jak ze zwykłym człowiekiem... nawet jeśli głównie na mnie krzyczałaś.

- Nie krzyczałam - odparła. - I jakoś nie wierzę, że po prostu chciałeś ze mną porozmawiać. Słyszałam o tobie. Zaliczyłeś mnóstwo dziewczyn. Pewnie pomyślałeś, że będę łatwą cizią, która desperacko chce poznać możliwie dużą liczbę członków rodów królewskich.

Erie otworzył usta, zastanawiając się, jaką ma właściwie reputację. Była to prawda, że miał mnóstwo dziewczyn. Ale nigdy ich nie wykorzystywał. Naprawdę lubił każdą z nich i zamierzał potraktować rady ojca serio i związać się z dziewczyną na poważnie, "ale potem... jakoś zawsze tracił zainteresowanie.

**155**

- To absolutnie nieprawda! Lubię być z tobą, bo fajnie się z tobą rozmawia.
- Przed chwilą powiedziałeś, że ciągle na ciebie krzyczę - zachnęła się Rhea.
- Ale nie o to mi... chodzi o to, że... podoba mi się, że zwracasz uwagę na otoczenie.
- Zwracam uwagę na otoczenie? - spytała nieufnie.
- Zauważasz rzeczy. Zauważasz ludzi... i wyczuwasz ich. Jesteś jedyną osobą, która pomyślała o masakrze sprzed pół roku. Wtedy zginęła moja matka. Rhea zbladła jak ściana, jej irytacja i gniew zniknęły.
- O Boże, tak mi przykro... Uniósł rękę.
- Wiem, że ci przykro. Właśnie o to chodzi. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto myśli o takich sprawach. Myślisz o służących. O tym zwariowanym żywicielu. Nie zrozum mnie źle, wielu z moich znajomych jest naprawdę miłych. Ale w tobie jest coś prawdziwego. Coś innego. I dlatego jesteś ze Stephenem, tak? Widziałem was wcześniej. Zauważasz w nim rzeczy, których nie widzi nikt inny, a on tego potrzebuje. Nikt inny nie przejmuje się jego uczuciami. - Erie umilkł, zbierając się do tego, co zamierzał powiedzieć. - Ale w tym problem. Czy ktokolwiek przejmuje się tobą? Kto się o ciebie troszczy, kto pyta, co czujesz?

Rhea odwróciła oczy; pomyślał, że to wielka szkoda. Tak łatwo mógłby się w nich zagubić.

- Całe mnóstwo ludzi - odparła wymijająco. Ale wiedział, że nawet ona sama w to nie wierzy. Była cicha, przemykała się niezauważona. Oddawała swoją energię innym i z pewnością pozwoliła rodzicom namówić się na małżeństwo, które mogło ją uchronić przed pogardą, którą sami odczuwali. Stephenowi, choć wyglądał na takiego głupka, zależało na niej. To było oczywiste. Mógł jej mówić o sprawach, o których bał się powiedzieć innym. Ale Erie wątpił, by odwzajemniał się tym samym.

- Na pewno nie dość wielu - odparł Erie. - Po prostu. .. jakoś to wiem. Widzę to w tobie. Nie pozwalasz ludziom, żeby się tobą wystarczająco przejmowali.

I nagle zrobił coś, co pewnie było jedną z najgłupszych rzeczy, jakie zrobił w życiu. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Był przygotowany na to, że mu się wyrwie, może nawet walnie go pięścią albo kopnie. Ale ona przywarła do niego jeszcze mocniej

i odwzajemniła pocałunek z żarliwością większą niż jego. To on odsunął się od niej, kiedy uświadomił sobie ich sytuację.

- O Boże - szepnęła skonsternowana. - Nie powinnam była... Ja nie...

- Powinniśmy jeszcze porozmawiać - powiedział, choć tak naprawdę strasznie chciał ją znów

pocałować. Co się z nim działo? Jakim cudem ta sytuacja wymknęła się spod kontroli tak szybko, z dziewczyną, którą ledwie znał? - Ale nie tutaj. Tu się zaraz zaroi od ludzi. Spotkasz się ze mną później? Powiedzmy o... jedenastej? Przy fontannie? Wtedy gra będzie już zakończona.

- Nie wiem... - Ale widział w jej oczach, że przyjdzie.

- O jedenastej - powtórzył.

Wreszcie skinęła głową. Zachwycony pocałował ją jeszcze raz, chcąc zakończyć to spotkanie mocnym akcentem. Kiedy to robił, usłyszał znajomy głos:

- Hej, to tutaj!

Odsunął się pospiesznie, ale i tak było za późno. W drzwiach stała Emma. Po chwili dołączyła do niej zdyszana Fiona. Emma, Erie i Rhea stali jak skamieniali, z osłupiałymi minami. Fiona, która przegapiła clou programu, nie wiedziała, o co chodzi.

I nagle, bez słowa, Emma odwróciła się i uciekła. Ericowi ścisnęło się serce, ale się nie ruszył. To Rhea, zawsze tak pełna empatii, zareagowała.

- Idź, porozmawiaj z nią. Potrzebuje cię. Zapomnij o grze.

Zawahał się. Nie chciał zostawiać Rhei, ale wiedział, że miała rację. Sam nie bardzo rozumiał, co się dzieje, co czuje do Rhei, ale był winny Emmie wyjaśnienie.

Szybko wyszedł z salonu, mijając wciąż skołowaną Fionę; -ledwie usłyszał jej słowa skierowane do Rhei:

- Zaraz, to jak, teraz my jesteśmy partnerkami?

Emma była szybka. Nigdzie nie było jej widać, więc poszedł w najbardziej prawdopodobne miejsce, jakie przyszło mu do głowy: do jej pokoju. Stał pod drzwiami i pukał przez pięć minut, ale nie doczekał się odpowiedzi. Może go ignorowała, a może po prostu schowała się gdzie indziej.

Przybity, wrócił do siebie, nie mając ochoty rozmawiać z nikim innym. Resztę dnia spędził w łóżku, licząc minuty do jedenastej. W kółko rozmyślał o Emmie i Rhei, aż doszedł do wniosku, że bardzo lubił Emmę, ale jej nie kochał. Rhei też nie kochał, ale było w niej coś, co sprawiało, że chciał ją poznać lepiej; między nimi była chemia. Nie mógł się opędzić od wrażenia, że ona nie jest tylko kolejną dziewczyną na jego liście.

Koło dziesiątej jeszcze raz spróbował znaleźć Emmę i mu się nie udało. Gra już dawno się skończyła, ale wszyscy byli zbyt podekscytowani kolejną nocną imprezą, żeby zwracać na niego uwagę. Ruszył więc do fontanny; miał nadzieję zrozumieć chociaż swoje uczucia do Emmy. Punktualnie o jedenastej usiadł na ziemi koło łabędzi i czekał.

I czekał. I czekał.

**159**

Minęła prawie godzina, Rhei nie było. Dotarł do niego smutny fakt: zmieniła zdanie. Właściwie powinien był się tego spodziewać. Była zaręczona z kimś innym i Erie był idiotą, że próbował się mieszać w ten związek. Zdołowany i zawstydzony wrócił do domu, gdzie zastał przy basenie Stephen'a w towarzystwie kolegów.

Erie, domyślając się, że Rhea powiedziała narzeczonemu o tym, jak napadł ją w salonie, spodziewał się przykrych rozmowy. Stephen jednak posłał mu przyjazny uśmiech.

- Chcesz się przyłączyć, Dragomir?

Erie przełknął ślinę i pokręcił głową. Rhea najwidoczniej zachowała tamten epizod w sekrecie.

- Nie, mam coś do roboty. Ehm, a tak przy okazji, widziałeś gdzieś Rheę? Chcę jej pogratulować naszej sromotnej porażki.

Stephen się roześmiał.

- Jakoś mnie to nie dziwi. Ale nie, nie wiem, dokąd poszła.

Jakoś go to nie dziwi? Przecież Rhea była taka inteligentna. Mogła wygrać tę grę, a Stephen nie miał o tym pojęcia. Erie zachował te myśli dla siebie i wszedł do domu, rozpytać się, gdzie jest pokój Rhei. Ktoś wskazał mu drogę i z duszą na ramieniu zapukał do drzwi. Gałka obróciła się, ale w drzwiach nie stała Rhea.

Otworzyła mu jej współlokatorka, która powiedziała, że nie widziała Rhei od śniadania. Niepokój ścisnął mu żołądek, chociaż nie wiedział dlaczego. Emma też zniknęła, ale o nią się nie martwił. Pewnie siedziała gdzieś z przyjaciółkami. Ale Rhea? Co z nią?

Przez resztę wieczoru niespokojnie dopytywał się o obie dziewczyny, ale bez skutku. Impreza zaczęła się na nowo i wreszcie dostrzegł Emmę w tłumie. Spojrzała mu w oczy i zignorowała go ostentacyjnie. Dał jej spokój, zadowolony, że znalazł chociaż jedną z nich i że w jej przypadku instynkt go nie mylił. Była cała i zdrowa. Wściekła, ale cała i zdrowa. Nie chciał znów zawracać głowy Stephenowi, ale zmusił się, by jeszcze raz od niechcienia zapytać o Rheę, tłumacząc się, że wcześniej na nią nie trafił.

- Gdzieś jest - odparł wesoło Stephen. - Czasami po prostu lubi побыć sama. Pokaże się.

Erie nie był taki pewny. Jego niepokój narastał

i żałował, że nie może podzielić się nim ze Stephenem. Wreszcie postanowił jeszcze raz zajrzeć do jej pokoju, ale nie dotarł tam. Zatrzymał się na widok dwóch strażników wybiegających z domu.

- Co się stało? - spytał ich. Ogarnęła go panika. - Chyba nie... chyba nie Strigoi...? - Nie czuł się na siłach znów stawiać temu czoła.

- A skąd - odparł jeden ze strażników z westchnieniem. Wyglądał groźnie, jak wszyscy strażnicy,

ale był też zirytowany. - Zbiegł jeden z żywicieli. Nie może uciec z wyspy, ale oni są tak zakręceni, że pewnie spadnie z klifu i się utopi. Pan Zeklos nie da nam spokoju.

Przebiegli obok Erica. Już wiedział, gdzie jest Rhea.

6

Khea nie bardzo wiedziała, jak to się stało - pewnie dlatego, że przez większość czasu była nieprzytomna.

W jednej chwili wychodziła z kwater żywicieli do korytarza - zamierzała spotkać się z Erikiem przy fontannie, chociaż była przekonana, że to największa głupota w jej życiu. On pewnie nawet się nie pokaże. W następnej chwili usłyszała jakieś zamieszanie w sali żywicieli i zduszony krzyk. Nagle z sali wypadł Dennis z oszalałym wzrokiem i wszystko zrobiło się czarne.

Obudziła się z bólem głowy w czymś, co wyglądało na jaskinię. Z początku prawie nic nie widziała, ale potem dostrzegła wyraźniej przerwę między skałami. Widziała migoczące gwiazdy i czarny kształt.

**162**



- Dennis? - spytała niepewnie.

Żywiciel odwrócił się i błysnął zębami w uśmiechu, widząc, że się ocknęła.

- Rhea! Cieszę się, że się obudziłaś. Nie chciałem ci zrobić krzywdy, ale musiałem cię jakoś stamtąd zabrać, a bałem się, że ktoś cię usłyszy. Dobrze się czujesz? - Wyciągnął do niej rękę, a ona cofnęła się o krok.

- Dobrze... dobrze... - Próbowała zachować spokój i nie pokazać po sobie strachu. Jej serce waliło jak szalone. - Co się dzieje? Dlaczego tu jesteśmy?

- Uwolniłem nas - powiedział. - To było takie łatwe. Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Wszyscy byli tacy zajęci.

Rhea próbowała dostrzec cokolwiek poza wyjściem jaskini. Oczywiście, ocean i drzewa - ale widok był zupełnie inny niż z domu Zeklosów. Przypomniała sobie klify po drugiej stronie wyspy i domyśliła się, gdzie są.

- Dennis - powiedziała łagodnie, tym samym kojącym tonem, którym zawsze do niego przemawiała. - Musimy wrócić. Będą się o nas martwić.

Pokręcił głową.

- Nie, nie. Oni nas dręczą. Nie pozwalają być razem. Teraz będziemy wolni. Zostaniemy tu przez jakiś czas, a potem znajdę łódź. Uciekniemy razem. Tylko ty i ja.

Odruchową odpowiedzią Rhei byłoby: Chyba żartujesz. Ale oszalałe spojrzenie jego oczu powiedziało jej, że jest śmiertelnie poważny.

- Nie możemy. Nie możemy tu żyć. I nie będziemy mogli żyć na lądzie.

- Ja się o nas zatroszczę - odparł. - To nie będzie trudne. Tak powiedziała ta ładna dziewczyna z brązowymi włosami.

- Ładna... Nieważne. Posłuchaj, to się nie uda. Musimy wrócić. Proszę cię.

Dennis był niezrażony.

- Możesz się pożywić, ile chcesz. Nie musisz się martwić, że zabraknie ci krwi.

- Nie... nie w tym problem - powiedziała.

- A w czym? - W jego urzeczonym głosie zabrzmiała nagle mroczna nuta. Rhea skuliła się, widząc gwałtowną zmianę na jego twarzy.

- Nie chcesz być ze mną? Nie lubisz mnie?

- Ehm, oczywiście. - Rhea rozpaczliwie oceniała swoje możliwości. Kusiło ją, żeby po prostu z zaskoczenia przebić się do wyjścia, ale sądząc po tym, że całą szczelinę wypełniało niebo, byli niebezpiecznie blisko krawędzi klifu. - Ale mnie się podobało tak, jak było przedtem. Myślałam... myślałam, że jesteś szczęśliwy. - Może zdoła się z tego wyplątać, grając w jego grę.

- Odmawiano nam tego, czego naprawdę pragnęliśmy. Czego potrzebowaliśmy. - Podeszedł bliżej i tym razem nie zdołała się odsunąć. Zwyczajnie nie było dość miejsca. - Pozwalali ci się pożywiać tylko raz dziennie.

- I więcej nie potrzebuję. - Trafiła plecami na nierówną ścianę. - Tak jest dobrze.

- Nie, wiem, że chcesz więcej. Ja chcę więcej. I chcę tego teraz. - Przycisnął ciało do jej ciała i otoczył ją rękami w talii. Szarpała się z nim, zniesmaczona tym bliskim kontaktem, ale on był silniejszy. -Zrób to. Zrób to teraz. Pij.

Odsłonił szyję, a ona ledwie zdołała pokręcić głową.

- Nie...

- Zrób to! - krzyknął, aż jego głos zagrzmiał jej w uszach. Ścisnął ją mocniej, zadając ból. - Pij! Przerażona Rhea usłuchała go i wgryzła się w jego szyję, zanim zorientowała się, co robi. Krew smakowała równie słodko, jak zawsze, ale tym razem nie dawała jej radości, nawet kiedy jego uścisk trochę zelżał. Gorączkowo zastanawiała się, co może zrobić. A gdyby wypła więcej niż zwykle? Gdyby wypła dość, żeby go unieszkodliwić? Mógłby zemdleć. Ale... przypomniały jej się wszystkie tabu, wszystkie ostrzeżenia przed zbyt łapczym pićm.

**165**

Mogłaby go niechcący zabić i sama zmienić się w Strigoi.

Dokonał wyboru za nią. Ze zdumiewającą samokontrolą oderwał się od niej z rozpromienioną twarzą.

- To było... niesamowite... - szepnął. Był w totalnej ekstazie... a mimo to był niebezpieczny. - Widzisz?

Mogę ci dać wszystko, czego potrzebujesz. Zatrąszczę się o ciebie i... aa!

Coś uderzyło go w plecy. Czy raczej ktoś. Erie Dragomir zakradł się do jaskini, poruszając się tak cicho, że nie zauważyło go żadne z nich. Dennis, z wściekłą miną, odwrócił się i skoczył na Erica, rzucając go na ścianę. Rhea krzyknęła. Spodziewała się, że Dennis będzie otumaniony po ugryzieniu, ale on wydawał się jeszcze bardziej nakręcony, jak na haju.

O dziwo Erie utrzymał się na nogach. Znów rzucił się na Dennisa; zwarli się jak zapaśnicy w walce, w której żaden zdawał się nie mieć przewagi. Każdy starał się przepchnąć tego drugiego albo przynajmniej wyprowadzić cios. Czasem Erie pchał Dennisa przed sobą, ale w następnej chwili sytuacja się odwracała. Problem w tym, że Erie stał tyłem do wylotu jaskini. Gdyby Dennis pchnął go za mocno, Erie spadłby z krawędzi klifu, która, jak podejrzewała Rhea, znajdowała się tuż przed wejściem.

Żywiciele, przy tak niewielkiej ilości ruchu, nie mieli zbyt wyrobionych mięśni. Ale to jakoś nie przeszkadzało Dennisowi, który powoli, krok za krokiem, zaczął spychać Erica w stronę wyjścia. Żaden z nich nie był wyszkolony jak strażnicy i w ich walce było coś wyjątkowo brutalnego i prymitywnego.

Wreszcie Dennis zdołał zepchnąć Erica do wyjścia; w tej chwili Rhea zrozumiała, że musi coś zrobić. Nie wiedziała tylko, co. Gdyby spróbowała uderzyć Dennisa, Erie mógłby wylądować jeszcze dalej. Mimo to nie miała chyba innego wyjścia, a lepiej było zacząć działać prędzej niż później.

Ruszyła przed siebie i kopnęła Dennisa w łydkę w nadziei, że wytrąci go z równowagi. Udało się, ale nie do końca; nie zdołała go przewrócić. Odepchnął ją ramieniem, ale Erie zyskał kilka kroków.

Gdyby przeszkadzała Dennisowi, Erie może zyskałby przewagę. Tyle tylko że wszelkie jej usiłowania wydawały się nieskuteczne. Nie miała dość siły, żeby jej pięści mogły mu zrobić krzywdę. Nawet nie wiedziała, jak uderzać. Erie znów zaczął się zbliżać do krawędzi.

Nagle dostrzegła kamień leżący w rogu, trochę mniejszy niż kula do kręgli. Chcąc ogłuszyć Dennisa, tak jak on ogłuszył ją, z trudnością dźwignęła kamień. Była podobnego wzrostu co Dennis, więc

mobilizując całą swoją siłę, uniosła kamień i walnęła go w głowę. Nie padł, na co miała nadzieję, ale puścił Erica i zatoczył się do przodu, zdezorientowany. Był tak oszołomiony i przymulony, że potykając się, szedł dalej i dalej - w stronę krawędzi klifu.

- Zatrzymaj go! - krzyknęła Rhea.

Erie, spanikowany, wyciągnął ręce do tego człowieka, który przed chwilą usiłował go zabić. Dennis, który zorientował się, co mu grozi, próbował chwycić dłonie Erica, ale stracił grunt pod nogami.

Krawędź urwiska zaczęła się kruszyć, kawałki skały i ziemi poleciały w dół. Dennis wrzasnął, rozpaczliwie próbując utrzymać się na stabilnym gruncie, ale mu się nie udało. Nie zdołał dosięgnąć Erica, znaleźć oparcia dla stóp. Erie, do którego dotarło, że też może spaść, jeśli zostanie na brzegu, odskoczył do tyłu, z powrotem do jaskini, pociągając Rheę za sobą. Dennis zniknął poza krawędzią, wciąż krzycząc - i nagle, po kilku sekundach, zapanowała cisza.

Rhea ukryła twarz na piersi Erica, sama zaskoczona własnym szlochem.

- Hej, już dobrze - powiedział, głaszcząc ją po włosach. - Jesteś bezpieczna. Nic ci się nie stało.

Dziwnie przypominało to tę noc, kiedy poznali się na jachcie; wtedy też ją pocieszał. Nagle w jej głowie zabrzmiało pytanie, które zadał jej w salonie

muzycznym: czy ma kogokolwiek, kto troszczyłby się o nią.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że twarz Erica jest pełna bólu. Był równie wstrząśnięty, jak ona, ale udawał przed nią, że wszystko jest w porządku.

- A ty się dobrze czujesz? - spytała.

- Teraz już tak, kiedy jesteś bezpieczna - powiedział, chociaż jego jasnozielone oczy miały znękany wyraz; podejrzewała, że jej wyglądają tak samo.

Rhea nigdy wcześniej nie była przy niczyjej śmierci. Dennis ją przeraził. Desperacko chciała uciec... ale nie chciała, żeby zginął. Nikt nie zasługiwał na taką śmierć. Przełknęła ślinę i znów spojrzała na Erica.

- Jak... co ty tutaj robisz? - wyjąkała.

- Kiedy nie przyszłaś... zacząłem wypytywać ludzi, szukać cię. Nikt nic nie wiedział. Nikomu nie przyszło do głowy, że coś się stało. - W jego głosie słyhać było gorycz. - Strażnicy powiedzieli, że Dennis uciekł i... i po prostu wiedziałem. Wiedziałem, że cię porwał. Strażnicy przeczesali dom, ale niczego nie znaleźli, a ja przypomniałem sobie, jak Jared opowiadał, że chodzi się tu wspinać. Zaryzykowałem.

Rhea przypomniała sobie jak przez mgłę, że Dennis mówił o jakiejś „ładnej dziewczynie z brązowymi włosami”, która namówiła go do ucieczki. Rhea

domyślała się, kim jest ta dziewczyna, ale postanowiła na razie o tym nie wspominać.

- Dlaczego strażnicy tutaj nie przyszli? - spytała tylko.

- Nie uwierzyli mi. Uważali, że Dennis jest zbyt naćpany, żeby był niebezpieczny. Uznali, że po prostu ukrywa się gdzieś na terenie posiadłości. A poza tym Stephen mówił, że lubisz samotne spacery, więc nikt nie pomyślał, że twoje zniknięcie ma związek z Dennisem.

Erie wciąż przeczesywał jej włosy palcami, i była to najwspanialsza pieszczota na świecie.

- Powinieneś bardziej się starać ich przekonać. Nie powinieneś być przychodzić tu sam - łajała go.

-Twoja rodzina... gdyby cokolwiek ci się stało... nie byłoby więcej Dragomirów...

Erie wciąż był wstrząśnięty tym, co się stało, ale zdobył się na blady uśmiech.

- Warto było zaryzykować. Za bardzo się bałem, że nie będzie więcej Rhei.

Spojrzała mu w twarz; ledwie mogła uwierzyć, że ktoś chciał aż tyle dla niej zrobić. Dziwne uczucie zachwyty wezbrało w jej piersi i tym razem to ona pocałowała jego. Wydawało się takie dziwne całować się w miejscu, w którym przed chwilą na ich oczach ktoś poniósł śmierć, a mimo to... było to jakby całkiem w porządku. Oni żyli. Pocałunek był życiem.



Miała ochotę całować go w nieskończoność i czuła, że on chętnie robiłby to samo. Ale musieli się zająć tyloma sprawami. Strasznymi sprawami. Musieli wrócić i zgłosić, co się stało. Musieli...

- Emma i Stephen - mruknęła, kiedy wreszcie oderwali się od siebie. - Co zrobimy?

- Porozmawiamy z nimi - odparł Erie. Zawahał się. - To znaczy... jeśli chcesz...

Przyjrzała mu się, mówiąc sobie, że ledwie go zna. Czego chciała? Ona i Stephen byli przyjaciółmi od dawna, byli niemal jak brat i siostra. On ją kochał... ale ona nie była zakochana w nim. Do tej chwili uważała, że to nie ma znaczenia, dopóki go lubi, dopóki jej na nim zależy. Teraz zrozumiała, że to ma znaczenie. Kochać to coś więcej, niż lubić kogoś. Nie chciała łamać mu serca... ale nie chciała też żałować, że nie wykorzystała szansy na bycie z kimś, kto chciał być z nią dla niej samej, a nie dla tego, co mogła dla niego zrobić. Erie miał rację, że zawsze troszczyła się o innych. Teraz nareszcie postanowiła, że robi to, czego sama chce.

- Porozmawiamy z nimi - powtórzyła.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z jaskini, trzymając jak najdalej od krawędzi klifu. Miała przeczucie, że chodziło mu nie tyle o jej bezpieczeństwo, co o to, żeby nie zobaczyła ciała Dennisa. Do domu prowadziła w dół dobrze wydeptana ścieżka, co

wyjaśniało, jakim sposobem i Dennis, i Erie dotarli na tę wysokość.

W połowie drogi Erie zatrzymał się i spojrzał na nią z zachwytem w oczach.

- O co chodzi? - spytała.

- Twoje włosy. Nawet w świetle księżyca... wyglądają jak słoneczny blask. Gdybym miał cię przy sobie, już nigdy nie musiałbym wychodzić na dwór.

Pociągnęła go dalej.

- Chyba uderzyłeś się w głowę podczas tych bohaterskich zmagañ.

- To ty byłaś bohatera - powiedział Erie, obchodząc skalny zakręt. - Przypomina mi to rosyjskie bajki, które opowiadała mi babcia. Znasz je? O dzielnej Wasylisie?

- Nie. Moja rodzina pochodzi z Rumunii. Nigdy nie słyszałam o żadnej Wasylisie. - Rhea spojrzała zamyślona w niebo. - Ale chyba podoba mi się to imię.

*Armstrong Kelley*

**Pocałunki z piekła 4**

*Polowanie*

Wyciągnęłam się na leżaku przed naszym pokojem w hotelu.

- Kąpiel słoneczna, *mon chaton*? - rozległ się za mną głos Marguerite z francuskim akcentem. -Ostatnio często to robisz.

- Teraz już nie dostanę raka skóry.

- Nie, tylko grasz na nosie legendom. Wyszczrzyłam zęby.

- Opalający się wampir. To takie nie w stylu Dra-kuli.

Westchnęła. Odchyliłam głowę do tyłu, żeby na nią spojrzeć, kiedy wyszła przez siatkowe drzwi. Marguerite, tak jak ja, jest wampirem. Ale ona jest nim o wiele dłużej. Od ponad stu lat, chociaż wygląda na dwadzieścia. Umarła właśnie w tym wieku. Wiecznie

**175**

piękna. Jest drobna, ma jasne loki i wielkie niebieskie oczy. Kiedy ją poznałam, myślałam, że jest aniołem. I była moim aniołem - uratowała mnie przed eksperymentem naukowym i przed rodzicami, którzy wcale nie byli moimi rodzicami, tylko ludźmi, którym zapłacono za opiekowanie się mną.

To było dziesięć lat temu. Teraz miałam szesnaście lat i byłam nieumarłą od sześciu miesięcy. Marguerite nie miała nic wspólnego z faktem, że stałam się wampirem. To załatwił eksperyment plus kulka w serce.

Marguerite od początku wiedziała, kim jestem. Dlatego mnie wzięła. Ale nigdy nie powiedziała mi prawdy. Dowiedziałam się w bolesny sposób - budząc się na stole w kostnicy. Rozumiem, dlaczego zachowała to w sekrecie przede mną - chciała, żebym wychowała się jak normalne dziecko - ale nie do końca jej to wybaczyłam. Nie mówię jej o tym. Jeśli chodzi o poczucie winy, Marguerite nie potrzebuje żadnej pomocy.

- Chcesz coś zjeść? - spytała, wyciągając w moją stronę podróżny kubek.

- Nie to.

Postawiła kubek obok mnie. Czułam zapach krwi podgrzanej do temperatury ciała. Jakby to robiło jakąś różnicę.

- Musisz pić, Katiana - powiedziała.

**176**

- Jest nieświeża. Za to tamta... - Machnęłam ręką w stronę mężczyzny trzy pokoje dalej, który spał pijany na werandzie. - Oto porządne śniadanie. On nawet nie zauważy. I tak będzie miał kaca giganta. Szklanka krwi w tę czy w tę, co mu tam.

- Jesteś za młoda, żeby pić alkohol.

- Ha, ha.

- Ja mówię poważnie, Kat. Cokolwiek jest w jego krwi, znajdzie się w twojej. Narkotyki, alkohol... musisz o tym pamiętać.

- Nie, muszę pamiętać o tym, kim jestem. Jestem myśliwym. Muszę polować, Mags. Ty polujesz.

- I ty zapolujesz, *mon chaton*, kiedy będziesz...

- Gotowa psychicznie i emocjonalnie. - Staralam się, żeby mój głos nie brzmiał uszczypliwie. - Ale będziesz rozmawiać o tym z innymi wampirami, tak? Dlatego jedziemy na to spotkanie w Nowym Jorku.

- Jedziemy z wielu powodów.

- Ale zapytasz ich, kiedy powinnam zacząć polować?

- Tak, zapytam. A teraz pij. Przed nami jeszcze długa jazda.

Marguerite weszła do środka, żeby się przygotować. A ja wypłam krew. To było jak jedzenie sklepowych ciastek czekoladowych; czułam ślady tego, na co naprawdę miałam ochotę, ale były ukryte pod grubą warstwą sztucznego gówna.

Popijając, patrzyłam na pijanego faceta i wyobrażałam sobie, że zatapiam kły w jego szyi. Wyobrażałam sobie jego krew, gorącą i aromatyczną. Gardło ścisnęło mi się tak boleśnie, że ledwie wmusiłam w siebie śniadanko z banku krwi.

Wiem, że wychodzę na sucz bez serca, fantazjując o picciu krwi jakiegoś faceta, jakbym nonszalancko traktowała to, że jestem wampirem. Tak nie jest. Miewam lepsze dni. I miewam też gorsze, kiedy nie mogę się rano zwlec z łóżka, kiedy tylko leżę i się martwię.

Czy już zawsze będę miała szesnaście lat? Marguerite mówi, że nie, że eksperyment z genetyczną modyfikacją miał załatwić sprawę wiecznej młodości, która, jak się tak zastanowić, wcale nie jest takim znów błogosławieństwem: wiecznie być w tym samym wieku, nie móc się osiedlić w jednym miejscu, zawierać przyjaźni, podjąć pracy, zakochać się...

A jeśli modyfikacja się nie udała? Jeśli naprawdę będę nastolatką przez najbliższych trzysta lat? Myślę o wszystkich tych rzeczach, których nie zdążyłam zrobić, zanim mnie przemieniono. O rzeczach, których może nigdy nie zrobię.

Nawet jeśli modyfikacja wypaliła, to jak to będzie działać? Nie mogę zostać okaleczona, nie mogę zachorować. Czy to znaczy, że jestem odporna na wszystko, ale śmiertelna? Że umrę około setki, jak

wszyscy inni? Czy dożyję trzystu, czterystu lat, jak prawdziwe wampiry? Jeśli tak, to czy będę się starzeć w normalnym tempie i zmienię się w jakąś obrzydliwą starą wiedźmę? Marguerite nie zna odpowiedzi, powtarza tylko w kółko, że wszystko się ułoży, co oznacza, że martwi się tak samo jak ja.

Staram się o tym nie myśleć. I tak mam dość zmartwień w życiu. Ślinienie się na widok ludzi. Picie krwi. Strach, że Edison Group znów mnie znajdzie. Martwienie się, że wszystko spieprzę i dam się złapać.

Nawet bez problemu pod tytułem Edison Group, jest tyle niepokojących spraw. Co będzie, jeśli potrafi mnie samochód i pogotowie zabierze mnie do szpitala. A tam, uups, nagle okaże się, że jestem jak nowa? Co będzie, jeśli ludzie odkryją, że jestem wampirem? Zabiją mnie? Zaczną na mnie eksperymentować? Zamkną mnie? Czy to by było dużo lepsze, niż gdyby naprawdę dopadli mnie ci z Edison Group?

Więc nie, nie jestem nonszalancka. Próbuję odnaleźć się w tej sytuacji. Jakoś tam. Tego dnia jechałyśmy do Nowego Jorku na spotkanie z innymi wampirami, żeby dowiedzieć się czegoś na temat genetycznych modyfikacji i na temat tego, jak mam sobie radzić. Więc z całą pewnością miał to być dobry dzień.



Co do polowania na ludzi, do tego też nie podchodzę nonszalancko. Kiedy przyjdzie co do czego, to nawet jeśli to nie pozostawia trwałych efektów, pewnie będę miała wyrzuty sumienia. Marguerite ma. Ale mimo to muszę polować. Czuję w brzuchu ten gryzący niepokój, roznosi mnie, jak wtedy, kiedy odpuścę sobie trening.

Kiedy to uczucie się nasila, żadna ilość puszkowanej krwi nie pomaga. Na przykład idę gdzieś sama i nagle czuję coś niewiarygodnie pysznego. Zaczynam się ślinić, burczy mi w brzuchu, a kiedy się odwracam, nie widzę półmiska świeżo upieczonych ciastek, ale człowieka. Może nawet przyjaciela. Nie potrafię opisać, jakie to uczucie. Jest fatalne. Po prostu fatalne.

Dopiłam krew i weszłam do środka. Marguerite w łazience robiła sobie makijaż. Przysiadłam na szafce, patrząc, jak nakłada jasną szminkę na usta, które i bez niej były idealnym różowym łukiem.

- To kto jest najbardziej seksownym wampirem w Nowym Jorku? - spytałam. - Jakiś wysoki, czarnowłosy żołnierz napoleoński, którego poznałaś w czasie wojny secesyjnej? Uchroniłaś go przed polowaniem na czarownice? Los rozdzielił was na Ti-tanicu, kiedy każde z was odpłynęło w siną dal na własnej górze lodowej?

- Historia to nie jest twój mocny punkt, co, *mon chaton*?
- Improvizuję. Więc kto?
- Nie ma żadnego jego. Chcę ładnie wyglądać dla znajomych, których nie widziałam od dłuższego czasu.

- Mhm.

Spojrzałam w lustro - tak, w odróżnieniu od hollywoodzkich wampirów widzę swoje odbicie. W zestawieniu z kruchą, porcelanową doskonałością Marguerite zawsze czuję się wielka i niezdarna. Chociaż dla kogoś, kto patrzy z boku, różnica nie jest tak oczywista. Jestem ledwie kilka centymetrów wyższa i wystarczająco chuda, że mogę podkraść jej designerskie bluzki i skórzane marynarki. Ale nikt nie wzięłby nas za siostry. Moje złotobrzowe włosy, zielone oczy i lekko opalona skóra są tego gwarancją.

Sięgnęłam po jej kosmetyczkę. Wyrwała mi ją i podała błyszczczyk.

- Jak będziesz miała siedemnaście lat - powiedziała.
- Może nigdy nie będę miała.
- Wtedy nigdy nie będziesz musiała się malować, nie?

Westchnęłam. Marguerite potrafi być czasem niewiarygodnie staroświecka. Oto minusy pozostawania

pod opieką kogoś, kto wychował się w XIX wieku. Ale w tej chwili właściwie mi na tym nie zależy. Jestem zawodnikiem, nie cheerleaderką. Makijaż jest strasznie upierdliwy. Przeważnie. Robię wyjątki dla randek. Nie żebym miała jakąś randkę, odkąd zostałam przemieniona. Gdyby tak, na przykład, chłopak pocałował mnie w szyję, mógłby się zorientować, że nie mam pulsu. Marguerite twierdzi, że faceci tego nie zauważają, ale ja nie jestem gotowa na takie ryzyko.

Przeszłam do sypialni, wzięłam kluczyki i zadzwoniłam nimi.

- Nie zapominaj, że mam już prawo jazdy. Lepiej się pospiesz albo pojedę do Nowego Jorku bez ciebie.

Nie wyjrzała z łazienki. Nie zawołała za mną, kiedy wyszłam. Nawet nie zadzwoniła na moją komórkę, kiedy wyjechałam naszym małym wypożyczonym samochodem z parkingu motelu. Wiedziała, że nie pojedę daleko. Są dni, kiedy mi się to podoba -ta świadomość, że mi ufa. Ale są inne, kiedy żałuję, że nie jestem trochę bardziej zbuntowana.

Trochę mniej przewidywalna.

Pewnie nawet wiedziała, dokąd jadę. Parę minut przed tym, jak zatrzymałyśmy się na noc, mijaliśmy kawiarnię i piekarnię i obiecała, że rano pozwoli mi tam pojechać na kawę. Wampiry nie potrzebują jedzenia. Ale możemy jeść i pić, co pomaga nam się

maskować. Większość, jak Marguerite, nie czuje się po jedzeniu najlepiej. Ze mną jest inaczej. To jedna z modyfikacji, która najwyraźniej zadziałała.

Kupiłam sobie podwójną kawę orzechowo-wani-liową i bułeczkę cynamonową. I ruszyłam z powrotem, przy ryczącej muzyce, z pedałem wciśniętym do dechy, śmigając po pustej szosie w Vermont. No, prawie. Muzyka była umiarkowanie głośna i przekroczyłam limit prędkości raptem o jakieś dziesięć kilometrów. Czy raczej o pięć mil, powinnam powiedzieć. Jestem Amerykanką, ale Marguerite jest kanadyjską Francuzką i większość ostatniej dekady spędziłyśmy w Montrealu, więc przywykłam używać systemu metrycznego.

Mile czy kilometry, tak czy siak nie pędziłam zbyt szybko, a kawa i bułka grzecznie czekały, aż Marguerite usiądzie za kierownicą. Owszem, potrafię się zachowywać jak pyskata nastolatka, ale rzadko łamię przepisy. Marguerite twierdzi, że to kwestia wychowania. Moi „rodzice” chwalili mnie tylko wtedy, kiedy byłam modelowym dzieckiem, grzecznym do bólu. Bycie wampirem nie robi ze mnie chuligana.

Niestety.

Ale nie jestem też całkowitym mięczakiem. Więc kiedy pojawił się za mną ryczący pikap, nie postąpiłam zgodnie z naukami mojego instruktora jazdy i nie zjechałam na bok, żeby go przepuścić. Przyspieszyłam.

**183**

Usiadł mi na zderzaku, tak blisko, że widziałam atrapę chłodnicy. To uświadomiło mi, jak pusta jest ta droga wijąca się między wzgórzami, z gęstymi drzewami po obu stronach i stromą skarpą po prawej. Nie widziałam innego samochodu od wyjazdu z miasta. Nie było to odpowiednie miejsce na zabawę w drogowego wojownika. Więc w końcu zwolniłam do przepisowej prędkości i zjechałam na bok, zostawiając mu mnóstwo miejsca na szosie.

Kiedy nie wykazał chęci, żeby mnie wyprzedzić, wysunęłam komórkę z kieszeni. Nagle chłodnica zniknęła mi ze wstecznego lusterka i pikap zjechał na drugi pas.

Zerknęłam w boczne lusterko. To było jedno, krótkie spojrzenie. Miałam obie ręce na kierownicy. Nie zjechałam na jego pas. Byłam tego pewna. Ale w następnej sekundzie rozległ się huk metalu o metal i mój samochód pomknął w stronę skarpy.

W gardle mnie dusiło, mózg zaczął wrzeszczeć, opony wrzasnęły razem z nim, kiedy wbiłam nogę w hamulec. Samochód wciąż jechał, przeleciał przez krawędź.

Zaczął się toczyć i nie chciał przestać, a ja mogłam się tylko skulić i zasłonić głowę rękami, aż rozległ się rozdzierający grzmot. I wszystko zrobiło się czarne.

Straciłam przytomność ledwie na sekundę. Kiedy się ocknęłam, samochód wciąż jeszcze jęczał od uderzenia. Otworzyłam oczy i zobaczyłam drzewo na siedzeniu pasażera. Auto było owinięte wokół pnia.

Sięgnęłam, żeby rozpiąć pas, ale nie mogłam się obrócić. Gałąź przebiła mi bark i przyszpiliła mnie do fotela. Zagapiłam się na nią. Miałam gałąź w barku. I nie czułam niczego.

Odetchnęłam głęboko, sięgnęłam w górę i ją wyciągnęłam. Wymagało to trochę wysiłku. Wampiry nie mają nadludzkiej siły - kolejny mił rozwiany - a gałąź przeszła siedzenie na wylot, więc musiałam się naszarpać, ale w końcu ją wyciągnęłam. Zostawiła mi dziurę w koszulce, ale krwi nie było, oczywiście. W barku też była dziura, ale wiedziałam, że się zagoi.

Spróbowałam obejrzeć ranę w lusterku. Widząc siebie, wrzasnęłam i szybko zamknęłam oczy. Kolejny głęboki wdech. W końcu odgięłam osłonkę przeciwsłoneczną i otworzyłam lusterko.

Miałam złamany nos. Był niemal rozplaszczony od uderzenia, którego nie pamiętałam. Jeszcze jeden wdech. Wargę była rozcięta. A jedno oko... nie całkiem na miejscu.

O Boże. Zemdliło mnie. Zamknęłam oczy i przycisnęłam dłonią to uszkodzone. I... wróciło na miejsce. Zadrżałam; mój żołądek fikał koziółki.

Znów sięgnęłam do twarzy i wyprostowałam nos. Kiedy nim poruszałam, czułam pod palcami, jak odzyskuje kształt.

No. Naprawione. A teraz...

- Halo! - zawołał męski głos.

Wyjrzałam przez wybitą szybę. Na skarpie stał samochód. Facet, który zepchnął mnie z drogi?

Nie. To nie był pikap, tylko auto osobowe. Obok niego stały dwie pary nóg. Widocznie widzieli, jak moje auto sfruwa ze skarpy.

To wcale nie poprawiało sytuacji. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie znaleźli, dopóki miałam dziurę w ramieniu i kto wie jakie jeszcze obrażenia, które w cudowny sposób zagoiłyby się podczas jazdy karetką do szpitala. Dokładnie takiego scenariusza się bałam.

Upchnęłam telefon do kieszeni i chwyciłam klamkę. Palce ześlizgnęły się z mokrej powierzchni. Kawa, przypomniałam sobie. Była nią zalana cała kabina.

No co, przynajmniej to nie krew.

Szarpnęłam za klamkę. Nie zdziwiłam się, kiedy drzwi się nie otworzyły.

Przekręciłam się, próbując uklęknąć na siedzeniu i wyjść przez okno.

Moje nogi nie drgnęły.

Spojrzałam w dół. Były zmiażdżone. O Boże. Miałam zmiażdżone nogi.

- Jest tam ktoś na dole?! - krzyknął mężczyzna.

**186**

- Chyba widzę samochód - powiedziała kobieta. -Zadzwońeś na...? - Jej głos ucichł.

Okej, nie schodzili na dół. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Miałam czas. Szarpnęłam połamaną kierownicę. Wyrwałam ją. Odłożyłam na bok i spróbowałam uwolnić nogi. Chyba nie były zaklinowane.

Jeśli tylko były całe... znaczy, jeśli żaden kawałek nie był urwany na dobre, bo byłam prawie pewna, że choć zdolności regeneracyjne wampirów są cudowne, to na pewno nie do tego stopnia. A właściwie byłam całkiem pewna, jako że jedynym sposobem na zabicie mnie była dekapitacja. Niektóre części ciała po prostu nie odrastają.

Ale moje nogi były częścią mojego ciała. I już nabierały kształtu, co oznaczało, że za parę minut naprawdę się zaklinują.

Odsunęłam siedzenie i wierciłam się, aż wyciągnęłam nogi spod deski.

Ale ciągle nie mogłam nimi ruszać, zapewne z powodu połamanych kości, sterczących przez dziury w dżinsach.

Całe szczęście, że nie miałam szczególnie delikatnego żołądka. Moje marzenia o karierze w medycynie sportu ostatnimi czasy wyglądały dość blado, ale przynajmniej letnie wolontariaty w przychodni bardzo mi się teraz przydały przy składaniu nóg. Kości wracały na miejsce z zadziwiającą łatwością, jakby tylko czekały na odrobinę zachęty.



Ale powoli stawało się jasne, że nie zrosną się w ciągu najbliższych minut, co oznaczało, że nie mogę czekać, aż będę mogła stąd odejść spacerkiem. Wymiotłam resztę szkła z okna, podciągnęłam się... i grzmotnęłam twarzą o ziemię, wywijając koziołka na plecy. Leżałam tak przez moment, orientując się w otoczeniu i nadstawiając uszu.

Wciąż słyszałam tę parę na skarpie, ale nie rozumiałam, co mówią, dopóki nie uchwyciłam słów:

- .. .tu chyba jest ścieżka w dół... Przeturlałam się szybko na brzuch i poczołgałam

przez poszycie. Nie dało się tego robić cicho. Suche liście szeleściły, suche gałęzie trzaskały, kiedy pełzałam naprzód. Nie minęła chwila, kiedy usłyszałam:

- Tam, zdaje się, ktoś jest!

Poczołgałam się szybciej, wypatrując głowy mężczyzny nad wysoką trawą. Co oznaczało, że nie patrzyłam, dokąd się czołgam. Kiedy moja ręka trafiła w pustkę, próbowałam się zatrzymać, ale było już za późno. Sturlałam się z brzegu strumienia, nabierając do ust błota i wody, kiedy plasnęłam do koryta.

- Słyszałaś to? - krzyknął mężczyzna. Usłyszałam kroki. Rozejrzałam się. Nie było gdzie

się ukryć. Byłam w pułapce...

...w wezbranym, błotnistym strumieniu, który miał prawie metr głębokości.

Zawlokłam się w najgłębszą część koryta i wyciągnęłam ją dnie.  
Lodowata woda zamknęła się nade mną. Kiedy wypełniła mi nozdrza,  
jakaś ludzka część mojego mózgu oszalała, mówiąc mi, że się topię.  
Zacisnęłam powieki i ją zignorowałam.

Po kilku minutach wyczułam, że tych dwoje się zbliża. Tak, wyczułam.  
Zanim przeszłam przemianę, Marguerite próbowała mi wytłumaczyć, na  
czym polega ten wampiryczny szósty zmysł, i porównała go ze zmysłami  
rekinów, które mogą odbierać elektromagnetyczne impulsy swojej  
zdobyczy. Teraz, kiedy tego doświadczyłam, mogłam stwierdzić, że to  
dokładnie to: dziwne mrowienie skóry, które mi mówi, że ludzie są  
blisko.

Kiedy się skupiałam, mogłam usłyszeć ich głosy, stłumione i słabe.

- ...samochód jest pusty.

- Nikt nie mógł z tego wyjść cało.

- No cóż, nie ma śladu krwi. Może kierowca został wyrzucony z kabiny.

- Wrócimy po śladach. Rozglądaj się. Policja powinna tu być lada chwila.

Odczekałam, aż przestałam ich czuć. Powoli uniosłam głowę. Usłyszałam  
ich z powrotem na skarpie.

Poruszyłam nogami. Już mogłam. I dobrze.

Spróbowałam wstać. Nogi poddały się i chlupnęłam z powrotem do  
strumienia. Przyczaiłam się, ale

tamci dwoje widocznie nie usłyszeli. Znów się uniosłam, nie obciążając zbyt nóg; używając tylko kolan, żeby mieć jakiś napęd, wyczołgałam się z koryta strumienia w wysoką trawę.

Kiedy byłam już dość daleko, wyjęłam komórkę.

Była wyłączona. I nie chciała się włączyć.

Kiedy nią potrząsałam, przemknął nade mną jakiś cień. Spojrzałam w górę, ale zobaczyłam tylko zamazaną smugę. Jakieś ręce chwyciły mnie za ramiona i przygwoździły do ziemi. Coś lodowatego przycisnęło się do mojej szyi. Wiłam się i szarpałam, próbując się uwolnić, ale świat zakreślił się, zawirował, i...

Kiedy się ocknęłam, wciąż pochylał się nade mną jakiś facet.

Instynktownie walnęłam go z bańki w podbródek. Poleciał do tyłu z wrzaskiem. Zerwałam się na nogi. Chwiałam się, ale przynajmniej mogłam stać.

Szybko rozejrzałam się dookoła. Las zniknął, a ja byłam w pomieszczeniu o ścianach z desek, jakby w jakiejś chacie. Zamrugałam gwałtownie, wciąż oszołomiona środkiem uspokajającym; mój mózg nie pracował jeszcze na pełnych obrotach.

Gość, którego uderzyłam, spojrzał na mnie wściekle, rozcierając podbródek. Na oko był mniej więcej w moim wieku. Szerokie ramiona.

Budowa futboli-

sty. Ciemne włosy. Niebieskie oczy, z każdą sekundą coraz bardziej wkurzone. Kiedy ruszyłam w jego stronę, skoczył na równe nogi i poderwał pięści, zasłaniając się bokserką gardą. Zrobiłam krok. On się zamachnął. Chwyciłam go za nadgarstek i przerzuciłam przez swoje ramię.

- Czy ktoś mógłby mi trochę pomóc?! - zawołał, zbierając się z podłogi.

- On by chciał, żebyś go przestała bić. - Kolejny męski głos, niższy, z akcentem, który rozpoznawałam po kilkumiesięcznym pobycie w New Jersey. Spojrzałam w tę stronę i zobaczyłam drugiego nastoletniego chłopaka siedzącego na skrzynce z książką w ręce. Chudy. W okularach. Falujące, jasnokasztanowe włosy, które opadały mu na czoło. Uniósł ciemne oczy znad książki i spojrzał w moje. -Proszę.

- Wielkie, kurna, dzięki - powiedział ten pierwszy.

Odwróciłam się.

Futbolista zbliżał się do mnie, powoli, ostrożnie.

- Słuchaj - zaczął. - Cokolwiek sobie myślisz... Jego kolejny krok naruszył moją przestrzeń osobistą. Kolejny chwyt za nadgarstek powalił go na podłogę.

Spojrzał ze złością na Okularnika.

- Zabiłoby cię to, gdybyś się zaangażował?

Okularnik obejrzał mnie sobie od stóp do głów.

- Być może. - Zamknął książkę, ale nie wstał. - Ona najwyraźniej bierze nas za tych, którzy ją tu przywieźli, co jest raczej logiczne, biorąc pod uwagę, jak nad nią kucałeś. Ale, po pierwsze, chciałbym zauważyć, że jesteśmy trochę za młodzi jak na sprowadzanie sobie pańienek do ciemnego lasu. Po drugie, gdybyśmy to my ją uwięzili, mam nadzieję, że mielibyśmy dość rozsądku, by ją związać, zanim się obudzi. Po trzecie, jeśli zacznie szukać wyjścia, zorientuje się, że jesteśmy tu tak samo uwięzieni, jak ona.

Rozejrzałam się. Była to jedna izba z kocami i skrzyniami na podłodze. Żadnych okien. Jedne drzwi. Podeszłam do nich i szarpnęłam. Były zaryglowane - od zewnątrz. Wyczułam za nimi przynajmniej jednego strażnika.

Odwróciłam się do chłopaków. Ten z książką wstał.

- Neil Walsh - przedstawił się. - A to jest Chad. Do nazwiska jeszcze nie doszliśmy. Rozumiem, że jesteś wampirem?

Gapiałam się na niego przez sekundę, po czym parsknęłam śmiechem.

- Słucham?

- Wampirem. Przynajmniej z krwi. Jeśli nie, to jesteś w niewłaściwym miejscu. Bo ta impreza jest tylko dla dziedzicznych wampirów.

Genetycznie

stworzonych dziedzicznych wampirów. Królików doświadczalnych. Zbiegłych, powinienem dodać. Gdyby moje serce biło, łomotałoby jak szalone.

- Ja... ja nie wiem, o czym ty mówisz.

- Przestań pieprzyć - powiedział Chad. - Jesteś... Neil uniósł rękę, przerywając mu.

- Może wcale nie pieprzyć. My wiemy, czym jesteśmy, ale ona może nie wiedzieć. - Spojrzał na mnie. - Jeśli tak jest, zignoruj wszystko, co powiedziałem.

- O, to na pewno podziiała. - Chad zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę.

- Przykro mi, jeśli to dla ciebie nowość, ale choć to brzmi jak bredzenie wariata, taka jest prawda. Byłaś częścią eksperymentu. Ktoś, może twoi rodzice, tak jak nasi starzy, zabrał cię stamtąd. Ludzie, którzy nas porwali, to łowcy nagród. Domyślam się, że nasi rodzice zaufali komuś, komu nie powinni, kto dał się przekupić. Ci łowcy nagród chcą nas oddać naukowcom. Z Edison Group.

Starłam się zachować neutralną minę, ale kiedy Chad wypowiedział tę nazwę, w moich oczach musiał błysnąć strach, bo Neil, stojący za jego plecami, kiwnął głową. Chad wpatrywał się we mnie, czekając na reakcją.

- Okej... - powiedziałam w końcu. - Więc... wampiry...

- Nieprawdziwe wampiry - poprawił mnie Chad. -Przecież nie wysysasz krwi i nie chowasz się przed słońcem.

- Prawdziwe wampiry nie mają alergii na słońce -stwierdził Neil. - W książce jest napisane...

- Pieprzyć książkę. Mam na myśli to, że nie jesteśmy wampirami.

Jeszcze. I mam nadzieję, że bardzo długo nimi nie będziemy.

Staralam się zachować spokój, mając nadzieję, że niczego po mnie nie widać.

- Okej, sporo tego jak na jeden raz - powiedział Chad. - A ty pewnie myślisz, że uciekliśmy z wariatkowa, ale zasadniczo chodzi o to, że jesteśmy uwięzieni, a gdzieś tam są inni, którzy, jak my, są w niebezpieczeństwie. Uciekła jeszcze dwójka dzieciaków. Musimy się wydostać, znaleźć ich i ostrzec.

Kiwnęłam głową. Nie ośmieliłam się zrobić niczego innego.

- Jesteś ranna.

Neil patrzył na moje nogi. Spojrzałam w dół. Moje dzinsy miały wielkie dziury w miejscach, w których przedtem sterczały kości.

Usiadłam szybko i zaczęłam dla picu oglądać skórę pod nimi.

- Są tylko podarte. Pewnie kiedy biegłam przez las. Tak mnie złapali.

Zepchnęli mnie z drogi.

Kiedy uniosłam głowę, o mało nie stuknęłam nią w głowę Neila. Stał schylony, patrząc na moje nogi przez dziury. Ciało wciąż było pozapadane, skóra nierówna, jak blizna.

- Stary wypadek - powiedziałam.

Spojrzał na moją drugą nogę, z taką samą okrągłą blizną pod rozdarciem. Potem spojrzał na mnie. Starłam się zachować obojętną minę, ale widziałam, że wie, i poczułam dziwne łaskotanie w piersi, jakby moje serce próbowało bić.

Neil kiwnął głową i się wyprostował.

- Skoro nic ci nie jest, to w porządku.

- Nie jest w porządku - powiedział Chad. - Jest więźniem, który ma zostać oddany walniętym na. ukowcom. Tak samo jak my. Tak jak tamte dzieciaki. - Spojrzał na mnie. - Masz jakieś pojęcie, gdzie są?

Pokręciłam głową. Mówił dalej.

- Może nie wiedziałaś o eksperymencie, ale musiałaś coś słyszeć. Byłaś uciekinierką, prawda? Jak my. Czy twoi rodzice nie mówili o tamtych dzieciakach? Może ich odwiedzaliście i twoi starzy powiedzieli, że to dawni przyjaciele?

- Nie, przykro mi. Westchnął, nadymając policzki.

- Okej, no cóż, zastanów się nad tym, a tymczasem popracujemy nad planem ucieczki. Ale jego nie



proś o pomysły. - Lekceważąco kiwnął głową w stronę Neila, który zdążył już wrócić na swoją skrzynkę. - On nie jest zainteresowany ucieczką.

- Oczywiście, że jestem - odparł Neil. - Ale tak, jak ja to widzę, chwilowo nie mamy żadnych opcji. Nie ma okien, jedyne drzwi są zamknięte.

Ludzie, którzy nas tu sprowadzili, zapewne są tuż za nimi.

- Są - potwierdziłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. - To znaczy, słyszałam tam kogoś. A przynajmniej mi się zdawało.

I znów Chad to kupił. I znów Neil nie kupił i zwrócił na mnie to swoje nieodgadnione spojrzenie.

- Wracaj do swojej książki o wampirach - powiedział Chad. - Obudzimy cię, jak będziemy wychodzić.

- Książka o wampirach? - rzuciłam pytająco.

- To pamiętniki wampira - wyjaśnił Neil. - Moi rodzice powiedzieli mi, czym jestem, dopiero w zeszłym roku. Oni sami są dziedzicznymi wampirami, ale nie wiedzą zbyt wiele o tym stanie. Całe rodziny mają ten gen, ale u większości członków, jak na przykład u moich rodziców, jest recesywny.

- Fascynujące - powiedział Chad, ziewając.

Neil patrzył na mnie, jakby czekał na pozwolenie, żeby kontynuować.

Kiwnęłam głową, więc mówił dalej.

- Recesywny, to znaczy że po śmierci nie wrócą jako wampiry. Ale mogą przekazać tę zdolność swo-

im dzieciom. Jako że oboje moi rodzice mają ten gen, martwili się, że to może zwiększyć ryzyko, że ich dziecko będzie prawdziwym wampirem. Skierowano ich do naukowców Edison Group, którzy zapewniali, że mogą temu zapobiec dzięki jakiejś genetycznej modyfikacji. Kłamali.

- Postarali się, żeby właśnie tak się stało - powiedziałam. - I wprowadzili jeszcze inne zmiany.
- Prawdopodobnie. Moi rodzice zrezygnowali z udziału w eksperymencie, kiedy odkryli prawdę. Ale nie byli tam dość długo, by się dowiedzieć, co mnie czeka, jeśli... - umilkł i przekrzywił głowę -...kiedy stanę się wampirem. Gdy łowcy nagród zorientowali się, jak mało wiem, dali mi to. - Uniósł starą książkę.
- Jak miło z ich strony. Krzywy uśmiech.
- Próbują mnie wystraszyć. Pokazać, jaka okropna przyszłość mnie czeka, i jednocześnie obiecują, że, wbrew temu, co mówili rodzice, Edison Group naprawdę nie jest taka zła. Że chcą mi pomóc.
- Nie wyglądasz mi na specjalnie wystraszonego. Wzruszył ramionami.
- Wiedza to władza. Chcę dokładnie wiedzieć, co mnie czeka. A przy odrobinie szczęścia może znajdę w tej książce coś, co nam pomoże. Jakąś umiejętność, której oni się nie spodziewają.

- A proszę bardzo, czytaj to sobie - rzucił Chad. - Tymczasem ja spróbuję nas...

Nagle umilkł i podszedł do mnie.

- Z twojego barku sterczy wielka drzazga - zauważył. - Ale rana nie krwawi. Dziwne.

Do licha! Pewnie została po tamtej gałęzi. Powinnam była dokładniej sprawdzić. Kiedy odwróciłam się, chowając ramię przed Chadem, Neil szybko stanął za mną i powiedział:

- To kwestia kąta wejścia. Po prostu nie trafiła w żadne naczynia. Daj, wyjmę ci to.

Zawahałam się, ale w końcu skinęłam głową.

- Wolno nam spytać o twoje imię? - dodał, kiedy już odprowadził mnie poza zasięg wzroku Chada i, poruszając delikatnie, wyjął drzazgę.

- Katiana - odparłam. - Ale wszyscy nazywają mnie Kat.

- Katiana. Hm. To rosyjskie?

Powiedziałam, że tak. Nie miałam pojęcia i wiedziałam, że tak naprawdę nie jest zainteresowany odpowiedzią; gada tylko, żeby odwrócić uwagę Chada, za co byłam mu wdzięczna.

- Dzięki - powiedziałam, kiedy już wyjął odłamek.

Kiwnął głową i schował drzazgę do kieszeni. Kiedy palce znów dotknęły mojej łopatki, odwróciłam się.

- Hej! - zawołałam.

Chad zrobił krok w tył, gapiąc się na swoje czyste palce.

- Nie ma krwi. - Spojrzał na mnie; jego wzrok stwardniał. - Nie ma krwi.

Chwył mnie za rękę tak szybko, że nie zdążyłam zareagować. Neil próbował go powstrzymać, ale Chad wykręcił mi ramię i unieruchomił mnie. Położył palce na mojej szyi. Zanim zdążyłam się wyrwać, sam mnie odepchnął.

- Ona jest wampirem - rzucił, patrząc na mnie, jakbym przed chwilą wyczołgała się z krypty.

- Co ty powiesz - odparł Neil. - Przecież dlatego tu jest.

- Wiesz, o co mi chodzi. Jest prawdziwym wampirem. Przeobrażonym. Martwym.

- Jakimi wszyscy kiedyś będziemy - powiedział Neil. - A jeśli się zastanawiasz, dlaczego nam nie powiedziała, twoja reakcja jest najlepszą odpowiedzią.

- Do diabła, jak możesz być taki spokojny? Ona jest wampirem.

- Może się powtórzę, ale powiem to: ty też. Tyle że w jej wypadku proces jest trochę bardziej zaawansowany. - Spojrzał na mnie. - To się nie stało tak po prostu, prawda? W wypadku samochodowym?

Pokręciłam głową.

- To było mniej więcej pół roku temu. Edison Group nas dopadła.

Zastrzelili mnie, pewnie myśląc,

że cokolwiek się stanie, będą na wygranej pozycji. Albo się odrodzę jako wampir i dowiodę, że ich eksperyment się powiódł, albo umrę i będą mieli jednego uciekiniera mniej do ścigania. Ale nie poznali odpowiedzi. Myśleli, że zostałam przez pomyłkę skremowana, więc przestali mnie szukać.

- Jeśli łowcy nagród ciągle wyłapują uciekinierów, to mogli jeszcze nie zawiadomić Edison Group. Co oznacza, że ci ludzie mogli się jeszcze nie zorientować, że jesteś już po transformacji. Lepiej, żeby tak zostało. To zadziała na naszą korzyść...

Kliknął zamek. Drzwi uchyliły się odrobinę, w szparze pojawiła się lufa pistoletu. Jakiś człowiek coś powiedział. Nie usłyszałam co. Mogłam tylko gapić się na pistolet i przypominać sobie ostatni raz, kiedy widziałam broń, przypominać sobie błysk, kulę trafiającą mnie w pierś... Neil chwycił mnie za łokieć.

- Rób, co mówią - szepnął.

Chad stał pod najdalszą ścianą, przodem do niej, z podniesionymi rękami. Zrobiliśmy to samo.

- Odsunąć się od siebie - warknął tamten. - Ręce za plecy. Jeden ruch i przetestujemy, czy naprawdę potraficie zmartwychwstać.

Śmiech drugiego mężczyzny. Założyłam ręce za plecy. Związali nas i kazali wyjść. Udało mi się rzucić okiem na jednego z po-

rywaczy. Ale niewiele było do zobaczenia. Po prostu facet w masce na Halloween. W masce Drakuli. Pewnie uważali, że to zabawne.

Zaprowadzili nas do furgonetki. Tyłne drzwi były otwarte, wewnątrz puste, jeśli nie liczyć butelkowanej wody i starych koców. Bez słowa wepchnęli nas do środka i zatrzasnęli drzwi.

Było tylko jedno okno - brudny kwadrat w tylnych drzwiach furgonetki. Wpuszczało ledwie tyle światła, żebyśmy widzieli się nawzajem. Nie żeby którekolwiek z nas było w szczególnie towarzyskim nastroju. Chad siedział w kącie z podciągniętymi kolanami. Neil siedział po drugiej stronie, plecami do ścianki, i zamyślony gapił się w przestrzeń. Żaden z nich nie odezwał się do mnie słowem, od kiedy wsiedliśmy.

Czułam ciężar tego milczenia. Po Chadzie się go spodziewałam. Neil wydawał się inny, ale tam, w chacie, pewnie przemawiała przez niego wyłącznie logika. Wiedział, że nie powinien mieć problemu z moim stanem, bo któregoś dnia i on będzie wampirem. Ale teraz, w tej ciszy, emocje wzięły górę i nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

- Przepraszam.

Aż podskoczyłam, słysząc głos Chada tuż przy uchu. Odwróciłam się i zobaczyłam go tuż przy sobie.

**28**

- Zachowałem się jak palant - powiedział. - Przepraszam. Po prostu...  
Zaskoczyło mnie to.

- W porządku.

- Nie w porządku, ale dzięki.

Uśmiechnął się, szczerząc zęby, i jeszcze sześć miesięcy temu od tego uśmiechu zatrzymałoby mi się serce. Teraz mogłam myśleć tylko o tym, jak wspaniale pachnie. Jak obiad.

Odwróciłam oczy.

- No - odezwał się Neil. Tym razem podskoczyliśmy oboje.

Neil uniósł ręce. Opadła z nich linka. Ze zmarszczonymi brwiami obejrzał otarcia na swoich nadgarstkach. Z jednego sączyła się krew.

Czułam jej zapach.

- Świetnie - powiedział Chad. - A teraz możesz nas rozwiązać?

- Taki był plan.

Kiedy nas uwalniał, starałam się nie brać oddechu. Oczywiście wciąż myślałam o krwi rozsmarowanej na jego nadgarstku. Nic nie mogłam na to poradzić. Ale to podsunęło mi pomysł. Na ucieczkę.

Powiedziałam chłopakom. Chad zapalił się do mojego planu. Neil nie. Ale kiedy omówiliśmy alternatywy i stwierdził, że nie widzi żadnej, zgodził się.

Furgonetka z piskiem opon pokonała zakręt i zaczęła podskakiwać na gruntowej drodze. Kiedy

Chad zaczął łomotać w ścianę i wołać o pomoc, zatrzymała się gwałtownie. Drzwi pasażera otworzyły się i zatrzasnęły. Chad znieruchomiał, leżąc na podłodze; ja stanęłam nad nim na czworakach, z ustami tuż nad jego szyją.

Słyszałam krew pulsującą w jego żyłach. Słyszałam ją, czułam ją, widziałam ją, bo puls na jego szyi bił mocno, tak blisko powierzchni, że czułam buchający z niego zapach. Wydłużyły mi się kły. Wzdrygnęłam się i odsunęłam, odruchowo zamykając oczy i skupiając się, by wsunąć kły z powrotem, ale mnie olśniło. Przecież o to chodziło, nie? Kły i tak dalej.

Więc wisiałam tak nad szyją Chada, czując, jak kły napierają na moją dolną wargę, i próbowałam na niego patrzeć, widzieć go tak, jak widziałabym pół roku temu: zauważać ciemne rzęsy, podwijające się na policzku, seksowną zapowiedź zarostu, pełne wargi... Ale widziałam tylko jego krew pulsującą pod skórą, tak blisko, że niemal czułam jej smak. Boże, przysięgam, że czułam jej smak.

Ruch po mojej lewej. Zerknęłam na Neila, który leżał na boku, z szyją usmarowaną krwią z nadgarstków. Patrzył na mnie. Bez wyrazu. Po prostu patrzył.

Posłałam mu złe spojrzenie i syknęłam: - Zamknij oczy!



Zamknął je w chwili, kiedy jeden z porywaczy przetarł brudne okienko, zajrzał przez nie i zobaczył mnie nad Chadem.

- Hej! - krzyknął. - Ron!

Otworzył drzwi, a ja zerwałam się, z wysuniętymi kłami, charcząc na niego. Facet zamarł z wybałuszonymi oczami, z opuszczonym pistoletem, jakby zapomniał, że go ma. Ruszyłam na niego. Upuścił pistolet i rzucił się do tyłu, unosząc ręce, żeby osłonić gardło.

Skoczyłam na niego i pchnęłam go do tyłu. Usłyszałam krzyk kierowcy biegnącego na pomoc. Chad wyskoczył z furgonetki i go przewrócił. Neil zeskoczył za nim.

Przygwoździłam moją zwierzynę do ziemi. Zwierzyna. W tej chwili był tylko tym. Nie myślałam o tym, co powinnam zrobić. Przygwoździłam go i ugryzłam.

Moje zęby zatoneły jak igły w jedwabiu. Gorąca krew wypełniła mi usta. I ten smak. Boże, ten smak. To było niewiarygodne.

Nawet jeśli się szamotał, ja tego nie zauważyłam. Nie zauważałam niczego, dopóki ten pierwszy łyk nie spłynął mi do gardła. Wtedy krwawa mgła w moim mózgu przetarła się i usłyszałam, że Chad walczy z tym drugim gościem. Mój przeciwnik był nieprzytomny. Substancja uspokajająca w mojej ślinie zrobiła swoje.

Uniosłam głowę. To wymagało wysiłku. Sporego wysiłku, jakbym zmuszała się do zejścia ze słońca w zimny dzień. Zamknęłam oczy i przeciągnęłam językiem po kłach. Cofnęły się. Ale się nie wyprostowałam. Nie mogłam. Mogłam tylko gapić się na krew płynącą po szyi tego człowieka.

- Musisz zamknąć ranę - powiedział głos gdzieś obok.

Spojrzałam w górę. Nade mną stał Neil.

- W książce jest napisane, że ranę zamyka się przez... - zaczął.

- Wiem - odparłam ostrzej, niż zamierzałam. Przesunęłam się, żeby tego nie widział, schyliłam

się i przejechałam językiem nakłucia. Dziurki się zamknęły. Krwawienie ustało. Ale ja wciąż czułam smak krwi, tak cudowny, że gardło ścisnęło mi się boleśnie.

- Katiana? - Ten sam łagodny głos. Qstrożny, jakby nie chciał mi przeszkadzać.

Wstałam i odchrząknęłam.

- Wszystko okej.

Wciąż stojąc tyłem do niego, przełknęłam ślinę. Przetarłam twarz dłonią.

Wyprostowałam plecy. Odwróciłam się.

Chad klęczał obok ciała nieprzytomnego kierowcy.

- No dobrze - powiedziałam. - Teraz musimy...

Neil wyciągnął do mnie liny, które wcześniej krępowały nam ręce.

- Okej - rzuciłam. - Zróbmy to.

Już po chwili nasi nieprzytomni porywacze byli związani. Teraz, kiedy mogłam przyjrzeć się ich twarzom, przekonałam się, że nie widziałam ich nigdy wcześniej. Po prostu dwóch gości po dwudziestce, obydwaj ciemnowłosi i barczyści. Było między nimi wyraźne podobieństwo.

Bracia albo kuzyni, na to wyglądało.

Ale byli unieszkodliwieni, a my mieliśmy ich furgonetkę i kluczyki. Więc nasz następny ruch powinien być oczywisty. I byłby, gdyby którekolwiek z nas umiało prowadzić samochód z ręczną skrzynią biegów.

Próbowaliśmy, ale wszyscy mieliśmy praw-ko dopiero od kilku miesięcy.

Nie mieliśmy wystarczającej wprawy, żeby sobie poradzić.

Żaden z naszych porywaczy nie miał komórki. Jeden miał krótkofalówkę, ale to oznaczało tylko, że nie pracują sami, a na pewno nie chcieliśmy, żeby ich wspólnicy dowiedzieli się, że uciekliśmy.

Była tylko jedna opcja. Iść pieszo.

Ale najpierw Neil wrócił po pistolet. Był tylko jeden i kiedy Neil go przyniósł, Chad wyciągnął po niego rękę.

- Umiesz strzelać? - spytał Neil.

**33**

- Lepiej niż ty.

Neil uniósł pistolet i przestrzelił obie przednie opony furgonetki. Chad spochmurniał, ruszył drogą i machnął na nas, żebyśmy szli za nim.

Furgonetka zjechała na coś, co wyglądało jak stara droga drwali.

Przedtem jechaliśmy asfaltówką. Szybko ją znaleźliśmy. Ale dopiero po dziesięciu minutach usłyszeliśmy samochód. Usłyszeliśmy, ale nie zobaczyliśmy. Droga biegła przez gęsty las, wijąc się między wzgórzami Vermont. A przynajmniej zakładałam, że to ciągle Vermont.

Kiedy usłyszeliśmy samochód, Neil zaproponował, żebyśmy zeszli z drogi, by zjeżdżając pędem ze wzgórza nie porzucił nas jak kręgle.

Stanęliśmy na poboczu, gotowi na niego machać.

Kiedy się zbliżył, Chad powiedział:

- Może to nie jest najlepszy pomysł., Spojrzałam na niego.

- No, tamci goście mieli radio, tak? To znaczy, że się z kimś kontaktowali.

Może mieli się z kimś spotkać. A może ci nasi zdążyli się już uwolnić i wezwać pomoc. Nawet jeśli to jest ktoś inny, to sądzicie, że się zatrzyma?

Albo wezwie gliny? - Kiedy żadne z nas nie odpowiedziało, wzruszył ramionami. - Okej, ja tylko przedstawiam możliwości.

- Więc co proponujesz? - spytał Neil.

**207**

- Moi rodzice są w Pensylwanii. Twoi w New Jersey. Ale rodzice Kat są gdzieś niedaleko, zgadza się?

- Moja opiekunka. - Staralam się nie myśleć

O tym, jak musi się martwić Marguerite. Wiedziałam, że mnie szuka.

Miałam nadzieję, że jest bezpieczna.

- W takim razie proponuję, żebyśmy zeszli z drogi

i szli dalej, aż dojdziemy do miasta i zadzwonimy do opiekunki Kat.

Zgodziliśmy się i weszliśmy w las, zanim samochód do nas dotarł. Za

kierownicą była kobieta, dwoje dzieci siedziało w fotelikach. Nie była potencjalną porywaczką, ale pewnie rzeczywiście by się nie zatrzymała.

- Więc ty i twoja opiekunka... - powiedział Chad. - Jechaliście dokądś?

Podśledzałem coś takiego, zanim tamci złapali Neila. Posłali po was ko-

goś do Quebecu, ale potem ich kontakt powiedział, że jedziecie w tę

stronę. Odszukali was i zaczęli śledzić.

Neil dodał:

- I pewnie jechali za wami, aż ci z furgonetki mogli was przechwycić, kiedy już złapali mnie.

- Jechaliście na wycieczkę? - spytał Chad, ignorując Neila.

- Miałymy się spotkać z innymi w Nowym Jorku - odparłam.

- Z innymi?

**208**

- Wampirami - dodałam po chwili. Przygotowałam się na jego reakcję, ale teraz, kiedy już przewyciężył pierwszy odruch, wydawał się być zainteresowany.
- Twoja opiekunka zna ich z eksperymentu? Może będą tam też inni uciekinierzy. - Uśmiechnął się. - To by nam ułatwiło sprawę.
- Pokręciłam głową.
- Nie wiedziałyśmy nawet, że byli jacyś inni uciekinierzy. Mnie zabrano stamtąd, kiedy miałam pięć lat.
- Ale ta twoja opiekunka też brała udział w eksperymencie, tak?
- Nie. Ona... ona jest wampirem. Była taka grupa nieumarłych, która martwiła się tym, co wyprawia Edison Group. Potajemnie monitorowali eksperymenty. Ona została przydzielona do mnie. Kiedy zobaczyła, jak jestem traktowana, zabrała mnie.
- Porwała cię?
- To nie było tak. - W moim głosie pojawiła się lekka złość. Pora zmienić temat. Odwróciłam głowę do Neila, który szedł w milczeniu obok mnie.
- Gdzie się nauczyłeś strzelać?
- Na stażu w naszym miejscowym komisariacie policji. Dla zachęty dorzucili zajęcia na strzelnicy. Potrafię wycelować i strzelić, ale w zasadzie nic poza tym.

- To i tak więcej niż ja. - Westchnęłam. - Fajnie. Więc...
- Staż na komisariacie? - wtrącił się Chad. - A cóż ty tam robiłeś? Naprawiałeś im komputery?
- Nie bądź palantem - rzuciłam.
- Nie jestem. To poważne pytanie. I założę się, że mam rację. Musisz przyznać, że on wygląda na takiego.
- Czyli na jakiego? - spytał Neil. - Na takiego, który wie, jak się pisze „komputer”?
- Okej, chłopaki, to już nie jest fajne - powiedziałam, unosząc rękę. - Bawcie się dobrze, obrażając się dalej. Ja będę trzymała się z tyłu. Zwolniłam, żeby puścić ich przodem. Szli, odsuwając się od siebie coraz bardziej. Neil obejrzał się, jakby się zastanawiał, czy nie dołączyć do mnie, ale w końcu po prostu został parę kroków za Chadem, tak, że teraz szliśmy gęsiego. Nikt się nie odzywał przez jakieś pięć minut. W końcu Neil odchrząknął.
- Myślę, że powinniśmy się rozdzielić - zaproponował. - Nie wiemy, czy najbliższe miasto jest trzydzieści kilometrów w tym kierunku, czy dziesięć w przeciwnym. Czy dwa kilometry wzdłuż tej drogi, którą właśnie przecięliśmy.
- Nie wydaje mi się... - zaczęłam. Chad mi przerwał.

- Masz rację. - Zatrzymał się i rozejrzał. - Kat może dalej iść w tym kierunku. Ja zawrócę. Ty możesz iść boczną drogą.

Pokręciłam głową.

- I co zrobimy, kiedy któreś z nas znajdzie miasto? Nie mamy żadnego sposobu, żeby się skontaktować.

Poważny argument. Żaden z nich go nie posłuchał, więc nauczyli się na pamięć numeru komórki Marguerite i ruszyliśmy.

Idąc przez las, przeklinałam ich obu. Czy tylko mi się zdawało, czy to był najgłupszy pomysł w historii?

Ale mimo złości nie mogłam się nie zastanawiać, czy ta separacja nie była moją winą. Może powinnam była trzymać buzię na kłódkę, kiedy sobie dogryzali. Oczywiście musiałabym mieć przemysłową taśmę hydrauliczną. Dopiero co uciekliśmy łowcom nagród. Staraliśmy się ratować życie. A oni uważali, że obrzucanie się obelgami było użytecznym zajęciem?

Nie, nie mogłabym siedzieć cicho. Jeśli przez to zdecydowali się rozdzielić, to był to cholernie marny pretekst.

A może to właśnie było to. Pretekst. Nie żeby uwolnić się od siebie nawzajem, ale ode mnie. Znaleźć



się jak najdalej od krwiopijczej bestii, zanim zgłodnieje.

To nie miało znaczenia. Dojdę do miasta i zadzwonię do Marguerite, a jeśli tamci dwaj nie mają ochoty zadawać się z wampirami, sami sobie zorganizują transport. Nigdy więcej ich nie zobaczę. Co mi odpowiadało. Nie byli moimi nowymi najlepszymi kumplami, nic w tym stylu.

Ale było miło poznać inne dzieciaki z tego samego eksperymentu. Inne wampiry. Tyle że oni nie byli wampirami. Nie takimi prawdziwymi. Ale pewnie w jakimś sensie podobało mi się, że jest ktoś, kto wie, przez co przechodzę, kto...

Wyczułam kogoś blisko. Bardzo blisko. Odwróciłam się na pięcie i zobaczyłam Neila wybiegającego spomiędzy drzew. Uniósł ręce; pistolet miał wciąż zatknięty za pasek spodni.

- To tylko ja - powiedział.

- Znalazłeś coś?

- Nie. - Machnął na mnie, żebym biegła za nim. - Chodź. Musimy się zagłębić w las, zanim tu dotrą.

- Ścigają nas? - spytałam, truchtając za nim. - Powiedziałeś Chadowi?

Musimy...

- Musimy się trzymać jak najdalej od Chada, biorąc pod uwagę, że to on po nich zadzwonił.

Zatrzymałam się.

- Co?

**212**

Chwył mnie za łokieć i pociągnął głębiej w las.

- On jest podstawiony. Podejrzywałem to od samego początku, ale teraz mam pewność. Poszedł ich zawiadomić. To dlatego chciał się rozdzielić. Wyszarpnęłam rękę z jego chwytu.

- Nie, to ty chciałeś się rozdzielić. To był twój pomysł.

- Z ust mi to wyjął - powiedział głos za nami. Chad wypadł z krzaków i rzucił się na Neila.

Sięgnął po pistolet, ale zdołał tylko uderzyć Neila w rękę. Pistolet poleciał na ziemię. Zanurkowałam po niego. Wszyscy to zrobiliśmy, ale ja byłam szybsza; chwyciłam go i cofnęłam się, celując to w jednego, to w drugiego. Znieruchomieli.

Spojrzałam na pistolet w mojej dłoni, spojrzałam jeszcze raz i przypomniałam sobie ten fatalny strzał. Ale tym razem to wspomnienie obudziło we mnie ledwie iskierkę emocji.

- Kto zasugerował, żebyśmy się rozdzielili? - spytał Chad po chwili. - Jeśli ktoś tu jest podstawiony, to on.

- Zapropnowałem to, żeby cię zdemaskować. Rozdzielenie się było głupim pomysłem. Katiana to wiedziała. Ale ty byłeś chętny... bo zyskałeś okazję, żeby zadzwonić do łowców nagród.

- Zadzwonić z czego? - Chad uniósł ręce i się odwrócił. - Obszukaj mnie, Kat. Nie mam telefonu.

- Bo go schowałeś, jak tylko usłyszałeś, co mówię do Kat. Katiana, przecież wiesz, że on nie jest wampirem. Popatrz, jak na ciebie zareagował. W ogóle go nie interesowała książka. Nie interesowało go, jak wygląda twoje życie, co przeżywasz. To nie jest reakcja kogoś, kto spodziewa się, że będzie wampirem.

- Może to dlatego, że się boję? - powiedział Chad. - Mogę się do tego przyznać, czy mam być chodzącą logiką jak ty? Według mnie, to właśnie to dowodzi, że nie jesteś wampirem. Nadrabiasz gadaniem, udając, że nie masz nic przeciwko wampirom.

- On jest podstawiony, Katiano. To jego porwali pierwszego...

- Co byłoby głupie, gdybym był ich współnikiem. Sprytniej byłoby złapać mnie jako drugiego, żeby uniknąć podejrzeń. A poza tym skąd wiadomo, że ktoś jest podstawiony? Skąd ci się wziął ten pomysł? Jaki powód mogliby mieć porywacze, żeby...

- Po pierwsze, środek zapobiegawczy przeciwko właśnie takiemu scenariuszowi: naszej ucieczce. Jeśli ich człowiek jest z nami, mają pewność, że nie uciekniemy daleko. Kto nie chciał, żebyśmy machali na przejeżdżający samochód?

- Ale nie ja zasugerowałem, żebyśmy się rozdzielili...

- Po drugie, oni nie wiedzą, gdzie są pozostali uciekinierzy. Zakładają, że my wiemy. Ciebie oni bardzo interesowali, Chad. Musimy ich znaleźć, tak? Koniecznie musimy ich znaleźć. A tak przy okazji, wiemy, gdzie oni są?

- Dość - ucięłam. - Neil mnie przekonał... że ktoś jest podstawiony. To logiczne. Pytanie tylko, kto? -Zrobiłam krok naprzód, celując z pistoletu w Chada. - Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy jesteś wampirem, prawda?

- Chwila! - Chad zaczął się cofać. - Wampir czy nie wampir, nie mam na to ochoty. Daj spokój. Przecież jest oczywiste, że to on. To on chciał, żebyśmy się rozdzielili.

Zwróciłam lufę w stronę Neila. Zbladł. Po jego skroni ciekł pot.

- No dobrze - powiedział. - Naprawdę wolałbym tego uniknąć, ale jeśli to jedyny sposób, to śmiało. Prosiłbym cię tylko, żebyś pozwoliła mi się odwrócić i wycelowała w podstawę czaszki. To najszybszy sposób, żeby kogoś zabić.

- Jakim trzeba być frikiem, żeby wiedzieć takie rzeczy? - powiedział Chad. - Jasne, pozwól mu się odwrócić... żeby mógł uciec tak szybko, jak go poniosą te chude nogi.

Neil się odwrócił. Widziałam, że bok jego szyi pulsuje w rytm łomoczącego serca. Ale nawet nie

zadrzał. Po prostu stał i czekał. To wymagało odwagi. Niesamowitej odwagi.

Wycelowalam w Chada. Skoczył na mnie. Mogłam strzelić. Ale nie chciałam tego robić, dopóki miałam jakieś inne wyjście. Więc kiedy zaatakował, puściłam pistolet, chwyciłam go za nadgarstek i przerzuciłam go przez ramię.

Zanim zdążyłam go przycisnąć do ziemi, odwrócił się na plecy; cios łokciem w podbródek rozciągnął mnie na ziemi. Potrzebowałam sekundy, żeby dojść do siebie. Usłyszałam za sobą stęknięcie i głuchy łoskot, a kiedy się odwróciłam, Chad miał pistolet i Neila. Trzymał go przed sobą jak tarczę, jedną ręką obejmując mu szyję i celując z pistoletu w jego skroń. Neil nie miał okularów - zgubił je podczas szamotaniny.

- Biorąc pod uwagę, że właśnie zgodziłem się dostać kulkę, to naprawdę nie daje ci żadnej przewagi - powiedział.

- Zamknij się, friku.

- Nazywaj mnie tak dalej, to w końcu się obrażę. Głos Neila był spokojny, wręcz zawadiacki, ale pot

wciąż płynął mu po twarzy i wciąż widziałam żyłę pulsującą na jego szyi.

- Puść go - powiedziałam.

- Bo co? Ugryziesz mnie? Wypijesz mi krew? - Chad skrzywił się z nieskrywanym obrzydzeniem

i to było dla mnie lepszym dowodem niż jakakolwiek próba jakiej mogłam go poddać.

- Ty nie jesteś wampirem - stwierdziłam.

- Nie, chwała Bogu.

- Ale założę się, że bierzesz udział w eksperymencie - rzekł Neil. - Jesteś w odpowiednim wieku, a poza tym to najbardziej oczywisty powód, dlaczego o nim wiesz. Czym jesteś?

- Półdemonem.

- Przykro mi.

Chad mocniej przytrzymał Neila.

- Myślisz, że chciałbym być krwiopijcą? Cholerne pasożyty, powinny zostać zmiecione z powierzchni ziemi już wieki temu.

- Nie o to mi chodziło. Złożyłem ci kondolencje z powodu twojego statusu jako naukowej porażki. Czyli braku mocy.

Oczy Chada zapłonęły.

- Mam moc, cwaniaczku. Chcesz ją zobaczyć? Zamknął oczy; twarz mu zeszywniała, kiedy się

koncentrował. Zaatakowałam. Wytrąciłam mu pistolet z ręki i uwolniłam Neila. Pistolet poleciał w krzaki. Chad i ja padliśmy na ziemię. Chwytał mnie za ramiona. Poczułam jego dłonie przez koszulkę; poczułam, jak się rozgrzewają i w powietrzu rozszedł się zapach palonego materiału. Ale to było wszystko. To miała być moc? Smutne.

**217**

Kiedy Chad się na mnie rzucił, kopnęłam go, posyłając na ziemię, a sama zerwałam się na nogi. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Chad zerknął na Neila, który się nie ruszył.

- Pozwalasz, żeby dziewczyna za ciebie walczyła? - spytał ze złośliwym uśmiechem.

- Wygląda na to, że ma sytuację pod kontrolą.

- Tchórz.

Neil wzruszył ramionami.

Chad zamachnął się pięścią. Chwyciłam go za rękę i znów go przerzuciłam. Zerwał się i zaatakował. Kopnięciem cisnęłam go na pień drzewa. Podniósł się chwiejnie, potrząsając głową, jakby był przymulony, ale znów rzucił się na mnie. Odwróciłam się, by zejść mu z drogi, ale chwycił mnie za rękę i przewrócił szarpnięciem. Tym razem ja przywitałam się z drzewem.

- Potrzebujesz pomocy?! - zawołał Neil, kiedy się otrząsnęłam.

- Nie - odparłam.

Chad i ja przewalczyliśmy jeszcze kilka rund. Przewyższałam go umiejętnościami - mam czarny pas drugiego stopnia w aikido i brązowy pas w karate - po treningu samoobrony, przy którym upierała się Marguerite. On miał masę i spore doświadczenie w prawdziwych bójkach, którego mnie ewidentnie brakowało.

Miałam lekką przewagę, ale nie dość dużą, by zakończyć tę walkę szybko. Tłukliśmy się przez jakieś pięć minut - które rozciągają się do pięćdziesięciu, gdy się walczy - kiedy Chad rzucił mną o ziemię. Leżałam przez chwilę, nie mogąc złapać tchu.

Słyszając stęknienie za sobą, zerwałam się, myśląc, że rzucił się na Neila, ale zobaczyłam, że Chad leży z twarzą w ziemi i ręką wykręconą za plecy. Neil klęczał mu na kręgosłupie.

Chad spróbował go zrzucić. Neil wykręcił jego rękę jeszcze bardziej; tym razem to Chadowi pot popłynął po twarzy. Ale on nie przyjął tego tak grzecznie jak Neil. Charczał i sapał, kiedy Neil ciągnął jego rękę coraz wyżej. Wreszcie przestał się szamotać.

- Pewnie nie powiesz nam niczego użytecznego - rzucił Neil.

Chad wypluł potok przekleństw. Neil spojrzał na mnie.

- Czy to brzmi jak nie?

- Raczej tak.

- Myślisz, że coś od niego wyciągniemy?

- Nic przydatnego - odparłam. - Zresztą, chyba możemy się domyślić, jak to było. Goście, którzy nas złapali, to jego rodzina. Są do niego dość podobni. Ta sama budowa, ta sama karnacja. Wiedzą o eksperymentach, bo on brał w nich udział. Na nasz trop wpadli zapewne tak, jak powiedział, przez kogoś,



z kim byli w kontakcie twoi rodzice i moja opiekunka. Ale zamiast przekazać te informacje Edison Group, pomyśleli, że zarobią, wyłapując nas wszystkich. Tyle że brakuje im dwóch nazwisk, więc zwerbowali juniora, żeby zagrał więźnia i wyciągnął te nazwiska od nas. - Schyliłam się nad Chadem. - Mam rację?

- Idź do diabła. Odwróciłam się do Neila.

- Możemy go spytać, czy skontaktował się już ze swoimi współnikami, ale tak czy inaczej powie, że tak, żeby nas nastraszyć, w nadziei że zwiejemy i go puścimy.

- Masz rację. Niczego z niego nie wydobędziemy. - Neil cofnął się kilka centymetrów; Chad się skrzywił. - Mógłbym go ogłuszyć, ale twoja metoda chyba jest skuteczniejsza.

Słyszając to, Chad znów zaczął się szamotać. Nie przyszło mu z tego nic dobrego. Odrobinę większy nacisk na rękę i zaczął wrzeszczeć. Szybkie ugryzienie w szyję i przestał.

Ale tym razem zmusiłam się, żeby przerwać, kiedy tylko krew wypełniła mi usta.

- Jesteś głodna - powiedział Neil, kiedy wstałam znad ciała nieprzytomnego Chada. - Powinnaś wypić więcej. Jeśli ta książka mówi prawdę, po prostu obudzi się osłabiony jak po wizycie w punkcie

krwiodawstwa. Poza tym zasłużył sobie. I nie ma sensu rezygnować z darmowego posiłku.

Ile razy Marguerite nasłuchiwała się ode mnie za to, że zrezygnowała z okazji do jedzenia? Ile razy trułam jej, że próbuje ukrywać się z jedzeniem przede mną? Przewracałam oczami i mówiłam, że zachowuje się głupio. Musiała jeść i ja to rozumiałam. To zupełnie jak oddawanie krwi dla ratowania życia -jej życia.

Łatwo się mówi, kiedy jest się po drugiej stronie. Ale teraz, kiedy kucalam nad nieprzytomnym dzieciakiem, nawet taką gnidą jak Chad, na oczach innego chłopaka, chłopaka, który nie był palantem, i któremu może nawet chciałam zaimponować...

- Nie trzeba - powiedziałam, wstając.

- Katiano...

- Ja się nie odżywiam w ten sposób. Kupuję posiłki z banku krwi.

Zmarszczył brwi.

- W pamiętniku jest napisane, że wampiry potrzebują świeżej...

- Moja opiekunka jeszcze nie chce, żebym polowała.

- Okej, ale jego nie upolowałaś, więc... Znaczy, jeśli nie chcesz, spoko. Po prostu wtedy, wcześniej, wyglądało mi na to, że chciałaś... - Zaczerwienił się. - Przepraszam. Już się zamykam.

**221**

Ukląkł obok Chada i zaczął szukać w jego ubraniu telefonu. Miał trochę racji. Chad zasługiwał, żeby po przebudzeniu czuć się gównianie. A poza tym przecież chciałam, tak? Nie wypić jeden łyk, jak z tamtego faceta, ale zjeść pełny posiłek prosto ze źródła i zobaczyć, czy jest jakaś różnica. Zobaczyć, czy przestanie mnie nosić.

Ale nie mogłam. Nie wiem, czy powstrzymywała mnie myśl o pozywianiu się kimś znajomym, czy po prostu nie mogłam tego zrobić przy Neilu. Chciałam - Boże, strasznie chciałam - ale nie mogłam. Kiedy spojrzałam na Neila, trzymał w dłoni swoje okulary. Wyglądało na to, że padły ofiarą mojej bójki z Chadem i zostały podeptane.

- Wiedziałem, że powinienem założyć szkła kontaktowe - mruknął, siląc się na uśmiech.

Przeciągnął dłonią po włosach, odgarniając je z twarzy. Mrużył oczy i mrugał. Brak okularów nie przemienił go czarodziejsko w boga seksu. Po prostu trochę mniej wyglądał na gościa, którego należy posadzić za komputerem, a trochę bardziej na takiego, który potrafi po mistrzowsku znokautować i unieruchomić osiłka. Ale był całkiem całkiem - w okularach czy bez.

Odrzuciłam tę myśl. To naprawdę nie był odpowiedni moment.

- Widzisz coś? - spytałam.

- Wystarczająco. - Rzucił okulary na bok, odszukał pistolet i mi go podał.
  - Ale lepiej ty się tym zaopiekuj.
  - A możesz strzelać? Wzruszył ramionami.
  - Jasne, ale...
  - Dasz radę unikać strzelania do postaci z brązowymi włosami, w dżinsach, dżinsowej kurtce i -spojrzałam na swoje stopy - brudnych białych adidasach?
- Prawdziwy uśmiech.
- Dam.
  - To zatrzymaj pistolet. Ja nie mam pojęcia, jak go używać. Teraz powinniśmy sprawdzić, czy Chad rzeczywiście ukrył gdzieś komórkę. Marne szanse, że ją znajdziemy, ale i tak musimy wrócić do drogi. Może zorientujemy się, którąś szedł.
- Zorientowaliśmy się. Nie było to trudne. Chad nie był traperem, a my nie musieliśmy być tropicielami, żeby znaleźć zdeptaną ścieżkę w poszyciu. Ruszyłam szlakiem w bok, kiedy zszedł z drogi, żeby schować się w lesie, potem wróciłam po śladach i na końcu ścieżki, pod krzakiem, znalazłam komórkę.
- Myślisz że powinnam coś wiedzieć, zanim jej użyję? - spytałam Neila. - Może trzeba rozbroić jakiś GPS?

- Moje umiejętności techniczne ograniczają się do włączania różnych rzeczy i posługiwania się nimi. Innymi słowy, zero na skali elektromaniaków.

Spojrzałam na niego.

- Ja nie robiłam żadnych założeń. Po prostu spytałam.

- Czyżby w moim głosie było słycać urazę?

- Odrobinę. Smutny uśmiech.

- Przepraszam.

Włączyłam telefon i poczekałam, czy coś się stanie. Potem sprawdziłam połączenia wychodzące. Wykonano jedno dwadzieścia minut temu.

Cholera.

Zanim zadzwoniłam do Marguerite, musiałam zyskać jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy. Neilowi wydawało się, że widział znak na poboczu drogi, którą mieliśmy pójść. Znaleźliśmy ścieżkę prowadzącą z grubsza we właściwym kierunku. Kiedy znaleźliśmy znak obiecujący miasto cztery kilometry dalej, zadzwoniłam do Marguerite. Odebrała po drugim dzwonku, z nieufnym:

- *Allo?*

- Zdażyłaś się stęsknić? - spytałam.

- Katiana! Gdzie ty jesteś? Co się z tobą stało? Nic ci nie jest? Jesteś ranna? Policja zadzwoniła w sprawie samochodu. Wypadku.

Powiedziałam, że

samochód został skradziony, ale szukałam cię wszędzie, dzwoniłam do wszystkich...

- Nic mi nie jest. Porwali mnie tylko łowcy nagród wyłapujący wampiry, które uciekły naukowcom.

Pauza.

- To nie jest zabawne, Kat.

- Myślisz, że żartuję? Chciałabym. Jestem z drugim chłopakiem, którego złapali. Neilem... - Spróbowałam sobie przypomnieć jego nazwisko. - Walshem. Neil Walsh.

- Tak naprawdę to Waller - wtrącił Neil. - Walsh to nazwisko, którego używali moi rodzice, od kiedy wycofali się z eksperymentu.

Marguerite usłyszała to i powiedziała, że owszem, pamięta Neila.

Ostrzegła nas, żebyśmy nie dzwonili do jego rodziców z tego znalezionego telefonu. Jeśli należał do Chada, porywacze mogli sprawdzić billing i numery, pod które dzwoniliśmy. Nie pomyślałam o tym. Neil przyznał jej rację. Umówiliśmy się, że pójdziemy do miasta i przyczaimy się gdzieś, dopóki nie będzie mogła po nas przyjechać.

Wtedy Neil będzie mógł zadzwonić do rodziców z automatu.

Kiedy ruszyliśmy, Neil zaczął się bawić pistoletem; obejrzał go dokładnie, sprawdził, ile jest amunicji, i w końcu powiedział:

**225**

- Jeśli ci goście nas znajdą, może naprawdę będziemy musieli go użyć.
  - Przepraszam za to wcześniej - powiedziałam. - Wtedy, z Chadem. Nie strzeliłabym do ciebie.
  - Musiałaś się przekonać, jak zareagujemy. Chociaż nie spieszy mi się, żeby zostać wampirem, wolę to, niż wrócić do Edison Group. Rodzice opowiadali mi o różnych... rzeczach. - Zakończył tym wymijającym słowem i, zamyślony, wpatrzył się w pistolet. Obrócił go w rękach. - To wygląda na policyjną broń.
  - To jakiś problem?
  - Tylko taki, że być może mamy do czynienia z kimś, kto strzela o wiele lepiej ode mnie.
  - Poradzimy sobie. Jesteś niezłym asem w aikido. A skoro już o tym mowa... Może i gliny lubią sztuki walki, ale niemożliwe, żebyś się tego nauczył na stażu. Jaki masz poziom?
  - Czarny pas.
- Musiałam go pomęczyć, żeby wydobyć coś więcej, ale po chwili trucia o niestandardowej terminologii przyznał, że ma czwarty stopień.
- Serio? Ja dotarłam dopiero do trzeciego. Cholera.
  - Przykro mi. Roześmiałam się.
  - To dlatego nie chciałeś mi powiedzieć? Myślałeś, że będę wkurzona, bo jesteś na wyższym pozio-

mie niż ja? Przynajmniej będę miała do czego dążyć. Nie mogę pozwolić, żeby chłopak mnie pobił.

Wyszczerzyłam zęby, a kiedy to zrobiłam, spojrzął na mnie tak, jakby... nie wiem. Po prostu gapił się na mnie przez moment. Potem szybko odwrócił wzrok i się zaczerwienił.

- Znasz jeszcze jakieś inne sztuki walki? - spytałam.

- Tylko to. Nie jestem szczególnie wysportowany, ale lubię jadać lunch.

- He?

- Kiedy byłem w piątej klasie, przeprowadziliśmy się do nowego miasta i był tam taki jeden chłopak, o głowę wyższy ode mnie. Uznał, że moje kieszonkowe na lunch to dobry sposób na uzupełnienie własnych dochodów.

- I potrzebowałeś sposobu, żeby mu ich nie dać.

- Tak, ale wolę używać głowy niż pięści, więc pomyślałem, że go przechrzęzę, przynosząc sobie lunch z domu. I tak mi zabierał.

Przerzuciłem się na zdrową żywność. Zabierał i tę... i wyrzucał do kosza. Więc mogłem albo upokarzać się, grzebiąc codziennie w śmieciach, albo nauczyć się jakiejś formy samoobrony. Zbadałem temat. Aikido wydawało się odpowiednią dla moich potrzeb i, jak powiedziałaś, jest popularne wśród stróżów porządku, co było dodatkowym plusem.



- Czyżbyś chciał zostać gliniarzem?

Przyjrzał mi się, jakby próbował ocenić, czy się z niego nabijam. To robiło się już wkurzające. Kiedy zobaczył, że pytam poważnie, odparł:

- Detektywem. To moja specjalność: rozwiązywanie problemów.

Zapytał o nasze spotkanie w Nowym Jorku, ale ostrożnie, jakby nie chciał być wścibski. Wyjaśniłam, o co chodzi, i powiedziałam, że powinien porozmawiać z rodzicami i spytać, czy mogliby przyjechać. Może i nie był jeszcze wampirem, ale skoro nie wiedzieli, co go czeka, takie spotkanie mogłoby im sporo wyjaśnić.

- Na pewno się zgodzą - powiedział. - Chcą mi pomóc, a ja uważam, że byłoby miło zostać w kontakcie. - Umilkł na chwilę. - Oczywiście nie oczekuję...

- Odchrząknął. - Rozumiem, że zetknęły nas ze sobą wyłącznie okoliczności i choć bardzo bym chciał pojechać na to spotkanie z tobą, to wiem, że tak naprawdę to nie będzie z tobą.

- Tłumaczenie na angielski poproszę.

Znów odchrząknął, odsuwając na bok niskie gałęzie.

- Oboje znaleźliśmy się w tej sytuacji. Połączyliśmy siły, żeby się z niej wydostać. Ale kiedy już się wydostaniemy... - Przeczesał włosy dłonią. - Nie należę do tych facetów, którzy myślą, że jeśli popu-

larna dziewczyna prosi o pomoc w odrabianiu lekcji, to oznacza, że chce się spotykać po szkole.

- Co to miało znaczyć?

- Chcę po prostu powiedzieć... - Zaciął się, spróbował znów, znów się zaciął i tak kilka razy, aż w końcu spojrzał na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami. - Myślę, że wiesz, co chciałem powiedzieć, Katiano.

- Mam nadzieję, że jednak nie wiem, bo to brzmiało tak, jakbyś sądził, że kiedy już wykorzystam cię do ucieczki, zacznę udawać, że się nie znamy.

- Nie wykorzystowałaś mnie.

- Nieważne. - Odwróciłam się przodem do niego. - Mówisz, że znasz takie dziewczyny jak ja, co ma oznaczać, że niby znasz mnie. Niezłe. I to mówi facet, który cały się zjeżył, kiedy go zapytałam, czy zna się na telefonach komórkowych. Do diabła, ja nawet nie wiem, czy w ogóle jest na świecie ktoś podobny do mnie. Chyba że znasz całe mnóstwo nastoletnich wampirzyc.

- Nie, zdaje się, że ty jesteś pierwsza.

Uśmiechnął się, ale nie kupiłam tego, a już na pewno nie miałam zamiaru odwzajemniać tego uśmiechu.

- Może właśnie w tym problem. Może nie przeszkadza ci to, że jestem jakąś głupią cizią, która potrzebowała twoich podpowiedzi w quizie pod tytułem

„uciekamy złoczyńcom”, ale to, że jestem kimś całkiem innym. Nie jestem do końca pewna, czy chciałbyś się spotykać po szkole z wampirzycą.

- Oczywiście że nie o to chodzi. Ja...

- Denerwujesz się przy mnie. Próbujesz to ukryć, ale nic nie możesz na to poradzić. Rozumiem to. To jest do przewidzenia. Tylko miej jaja i przyznaj się do tego, zamiast ustalać jakieś zasady znajomości postucieczkowej, kiedy nawet jeszcze nie uciekliśmy na dobre.

Otworzył usta. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam dalej szybkim krokiem.

- Katiana! - zawołał tak głośno, jak się odważył.

Szłam dalej; maszerowałam szybko, gałęzie strzelały za moimi plecami. Ruszył za mną, ale po jakiejś minucie jego kroki ucichły. Nie zaskoczyło mnie to wcale.

Nie powinnam go oceniać zbyt surowo. Trudno mieć pretensje do faceta, który nie chce się zaprzyjaźniać z pasożytem. Przynajmniej starał się być miły, czego nie można było powiedzieć o Chadzie, i pewnie nie będzie można powiedzieć o większości ludzi, których spotkam w życiu.

Marguerite miała dwa rodzaje przyjaciół: tymczasowych, którzy nie wiedzieli, kim jest, i inne wampiry. To była po prostu pierwsza lekcja z wielu, jakie czekają mnie w życiu, więc powinnam...

Z tyłu rozległ się wystrzał. Z całą pewnością nie był to odgłos patyka łamiącego się pod stopą. Żołądek podszedł mi do gardła. Odwróciłam się w chwili, kiedy rozległ się kolejny. Coś bzyknęło mi koło ucha. Kula utkwiała w pniu... w miejscu, gdzie sekundę wcześniej była moja głowa. Padłam na ziemię. Natychmiast wiedziałam, że to była błędna decyzja. Kule nie mogą mnie zabić. Ani ołowiane, ani żelazne, ani srebrne polane święconą wodą. Nie chowaj się, głupia. Ruchy!

Na czworakach uciekłam w krzaki, kiedy kolejna kula śmignęła obok mnie.

Kto...? Okej, to było najgłupsze pytanie tygodnia. Kto do mnie strzelał? Gość z pistoletem i na szczęście bez okularów.

Powinnam była wiedzieć. Boże, powinnam była wiedzieć. Chad miał rację. Neil zbyt spokojnie podchodził do całego tego wampiryzmu.

Wszystko było spoko... do chwili, kiedy nagle postanowił, że mu to przeszkadza, i rozgniewał mnie, żebym obrażona poszła w las.

Ale skoro nie był współnikiem porywaczy, to kim był? Czego ode mnie chciał? Czy to miało znaczenie? Nie, kiedy wokół mojej głowy gwizdały kule. Nie chciałam myśleć, w jakim stanie będę musiała czekać, aż mózg mi się zregeneruje, kiedy ten gnojek odstrzeli mi kawałek.

Czołgałam się po ziemi tak cicho, jak mogłam. Strzały ucichły. Zapadła cisza; widocznie nasłuchiwał, gdzie jestem.

Wychowano mnie, żebym umiała stawiać czoła takim sytuacjom. To smutne, ale wiem, jak być przygotowaną na życie pełne kul, łowców nagród i bezprawnego ograniczania wolności. Ale Marguerite zdawała sobie sprawę, co mnie czeka, i nieprzygotowanie mnie na to byłoby takim samym zaniedbaniem jak nieku-pienie mi ciepłej kurtki na zimę w Montrealu.

Mimo szkolenia ze sztuk walki przede wszystkim wbiła mi do głowy jedno: walka to ostatnia deska ratunku. Kiedy tylko to możliwe, uciekaj. Ale ten jeden raz nie miałam zamiaru usłuchać jej rad.

Dałam się oszukać Chadowi. Zaślepiła mnie rozpaczliwa potrzeba akceptacji, pragnienie przyjaźni tych chłopaków, którzy wiedzieli, kim jestem. Więc w jego przypadku przegapiłam sygnały ostrzegawcze, a teraz, co gorsza, przegapiłam je u Neila. Nie miałam zamiaru pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

Więc zatoczyłam koło, wracając w miejsce, z którego słyszałam strzały. Po kilku minutach usłyszałam szept. Neil rozmawia przez komórkę? Miałam taką nadzieję, ale kiedy usłyszałam drugi głos, nadzieja się rozwiła.

Jeśli miałam przeciwko sobie nie tylko Neila, powinnam uciekać. Ale najpierw musiałam na nich

zerknąć. Musiałam wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Kiedy byłam już dość blisko, żeby widzieć ich sylwetki, znalazłam odpowiednie drzewo i wspięłam się na nie. Jestem w tym dobra. Kiedyś myślałam, że zostanę kotołakiem - stąd moje przezwisko. Oczywiście nic z tego nie wyszło, ale w dalszym ciągu cholernie dobrze się wspinam.

Weszłam na tyle wysoko, by czuć się bezpiecznie, po czym przepęłzałam bliżej końca gałęzi, aż zobaczyłam trzy postacie. Dwóch mężczyzn, których nie rozpoznawałam, i Neila. Rozmawiali z nim. Wyteżyłam słuch. Kiedy nic nie usłyszałam, przesunęłam się kawałeczek dalej. I jeszcze kawałeczek.

Gałąź zaskrzypiała. Znieruchomiałam. Neil uniósł wzrok. Nasze oczy się spotkały. Zaklął.

- Co? - powiedział jeden z tych gości.

- A jak myślisz? - powiedział Neil, szybko odwracając oczy. -

Powiedziałem, że ją postrzeliłeś. Na pewno pobiegła po pomoc. - Zerknął w moją stronę i powtórzył głośniejszym głosem: - Pobiegła po pomoc!

Odwrócił się i zobaczyłam, że ma związane ręce.

No cóż, to zmieniało postać rzeczy. Chociaż miałam ogromną ochotę spaść na nich jak jastrząb, uratować go i zostać bohaterką, to nie byłam idiotką. Dwóch uzbrojonych facetów przeciwko jednej szesnastolatce?

Czarne pasy czarnymi pasami, ale

miałam za małe szanse na zwycięstwo, żeby ryzykować. Lepiej ściągnąć Marguerite do pomocy.

Zaczęłam się cofać po gałęzi. Zaskrzypiała... i tym razem oba zbiry to usłyszały.

Lufa zwróciła się w moją stronę. Przeskoczyłam na sąsiednie drzewo. Udało mi się chwycić gałąź. Ale kiedy zawisłam na niej całym ciężarem, złamała się z potwornym trzaskiem.

Spadłam prosto na jednego z porywaczy. Przewrócił się; ja byłam na górze. Neil kopnął drugiego od tyłu w kolana. Facet zachwiał się i poleciał do tyłu, kiedy potężny kopniak wylądował na jego szczęcie. Mój przeciwnik padł dość łatwo, ale nie zamierzał leżeć spokojnie.

Poturlaliśmy się po ziemi - on próbował chwycić pistolet, a ja zatopić mu kły w szyi -i udało się nam obojgu, niemal w tej samej chwili. Jego broń była szybsza. Moja była bardziej przerażająca i kiedy kły wbiły się w jego skórę, spanikował, wystrzelił na oślep. Kula śmignęła koło mojego ramienia. Więcej razy nie zdążył strzelić.

Neil miał jeszcze większe kłopoty ze swoim przeciwnikiem. Tak to bywa, kiedy ma się ręce związane za plecami. Przejęłam sprawę. To była krótka walka. Wystarczyło, że błysnęłam kłami ociekającymi krwią i facet zareagował, jakby zobaczył gigantycznego tygrysa z paszczą dość wielką, by odgryźć mu rękę.

Zaczął się cofać. Neil wykopał mu pistolet z dłoni. Skoczyłam „na niego.  
*Game over.*

Kiedy podniosłam się znad uspokojonego gościa, Neil spytał cicho:

- Dlaczego?

- Bo to gnoje - odparłam, podchodząc, żeby go rozwiązać. - Pazerne gnoje.

- Nie o to mi chodziło.

Posłał mi spojrzenie, które mówiło, że na pewno wiem, co miał na myśli: dlaczego nie napiłam się krwi?

Spojrzałam na nieprzytomnego mężczyznę. No właśnie, dlaczego? Oto leżała przede mną ostatnia szansa sprawdzenia, czy poczuję się inaczej. Z Cha-dem mogłam sobie wmawiać, że nie podoba mi się pomysł pożywania się kimś, kogo znam. Ze nie podoba mi się idea takiej zemsty. Chociaż tak naprawdę nie podobało mi się to, że wyszłabym na krwiopijczego potwora, za jakiego mnie uważał.

Ale dlaczego nie ci dwaj? Bo nie chciałam, żeby Neil to widział? Przez tych kilka minut, kiedy myślałam, że mnie zdradził, zrozumiałam, jak bardzo chciałam, żeby nie miał nic przeciwko mnie, przeciwko mojej naturze. Jak bardzo chciałam, żeby ktoś w moim wieku powiedział: „Wiem, kim jesteś i mam to w nosie”.

**62**



Tak miałam teraz żyć? Wstydząc się tego, czym jestem? Czując potrzebę ukrywania tego, co najbrzydsze, nawet przed kimś, kto znał prawdę? Nie. Wciąż byłam tą samą osobą, co zawsze, i jeśli ludzie tacy jak Neil nie potrafili sobie poradzić z paskudnymi aspektami mojego nowego życia, nic nie mogłam z tym zrobić. I nie powinnam nic robić. To, co mnie spotkało, nie było z mojej winy.

- Powinnam - powiedziałam.

- Tak, powinnaś.

- Czy mógłbyś...? - Odchrząknęłam. - Czy mógłbyś się przyglądać? To znaczy, nie temu, co robię, ale jemu. Czy wszystko z nim w porządku. Mógłbyś dopilnować, żebym... nie przesadziła?

- Dobry pomysł.

Uklęknęłam nad gościem i przesunęłam się tak, żeby Neil mógł monitorować jego oznaki życia, jednocześnie nie widząc, jak piję. Było to niewygodne. I głupie. Ale kiedy tylko zaczęłam pić, zapomniałam o tym. Wszystkie te szklanki podgrzewanej krwi były jak wczorajsze pączki. To było to, na co miałam ochotę. Czego potrzebowałam. To nie był tylko posiłek. To było... Nie wiem, jak to opisać. Jak jedzenie najlepszego posiłku na świecie, w najwygodniejszym fotelu, przy ulubionej muzyce. Byłam tym tak pochłonięta, że przestałam być ostrożna. Ten człowiek pode mną nie był człowie-

kiem. Nie był nawet posiłkiem. Przestał istnieć. Porwało mnie te. odczucie, a kiedy wreszcie odpłynęło i zdałam sobie sprawę, co robię, odskoczyłam tak szybko, że krew trysnęła z jego tętnicy.

- Zamknij...! - zaczął Neil.

Schyliłam się i polizałam ranę. Pod językiem poczułam jego silny puls. Posłuchałam jego oddechu i uniosłam mu powieki, kiedy Neil powiedział:

- Jest okej, Katiano. Obserwowałem go. Nic mu nie będzie.

Czułam się, jakbym piła godzinami, ale gość nawet nie zbladł.

Odetchnęłam z ulgą.

- Lepiej? - spytał Neil.

Kiwnęłam głową, po czym otarłam usta i sprawdziłam, czy kły się schowały.

Neil kucnął przede mną, by mieć twarz na wysokości mojej twarzy.

- Jeśli chodzi o to, co mówiłem wcześniej, to nie chciałem cię wkurzyć.

Tylko... - Roztarł kark. - Byłem kiedyś takim chłopakiem. Takim, który myśli, że jeśli dziewczyna jest miła i prosi o pomoc w lekcjach, to coś znaczy. Sparzyłem się, a nie lubię bólu, więc teraz z miejsca mówię nie. Spojrzałam mu w oczy.

- Pewnie przegapiłeś w ten sposób wiele dziewczyn, które naprawdę chciały cię lepiej poznać.

- Może.

- Prawdopodobnie.

Spuścił wzrok i zaczerwienił się, a ja zobaczyłam tę krew napływającą mu do twarzy, zobaczyłam pulsowanie na jego szyi, przyspieszone od gwałtownego bicia serca, i poczułam ochotę, żeby się do niego pochylić. Ale nie po to, żeby go ugryźć. Teraz nie czułam niczego takiego. Nie widziałam jedzenia. Nie czułam jedzenia. Widziałam Neila i myślałam tylko o tym, żeby zbliżyć się do niego i go pocałować.

Nie zrobiłam tego. O, zrobiłabym, gdyby pora była odpowiednia, ale nie była. W tej chwili liczyło się tylko to, że patrzyłam na niego i widziałam przystojnego gościa, i czułam to samo, co czułabym sześć miesięcy temu. Kiedy się uśmiechnęłam, spytał:

- Co?

- Nic - odpowiedziałam i podniosłam się; zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek innego, drogą przejechał samochód.

- Myślisz, że to nasza podwózka? - spytałam.

- Mam nadzieję.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Ruszyłam biegiem i dotarłam na brzeg lasu w samą

porę, by zobaczyć przejeżdżający samochód z wypożyczalni, ze znajomą blond głową za kierowcą. Wetknęłam palce do ust i zagwizdałam.

Błysnęły świa-

tła stopu, potem zapaliły się światła wstecznego biegu i samochód z piskiem ruszył do tyłu.

Marguerite wyskoczyła, ledwie zdążyła go zatrzymać. Podbiegła i uściskała mnie tak mocno, że, przysięgam, zatrzeszczały mi zębra.

- Aj! - Wyrwałam się z jej objęć. - Całe szczęście, że nie muszę oddychać.

- Nic ci nie jest? Co oni ci zrobili? Jesteś ranna?

- Jestem wampirem, Mags. Nie mogę być ranna. - Machnęłam na Neila wychodzącego z krzaków. - Ale jeśli bardzo chcesz komuś matkować, to on występuje dzisiaj w moim zastępstwie.

- *Allo*, Neil - przywitała go. - Na pewno mnie nie pamiętasz, ale poznaliśmy się wiele lat temu.

- Świetnie - rzuciłam. - Nie muszę was przedstawiać. Zaprosiłam Neila i jego rodziców, żeby pojechali z nami do Nowego Jorku. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Ależ skąd. Jeśli tylko ma ochotę.

Neil zerknął na mnie i znów na Marguerite.

- Mam ochotę.

- Więc wszystko ustalone - powiedziałam. - Wy możecie sobie pogadać i nadrobić stracony czas, a ja zawiozę nas do najbliższego automatu.

- Nigdzie nas nie zawieszysz, *mon chaton*. Jeszcze długo nie pozwolę ci prowadzić.

Kiedy doszliśmy do samochodu, obejrzałam się w stronę polany, na której zostawiliśmy dwóch łowców nagród. Na której po raz pierwszy pożywiłam się jak prawdziwy wampir.

- Jest w porządku - szepnął Neil, kiedy usiedliśmy z tyłu.

Kiwnęłam głową i się uśmiechnęłam. Jeszcze nie do końca było w porządku, ale wiedziałam, że będzie. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy byłam tego pewna.

*Block Lia Francesca*

**Pocałunki z piekła 5**

*Lilith*

*Świstaki natkną się na hieny i fauny będą się wzajemnie nawoływać, tylko upiór nocny będzie tam odpoczywał i znajdzie dla siebie schronienie.*

***Księga Izajasza 34,14***

## LILITH

Paul Michael zawsze chciał uciec. Człapał korytarzem ze zwisającymi rękami, zgarbiony pod ciężarem plecaka. Nie umył dziś włosów, więc były tłuste - strąki opadały mu na twarz - i niektóre dziewczyny na matematyce marudziły coś na temat jego zapachu. Czasami celowo nie brał prysznicza tylko po to, żeby zobaczyć, jak się wiją. Naprawdę go nie obchodziło, co o nim myślą: Śnił na jawie o planecie, którą sobie wymyślił. Trellibrium, gdzie potężny Norser walczył z siłami złego Kaligullo, by ratować księżniczkę Namalie Galamarę. W głowie Paula Michaela lśniły przepiękne światła. Nie potrzebował tych dzieciaków, tej szkoły. Miał coś lepszego.

Ale nie zawsze mu to wystarczało. Czasami Paul Michael czuł się samotny. Chciał mieć kogoś, z kim mógłby dzielić się tym innym światem. Chciał mieć dziewczynę.

Chciał też, gdyby tamto nie wypaliło, opuścić tę planetę. Bo była do chrzanu.

Lilith, nowa w szkole, szła korytarzem w jego stronę. Jej kroki były trochę niepewne, jakby stopy były za małe w stosunku do reszty ciała. Paul Michael zauważył to, bo patrzył w ziemię. Nosila czarne wysokie buty i ich obcasy stukały lekko o brązowe linoleum w błyszczące ciapki. Widział też jej nogi, które były długie, i jej biodra, które kołysały się z gracją, trochę drapieźnie.

Lilith nie była podobna do żadnej z dziewczyn w szkole, myślał Paul Michael. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła. Miała czarne włosy i ciemne oczy okolone gęstymi rzęsami. Miała małe, sterczące piersi - ale nie chodziło tylko o to, że była piękna. Nie obchodziło jej, co myślą o niej inni. Na słońcu zawsze nosiła wielki kapelusz i chowała skórę pod czarnymi ciuchami. Nie zadawała się z nikim; siadywała samotnie na ławce i brzdąkała na gitarze. Jeździła wielkim, starym czarnym mercedesem i chodziły plotki, że w nim mieszka. Była dziwna, wiedziała o tym i była z tego dumna. Paul Michael wierzył, że gdyby kiedykolwiek miał okazję pogadać z nią o Trellibrium, nie wyśmiałaby go, nie przewracałaby oczami, nie odeszłaby, ale mogłaby być naprawdę zainteresowana. Mogłaby naprawdę słuchać.

**3**



*Paul Michael.*

Usłyszał swoje imię, ale nie tak naprawdę. Zabrzmiało tylko w jego głowie. Wypowiedział je jej głos, który rozpoznał, bo słyszał go w zeszłym tygodniu, kiedy natknął się na nią w gabinecie dyrektora, kiedy oboje wysłuchiwali uwag za to czy tamto. To był głos Lilith. Jakby przemówiła do niego telepatycznie, tak jak mieszkańcy Trellibrium.

Paul Michael zatrzymał się i sięgnął do medalika, który nosił na szyi. Były na nim wygrawerowane trzy archanioły. Dała mu go matka.

- Żeby cię chronił przed złymi duchami - powiedziała.

Paul Michael szarpnął za łańcuszek tak mocno, że go zerwał. Wyrzucił medalik do kosza. Potem zdjął okulary, udając, że po prostu musi przetrzeć oczy, i gdy spojrzał w górę, napotkał spojrzenie Lilith. Rzuciła mu uśmiech, jak rzuca się kość psu. Widać było jej ostre siekacze, a jej wargi były takie, jakich nie widuje się w Nigdzie, chyba że w supermarkecie na okładce „People”, z jakąś gwiazdą filmową.

*Kiedyś*, powiedział jej głos w jego głowie, zanim odeszła.

Paul Michael i jego matka mieszkali w małym domku z płyty pilśniowej, z kaktusem w ogródku.

Matka była pielęgniarzką w miejscowym szpitalu i pracowała

głównie po nocach. Była tak dobra w opiekowaniu się innymi, że nikomu nie przyszło do głowy zastanowić się, czy wystarczająco dobrze opiekuje się własnym synem. Paul Michael jest dziwny; wiedział, że taka panuje powszechna opinia na jego temat. Ona robi, co w jej mocy, ale on po prostu jest dziwny. Może ma to po ojcu, spekulowali sąsiedzi. Chodziły plotki, że to był jakiś satanista i ćpun, który zostawił jego matkę, kiedy była w ciąży. Pewnie siedzi gdzieś w więzieniu, mówili. A jego diabelskie nasienie pewnie wyrośnie na takiego samego odmieńca. Biedna matka, mówili. Paul Michael włókł się rozpaloną drogą do szkoły. Dni były długie i gorące, ale on spędzał je na planecie Trellibrium. Teraz marzył także o Lilith. Może ją później zobaczy. W przerwie na lunch siedział przed szkołą, udając, że pisze w notesie coś o Trellibrium, ale tak naprawdę obserwował Lilith. Siedziała po turecku pod jednym z nielicznych drzew jacaranda, które przeszczepiono do kampusu, ubrana, mimo upału, w czarną tunikę z golfem, legginsy i kozaki, i grała na gitarze. Była w tych ciuchach tak wyluzowana, jakby temperatura była o trzydzieści stopni niższa. Ciemne włosy opadały jej na twarz, więc tak naprawdę Paul Michael widział tylko jej mały, ostry podbródek, jej pełne wargi i fragment bladego policzka. Jej palce,

z obgryzionymi, pomalowanymi złuszczonecznym czarnym lakierem paznokciami, wydawały się dziwnie długie na strunach gitary i Paul Michael wyobrażał sobie, że dotykają jego. Po raz pierwszy od kilku tygodni starannie umył włosy i użył dezodorantu. Włożył nawet świeżą koszulkę.

Minęli go Carter i Kirk; Carter splunął na ziemię tuż obok buta Paula Michaela. Odrobina śliny poleciała w bok i zaślśniła na zdartej, brązowej skórze.

- Dobrze wyglądasz, stary. Umyłeś się - powiedział Carter.

Kirk parsknął.

- Nie czuję go.

- Masz dziewczynę czy co?

Paul Michael notował wściekle w notesie - bazgrał bezsensowne słowa drobnym, nieczytelnym pismem. Na Trellibrium księżniczka Namalie Gala-mara została porwana przez złych Farmatronów. Carter i Kirk nie odchodzili. Byli niżsi od niego, ale Paul Michael wiedział, że mogliby mu rozkwasić gębę, gdyby tylko chcieli. Zmusił się, żeby podnieść wzrok i zobaczył, że Lilith na niego patrzy. Niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Czy tylko mu się zdawało? Jego serce zabiło żywiej, pompując krew w żyły.

Czyżby...?

Tak.

**6**

Lilith stała. Zdjęła gitarę z ramienia i odłożyła ją na trawę. Włożyła czarny kapelusz i ciemne okulary. Szła w ich stronę. Carter i Kirk spojrzeli po sobie, roześmiali się nerwowo. Lilith wciąż szła tym swoim niepewnym krokiem, w czarnych zamszowych kozakach. Stała przed chłopakami. Carter i Kirk odsunęli się od niej. Przeciągnęła palcami po głowie Paula Michaela, chwyciła długie kosmyki w palce i delikatnie pociągnęła, tak że jego głowa odchyliła się do tyłu i musiał na nią spojrzeć. Jego oczy były niebieskie, ze źrenicami jak szpilki, a jej bardzo, bardzo ciemne, drapieżne. Mięsożerne, pomyślał Paul Michael. Ona ma oczy mięsożercy. Czarne księżycy. Na Trellibrium Norser przygotowywał się, by ruszyć Namalie na ratunek. *Przyjdę po ciebie, powiedziała Lilith. Już niedługo.* I dodała: *Nie musisz się bać.* Tak naprawdę nie słyszał jej głosu, ale odebrał telepatyczny komunikat; tak samo Namalie „rozmawiała” z Norserem. Paul Michael poczuł pod palcami przeszczepioną trawę i pociągnął łądyżki, tak jak Lilith pociągnęła jego włosy. Ta trawa i tak uschnie. W ogóle nie powinno jej tu być.

Paul Michael leżał w łóżku, w ciemności. Zasnął, myśląc o Lilith. Uciekła po tym, jak pociągnęła go za włosy, i nie miał już okazji z nią porozmawiać.

- Wejdz - powiedział głośno przez sen. To było u niego normalne, że gadał we śnie, a nawet czasem wstawał i chodził. Kiedyś matka zobaczyła go nagiego u stóp swojego łóżka; podobno patrzył na nią w taki sposób, że krew ścięła jej się w żyłach. Więc dała mu ten medalik z archaniołami i zaczęła na noc zamykać swoją sypialnię na klucz.

Poczuł ucisk na piersi i otworzył oczy, gwałtownie chwytając powietrze.

Lilith siedziała na jego klatce piersiowej, oparta stopami o łóżko, z łokciami na kolanach i podbródkiem opartym na dłoniach. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział jej skóry. Była tak biała, że niemal świeciła niebieskawo. Miała długą szyję, długie, smukłe palce i delikatne obojczyki, które wyglądały jak ptak w locie. Jej czarne oczy wpatrywały się w niego łakomie, zęby były obnażone. Przesunęła ciężar i delikatnie zabębniła w jego jabłko Adama długimi paznokciami. Pochyliła się nad nim i zaczęła się kiwać tak, że jej czarne włosy pogłaskały go po twarzy.

**8**

Paul Michael z trudem oddychał. Próbował się ruszyć, ale przygwoździła go skutecznie. Chwytał jej nogi, skóra jej łydek była chłodna, pokryta małymi grudkami. Przeciągnął palcami w dół i poczuł jej stopy po obu swoich bokach. Były jeszcze zimniej-sze i gumowate. Między palcami było coś, co przypominało błonę.

- Kim ty jesteś? - spytał Paul Michael. Miał wrażenie, że przyszła z kosmosu (może z Trellibrium?) żeby go uratować. Wciąż nie bardzo mógł oddychać, ale się nie bał. Nagle zorientował się, że ma wzwód i że mrowią go kończyny. Czuł - co właściwie czuł? Czuł się szczęściarzem. Czuł się wybrany.

- A co ci się najbardziej podoba? - spytała Li-lith. - Chcesz królowej? Pięknej Dziewicy? Demona Burzy? Demona Wiatru? Sukuba? Ty mi powiedz.

- Jesteś boginią - szepnął, a ona pochyliła się i przycisnęła zęby do żyły w jego szyi i zaczęła ssać, mocno i słodko, aż skóra pękła i pojawiła się kropelka krwi.

Wampir? - pomyślał Paul Michael. Ale nie taki wampir jak te z książek, które dziewczyny noszą do szkoły jak Bible.

- Tym razem wypiję tylko troszeczkę - obiecała. -I ty też wypijesz tylko troszeczkę. Potem zrobimy to znowu. - Umilkła i otarła krew z ust. - Może w ten weekend, na imprezie u Kirka?

**250**

Paul Michael zamknął oczy. Kiedy obudził się następnego ranka, w jego łóżku było kilka czarnych piór, a na prześcieradle i na jego ustach krew.

Postanowił iść na imprezę, chociaż była u Kirka. Paul Michael musiał się zobaczyć z Lilith. A po tamtej nocy czuł się inny - odważniejszy, obdarzony większą intuicją. Czy to ona mu to zrobiła? Czy wampiry to potrafią? Próbował sobie przypomnieć, co czytał o nich w komiksach i widział w horrorach. Tak sądził...

Impreza odbywała się na ranczu z basenem, w którym dzieciaki taplały się skąpane turkusowym światłem. Paul Michael nalał sobie piwa z kega i rozejrzał się, szukając Lilith. Zobaczył tylko Cartera i Kirka.

- Popatrz, kto wpadł na bibkę! - powiedział Kirk.

- Pewnie szuka swojej dziewczyny - dodał Carter, i Kirk zachichotał. - Grubas naprawdę się doszorował. I chyba nawet zgubił trochę brzucha. - Carter walnął gaula Michaela w brzuch grzbietem dłoni i Paul Michael zgiął się wpół, kiedy przeszył go ból. Rzeczywiście schudł. Ledwie mógł jeść, od kiedy

Lilith przyszła do jego pokoju, ale wcale nie czuł się głodny ani osłabiony. Wręcz przeciwnie, czuł się silny, dopóki Carter go nie walnął. Ta siła była jej zasługą, Paul Michael był tego pewny - wszystko jedno, czy była wampirem, czy nie.

Przez chwilę pożałował, że nie ma archaniołów na medaliku od matki, ale w przeszłości niewiele mu pomogły. Pomagała mu tylko Lilith. Może i ugryzła go jak wampir, ale była istotą najbliższą aniołom, jaką widział w życiu, w swojej głowie czy na jawie.

Stała koło przesuwanych szklanych drzwi przy basenie; romby i paski światła drżały na jej skórze.

Miała na sobie tylko cienką czarną, satynową sukienkę, która bardziej przypominała halkę, i oczywiście kozaki. Poczul dreszcz pożądania, bo był jedynym człowiekiem na tej imprezie, był tego pewien, który wiedział, co jest pod tymi butami. Dla niego to nie było obrzydliwe. Znał ją w tak intymny sposób. Znał jej tajemnicę.

Carter zobaczył, że Paul Michael i Lilith patrzą na siebie. Powiedział do Paula Michaela:

- Wiesz, skąd się wzięło słowo frik? Musisz wiedzieć, nie? Friku?

Kirk roześmiał się, zapluwając sobie piwem przód koszuli.

Carter pstryknął na Kirka palcami, nie patrząc na niego.



- Idź po to - powiedział.

Kirk oddalił się biegiem i wrócił z workiem. Worek wydawał gdaczące dźwięki i wiercił się. Kirk otworzył worek i podał Carterowi kurczaka. Ptak przerażony bił skrzydłami i próbował się wyrwać. Carter chwycił go za szyję.

- Co znaczy frik, Kirk? - spytał tonem zwariowanego nauczyciela.

- To znaczy ktoś, kto odgryza głowy żywym kurczakom - odparł posłusznie Kirk. Stał za Pauliem Michaeliem i chwycił go za rękę. Paul Michael zaczął się szamotać, ale Kirk był silniejszy, niż na to wyglądał. Jego żylaste ręce trzymały mocno.

Paul Michael pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Chciał spojrzeć na Lilith, ale nie odrywał wzroku od podłogi. Kirk szarpnął go do tyłu, aż spadły mu okulary. Leżały obok adidasa Cartera i czekały, aż je zgniecie.

Carter przytrzymał kurczaka przed twarzą Paula Michaela, tak blisko, że czuł jego zapach; pióra ptaka trzepotały mu po twarzy. Próbował się odsunąć, ale Kirk wciąż trzymał mocno.

- Gryź - powiedział Carter. Sięgnął do kieszeni wolną ręką i wyjął scyzoryk. Przyłożył go do szyi Paula Michaela. Kilka osób zebrało się dookoła, śmiejąc się nerwowo.

Trudno było powiedzieć, czy to był kurczak, czy coś innego, ale Paul Michael poczuł, że coś sfrunęło

z góry, drapiąc mu twarz, i nagle Lilith stała tuż obok. Ktoś wrzasnął.

- Nie masz pojęcia - powiedziała głosem o wiele głębszym i niższym niż cokolwiek, co mogło wyjść z gardła siedemnastoletniej dziewczyny - jak wielkie są moje usta. Mogłabym ci odgryźć głowę jednym kłapnięciem.

Wyrwała nóż z dłoni Cartera tak szybko i z taką siłą, że cofnął się, a ptak wypadł mu z ręki i zaczął trzepotać się na ziemi.

Paul Michael wyrwał się Kirkowi; Lilith chwyciła go za rękę i zaczęła biec. Paul Michael usłyszał ciche chrupnięcie, kiedy okulary pękły pod jego butem.

Zdawało mu się, że biegną bardzo długo, ale Paul Michael nie był zmęczony. Pomyślał, że naprawdę robi się silniejszy. To było prawie jak latanie.

Kiedy dotarli do szosy, chciał przejść na drugą stronę, ale Lilith przyciągnęła go do siebie. Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, ale w tej chwili z rykiem przemknął obok nich samochód; z wariacką szybkością wyskoczył zza zakrętu jakby znikąd. Jego reflektory przez chwilę oświetlały Lilith.

- Rozglądaj się na obie strony - powiedziała. Była taka piękna, myślał. Zrobiłby dla niej wszystko.

**13**

Przeszli przez jezdnię. Wzdłuż drogi biegło koryto wyschniętego strumienia; obok niego stał zaparkowany stary czarny mercedes. Przeszli pod siatkowym ogrodzeniem i Lilith poprowadziła go na dno strumienia. Koryto zwykle było pełne wody z gór -jedeny dowód w Nigdzie, że ośnieżone szczyty na horyzoncie są prawdziwe. Położyli się tam, wśród rzecznych kamieni, w kurzu, i zapatrzili w gwiazdy na niebie.

- Dlaczego chciałaś iść na tę imprezę? - spytał. Roześmiała się. Niemal wstydliwie.

- Patrzenie, jak zachowują się te gnojki, jest prawie jak gra wstępna.

Wyjął z jej dłoni scyzoryk Cartera. Ścisnęła go przez cały czas.

- Co ty robisz? - spytała cicho, z uśmiechem.

Uniósł włosy - pomyślał, że będzie musiał je obciąć, bo jej przeszkadzały - i odsłonił przed nią ścięgnięty szyi. Potem przyłożył nóż do swojego gardła. Roześmiała się.

- Nie potrzebuję tego, głuptasie - wyjaśniła. Oczywiście, pomyślał Paul Michael. Głupek. Wiesz, co to są zęby, Paulu Michaelu?

Kiedy odsunęła się od niego, jego szyja pulsowała, a jej usta w ciemności były czarne od krwi.

- Twoja kolej - powiedziała.

**255**

był jeszcze tylko jeden raz. Obudził się w środku nocy, wiedząc, że musi do niej iść. Wszedł pod prysznic i szorstką myjką szorował skórę, aż go rozbolała. Wyszedł z kabiny, owinał biodra ręcznikiem, ogolił się. Potem wziął nożyczki i ściał wszystkie mokre włosy tuż przy skórze, a resztę zgolił maszynką jednorazową. Na czaszce zostało kilka skaleczeń, które osuszył kawałkami papieru toaletowego. Włożył biały podkoszulek i levisy. Dżinsy były luźne - schudł. Nie założył okularów. Były połamane, przepadły, zostały wdeptane w ziemię, a poza tym nie potrzebował ich. Paul Michael wyszedł z domu i zaczął biec. Nagle zdał sobie sprawę, że może za dużo czasu stracił na przygotowania.

Znalazł jej starego mercedesa przy łożysku strumienia. Niedaleko stały rowery Cartera i Kirka, a bagażnik auta był otwarty.

Paul Michael podszedł cicho, zdumiony, jakie lekkie i bezgłośnie stały się jego kroki, i zobaczył, co się dzieje. Carter i Kirk stali pochyleni nad bagażnikiem. Widział wewnątrz nad ich ramionami - jego wzrok, nawet po ciemku i bez okularów, był teraz doskonały. Gapili się na jej nogi i stopy - gołe. Paul Michael czuł ich spojrzenia na tych dziwnych no-

gach i stopach, jakby dokonywały gwałtu. Wyjął z kieszeni .syczoryk, chwycił Cartera za kołnierz i odciągnął jego głowę do tyłu, odsłaniając mu szyję. Kirk zatoczył się w tył i zaczął uciekać, a Lilith otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Paula Michaela. Rzucił się na Cartera, wbił zęby w jego szyję, ledwo naruszając skórę. Trysnęła krew. Odsunął się i skłonił głowę przed Lilith, która podeszła i zaczęła pić jak mała dziewczynka przy poidełku, skromnie zakładając włosy za uszy. Paul Michael usłyszał cichy gulgot. Krew Cartera na jego wargach była słona i lepka i nie wiedział, czy przywyknie do picia takich ilości, jakich będzie w końcu potrzebował. Ale nie był jeszcze całkiem gotów. Lilith powiedziała, że to trochę potrwa. Teraz skończyła z Carterem i dosiadła go tak, jak dosiadała Paula Michaela w jego sypialni, ale tym razem wykonała przy szyi Cartera jakiś skomplikowany, szybki ruch i rzuciła go na ziemię. Jego ciało wyglądało jak pluszowy miś, którego Paul Michael miał jako dziecko i któremu pies wyżarł całe wypełnienie. Lilith spojrzała na Paula Michaela; jej twarz pałała radością, jej policzki i wargi były pełne, oczy błyszczące. Objęła jego głowę i pocałowała, prześlizgując się ustami po jego podbródku i w końcu zaciskając zęby na jego szyi. Natychmiast dostał wzvodu. Tym razem piła chwilę dłużej. Czuł rozciągnięte, powolne fale rozkoszy, jakby dotykała

go poniżej pasa. Kiedy skończyli, wzięła nóż i nacięła w poprzek swój nadgarstek, jak samobójczyni. Podała mu go; czule spił pierwsze krople, a potem, gdy wypłynęło więcej, zaczął chciwie chleptać. Kiedy skończył, zobaczył, że nacięcie zgoiło się bez śladu.

Spojrzał na nią, a ona promieniała, przesycona światłem księżyca.

- Co robimy teraz? - spytał.

Uniosła twarz do nieba, złożyła dłonie koło ust i wydała z siebie dziwny, skrzeczący krzyk. Czekali. Ptaki przyleciały znikąd, z ciemności - wielkie stado czarnych sępów, które spadło na ciało Cartera, rozerwało je na strzępy na oczach Paula Michaela i Lilith, aż nie zostało po nim śladu.

- A co z Kirkiem? - spytał Paul Michael. - Sprowadzi pomoc. Ktoś tu przyjdzie.

- Nie dotarł do domu. - Mrużąc oczy, patrzyła w niebo za ostatnim ptakiem. - W końcu będzie śledztwo, ale na razie mam czas.

Wsiedli na tylną kanapę samochodu i Paul Michael opowiedział jej wszystko o Trellibrium. Słuchała uważnie, zadając trafne pytania.

- Więc Norser ratuje księżniczkę? - spytała. Paul Michael skinął głową, głaszcząc ją po włosach.

- Ale powinni się uratować nawzajem - powiedziała.

**258**

Uśmiechnął się do siebie w ciemności. Nastąpiła chwila ciszy. Paul Michael miał wrażenie, że słyszy gwiazdy skwierczące na niebie.

- A jak jest z tobą? - spytał ją. - Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Skąd się wzięłaś, dlaczego tu jesteś i jak się stałaś tym, kim jesteś.

Westchnęła.

- Lepiej, żebyś znał mnie tylko taką, bez słabości, które miałam wcześniej. Chcę cię inspirować.

- Chcę wiedzieć wszystko.

Lilith odwróciła się bokiem i położyła głowę na jego ramieniu. Zdawała się taka drobna, kiedy ją objął; zupełnie nie jak ktoś, kto potrafi w taki sposób zabić człowieka.

- Byłam zwykłą dziewczyną - powiedziała. - Uważałam, że jestem strasznie brzydka. Chłopcy bez przerwy mnie przezywali. Byłam bardziej seksowna, niż powinnam być, czuli się przy mnie niepewnie. Wiec zwróciłam tę moc przeciwko sobie. A ta moc, ta kobieca, zmysłowa moc, jest naprawdę potężna. Chciałam się zabić i mogłam to zrobić, ale w moim życiu pojawił się ktoś.

Nazywałam go Adam. Zmienił mnie w to, kim jestem, żebym mogła się zemścić i żebym mogła być jego na zawsze. Ale po tym, jak mnie przemienił, stałam się potężniejsza niż on i kiedy dokonałam zemsty na tych, którzy mnie krzywdzili, skrzywdziłam też jego. Bo nie chciałam należeć do nikogo.

**18**

Paul Michael nie czuł czegoś takiego. O nie. On chciał należeć do Lilith. Poruszyła się, wysunęła z jego objęć, a potem sięgnęła w górę i oplotła jego szyję swoimi drobnymi ramionami. I po chwili zasnął tak. Był jej.

## CZARNY KSIĘŻYC

Następnego ranka, po powrocie do domu, Paul Michael spojrzął na siebie w lustrze, ale nie było go tam. W ogóle go nie było. Spojrzął w dół, na swoją rękę. Skóra była gładka, bezwłosa, niemal błyszcząca. Paul Michael dotknął swojej twarzy. Tutaj skóra też była gładka. Żadnych pryszczycy, żadnej przetłuszczonej cery. Nie potrzebował już okularów; zostawił je zgniecione na ziemi tamtej nocy i tam było ich miejsce. Kiedy dotknął czaszki, była gładka jak skóra niemowlaka. Uniósł rękę i powąchał pachę. Żadnego zapachu. Żadnego. Może tylko słaby aromat żelaza i czegoś kwiatowego, może fiołków, białych róż czy maków. Pachniał pięknie. Pachniał jak ona.

Później, kiedy się już wyspał, Paul Michael wyszedł z domu w noc. Było trochę chłodniej, jak zawsze po zachodzie słońca. Ciepły wiatr hulał po



mieście. Niósł choroby i cuda. Nie było księżyca. Noc czarnego księżyca. Lilith ją tak nazywała. Krok Paula Michaela był lżejszy. Czuł się, jakby się unosił, jakby nie miał organów wewnętrznych, które ciągnęłyby go do ziemi. Ulice były prawie puste. Minęło go kilka samochodów i Paul Michael schował się w krzaki, by uniknąć ich światła. Nie chciał światła, ale się nie bał. To była ta największa różnica - już niczego się nie bał.

Ale był głodny.

Bolały go żyły. Były skurczone i spragnione. Znów spojrzął na swoją rękę i nie zobaczył pod skórą żadnych żył. Kilka razy zacisnął pięść i wciąż niczego nie było widać.

*Paulu Michaelu.*

Usłyszał jej głos, ale w głowie, więc nie był pewien, czy jest tu gdzieś, czy nie.

- Lilith?

- Przyszłam się pożegnać.

Stała przed nim. Wyciągnął rękę i spróbował jej dotknąć, ale ona odwróciła się w ostatniej chwili i dotknął powietrza. Spojrzała za siebie z uśmiechem. Jej zęby były jak perłowe brzytwy.

- Zajmiesz moje miejsce.

- Dlaczego ja? - spytał, myśląc o tych wszystkich silnych, seksownych chłopakach, których mogła wybrać.

**261**

- Bo musisz to zrobić.
- Ale dlaczego wybrałaś mnie?
- Bo to ty najbardziej pragnąłeś uciec. Ze wszystkich zagubionych dusz na świecie najsilniej poczułam moc twojej wyobraźni i twojego pragnienia.

Po raz pierwszy od kiedy się to wydarzyło, pomyślał o pustce w oczach Cartera, o piekle, które w nich zobaczył. Teraz on, Paul Michael, będzie zabójcą i zawsze będzie samotny, jeśli Lilith go opuści.

Nie wiedział, czy to, co mu dała, to kara czy dar.

Krzyknęła sowa, gdzieś z czarnego powietrza, i ten dźwięk był o wiele gorszy niż nagła, brutalna śmierć, niż zniszczenie, które on, Paul Michael, miał teraz nieść światu. Na które był skazany.

Nie miał jak jej o to zapytać. Zniknęła.